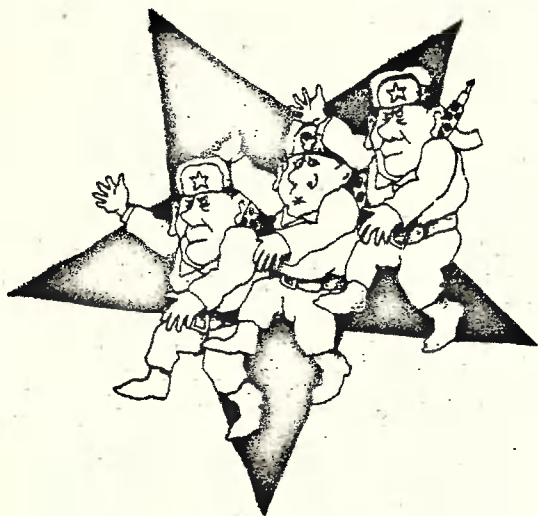


podpunkt



ZBIÓRKA OSOBY I WYKRESY

nr 3

podpunkt

gdańskie zeszyty literackie nr 3 jesień 1985

Stanisław Dąbrowski

Proces toruński

Zbrodniarz obwinia swą ofiarę,
bo mordercą był jak powinność,
a teraz musi ponieść karę.

Wie przecież, że ta sama czynność,
w której wykazał tyle wprawy,
mogła uzyskać całkiem inną
ocenę, gdyby był łaskawy
/jak jeszcze wczoraj/ dla przemocy
czas.

Ale dziś wczorajszy nawyk
i czyn gwałtowny w mroku nocy
zbrodnią.

Czas postąpił krokien
/bo lud usłyszał skargę krwi/,
a tyran cofnął się o krok.

Wody rozwarły się głębokie.
Lochy rozwarły się głębokie.
Otwarły się sekretne drzwi.

Przestępcę światłu wydał mrok.

Gdańsk, dnia 9 I 1985 roku

Męczeństwo księdza Jerzego Popiełuszki

Pani Anieli Kołoniczkiej jako autorce wiersza
"Qui tacet, clamant"

"Wielu idzie za Jezusem aż do łamania ohleba, lecz niewiele aż do wychylenia kielicha nęki. Wielu w wielbieniu cuda Jego, lecz mało kto chce ponieść żelżywości krzyża Jego."

Tomaz a Kempis, "O naśladowaniu Jezusa Chrystusa", II, XI, 1.

"Oto jestem, przecież mnie wołałeś."

Pierwsza Księga Samuela 3, 5-8.

"Przenoc ujawnia swą ślepotę, bezowocność i obojętność kowi."

Jan Paweł II, papież.

I. Słowo papieskie do Polaków /4 marca 1984/

"Ostatnie lata, lata osiemdziesiąte, przyniosły nowe odrodzenie tego dziedzictwa, bo nie w żaden inny sposób, tylko w ten sposób rozumiemy to, co począwszy od roku osiemdziesiątego objawiło się na ziemi polskiej. To jest odnowienie tych prawd i tych wartości, do których Polacy przywiązali się pomimo cierpień dziejowych, a może właśnie z powodu tych cierpień dziejowych. Wartości.

które więcej kosztują, więcej także wartają.

Wreszcie to błogostawieństwo pragnę przekazać wszystkim, którzy na polskiej ziemi cierpią, wszystkim, którzy cierpią w jakikolwiek sposób /.../. Nie jest rzeczą dobrą, ażeby naród pozbawiał się ludzi wartościowych. Trzeba, ażeby o ile możności pracowali wśród narodu i dla narodu. To są wszystkie, moi drodzy bracia i siostry, tematy mojej modlitwy /.../."

II. Ze słów księdza Jerzego Popiełuszki

Życie jest tylko jedno i godnie trzeba je przeżyć.
Ka to, by głosić nadzieję, trzeba w nadzieję uwierzyć.
Gdzie brak miłości i dobra, tam wchodzi nienawiść i przemoc.
Wobec przemocy i kłamstwa nie wolno stać biernie i niemo.
Człowiek przerasta wszystko, co może istnieć. Prócz Boga.
Nigdy Chrystusa nie zdradzi p r z e s w y c i ę t o m a twoga.

III. Psalmen

Nam biednym nie dane jest działać.
Lecz tylko patrzeć i świadczyć.
Idziemy za nim w słowie, aby pozostał w słowie.
Musimy ułożyć świadectwo.

W zwoju księgi o nim napisano:

"Radością jest dla mnie pełnić Twoją wolę, mój Boże,
a Twoja prawo mieszka w moim sercu".

Głosił Twą sprawiedliwość w wielkim zgromadzeniu
i nie powściągał warg swoich, o czym Ty wiesz, Panie.

A naszą dzisiejszą ciemność głos jego przebija jak promień.

IV. Wolny w domu niewoli

"Czy Polacy mogą się różnić tak dalece w pojmowaniu interesu narodowego, że decydują się na brutalne unieszkodliwienie swego politycznego wroga? Mogą, mogą. Historia podejmuje takie przykłady."

Władysław Terlecki

Wierny miłośnik Ojczyzny, robotnik Pańskiej Winnicy, obrońca sprawiedliwości, niezłomny jej rzecznik i świadek /o tym, żeś mówił prawdę, głos własny cię upewniał nie mniej niż odgłos serc tysięcy twych słuchaczy/ uczący innych odwagi i sam na wszystko gotowy /a trwały już tajne marady, jak cię pochwyć i zabić, albo zastraszyć terrorem, albo publicznie epotwarzyć/, zienawidzony przez władzę za to, żeś nie bał się władzy i za to, żeś głosił nadzieję, kiedy nadzieję zabito; wydany na oskarżenia w języku odwrótnych znaczeń /by się na tobie spełniło: "Wliczony pomiędzy przestępców"/; pod groźbą procesu, aresztu, rewizji, szantażu, zamachu /napastnicy ćwiczyli cios pałką i rzut kamieniem, by zagrać w "nieznanym sprawców"; w grze takiej niemal rok wcześniej zlikwidowano bezkarnie, też nocą, Piotra Bartoszoze, który był - ty być mogłeś - "upity i porzucony"/; w drodze od miasta do miasta tropiony i osaczany, ruszyłeś, nie wiedząc o tym, ku swemu Jeruzalem, które zabija proroków i kamieniuje posłanych.

Głodny sęp lot obniżył, czatując na chwilę sposobną.
I ruszyła ku tobie przez ciemność dwugodzinną godzina śmierci.

V. Krzyżowanie i powrót

"Człowiek o złej woli popełnia zło z całą pewnością siebie, świadom swej bezkarności, możliwości panowania nad innymi i niecierpienia się z nimi. Jego zło nie jest przypadkowe, nie przytrafia mu się, lecz jest starannie obmyślane i systematycznie realizowane."

Antoni Szwed

I twoja ostatnia droga miała bolesne stacje,
nim się skończyła runięciem z zapory w wislaną wodę.

Pojmamy nocą podstępnie przez wykonawców bezprawia
/"Panie, to nie są ludzie, ale drapieżne bestie"/,
zełżony, obezwładniony, wleczony, kneblowany,
bity drągiem i pięścią wielekroć, szybko i mocno;
upadający na asfalt; mdlejący, przytomniejący,
krzyczący do swoich oprawców na pustej ulicy Torunia
/gdzie nikt ci nie przyszedł z pomocą/ i doścignięty w ucieczce
/musiano cię zlikwidować, bo znalazł twarze oprawców
i byłeś uznany za więkaze od twojej śmierci zło/;
wrzucany jak martwy przedmiot w bagażnik samochodu,
ciałem wyważający pokrywę jak kamień grobowy;
sznurami spętany tak zmyslnie, aby twój ruch cię udusił
/ktoś czekał, że wreszcie odechnie, gdy tobie zabraknie tchu/;
z nogami obciążonymi jutowym workiem kamieni;
w ciemnicy zamknięcia zdławiony kneblem, spętaniem, krwią własną;
w cierniowej koronie zgrozy, w męczeńskiej koronie konania;
śmiertelnym potem pokryty, sinością okryty jak płaszczem;
ukrzyżowany bez krzyża, nie oplakany wśród nocy,
wieziony pędziesznie nad Zalew - wchodziłeś na własną Golgotę.

Nie było przy tobie kotrów innych niż twoi oprawcy.
Nie było matki. Nie było nikogo z wiernych przyjaciół.
A kiedy się w y k o m a ł o, nie mogłeś tego wymówić.
Stracony w urwistą otchłań i wydobyty z otchłani,
zwrócony matce i ziemi, zwrócony narodowi,
któremu /wbrew herodianom/ głosiłeś wewnętrzną wolność;
zwrócony Temu, kto widział, że serce twoje jest czyste,
kto słyszał krzyk nocą i przyjął ofiarę podobną do Swojej.
- stanąłeś w domu Ojca, sługa zmęczony i wiary,
a teraz obdarzony, jak światłem, wiedzianym pokojem.

VI. Słowa papieskie w czwartą rocznicę porozumień sierpniowych

"Chciałbym równocześnie zabezpieczyć to słuszne żądanie i pragnienie sprawiedliwości szerokich rzesz moich rodaków od wszystkiego, co je znieszcza i osłabia.

- Ale równocześnie też chciałbym uwolnić je i obronić przed wszystkimi krzywdzącymi zarzutami i pomówieniami, skądkolwiek by nie płynęły."

VII. Replika antyprokuratora

"Wrogowie wolnego słowa nie pomijają żadnej okazji dla sademonstrowania pogardy dla niezależnych poglądów."

Wiesław Wodecki

Znieważony przez drugiego prokuratora,
który się zajął właśnie tym, "co nie jest ani zadaniem ani prawem
oskarżyciela", ponieważ pragnął pozostać "ulubieńcem" sędziy,
- jesteś już poza zniewagą.

Znieważony przez drugiego prokuratora,
który - podobnie jak twój oprawca - sądzi,
że chroni go funkcja;
- jesteś już poza zniewagą.

Znieważony przez drugiego prokuratora,
który pełnomocnikom oskarżyciela posiłkowych uniemożliwił
indagowanie twego oprawcy,
- jesteś już poza zniewagą.

Znieważony przez drugiego prokuratora,
który stanął w obromie "politycznych" /"wyższych"/ pobudek
działania twego oprawcy,
- jesteś już poza zniewagą.

Znieważony przez drugiego prokuratora,
który wciął się ciebie przyrównać
do twego oprawcy,
- jesteś już poza zniewagą.

Znieważony przez drugiego prokuratora,
który w imię "prawdy materialnej" podtrzymał skierowane prze-
oskarżenia twego oprawcy, ciw tobie!
- jesteś już poza zniewagą.

Znieważony przez drugiego prokuratora,
który uznał ciebie winnym
winy twego oprawcy,
- jesteś już poza zniewagą.

VIII. Dodatek od autora

Przebaczenie jest trudne i trzeba o tym pamiętać
wbrew nazbyt łatwym wezwaniom do nazbyt łatwych przebaczeń.

Przebaczać może kaźniony. Nie świadek i nie przechodzień.
Przebaczać można skruszonym.

Tu zbrodniarz uznaje tylko
własny błąd polityczny. Nie ma w nim wstydu i żalu.
Drwi nadal ze swej ofiary i broni racji morderstwa
- pękniętego ogniwa w łańcuchu nieznanym win
/przyznał, że nie był "bez skazy", że nie przestrzegał prawa/
Tu zbrodniarz sam się obnosi ze swoją śmiertelnością cywilną,
nie wiedząc o śmierci moralnej, chociaż dwukrotnie nią umarł:
okrutnie zabijając i "motywuując" ten czyn
/tak samo jak czterej rycerze z "Mordu w katedrze" Eliota/.

Jezu, coś przeklął nawet niewinne drzewo figowe,
a rzucił straszne "biada" na wszystkie Judasza dni,
zechciej przebaczyć ustom przeklinającym winnego.

Winy niech słońca nie widzi. Ludzie niech odeń stronią.
Serce, co tę mikczemność podyktowało dłońiom,
niech będzie na zawsze przeklęte.

Bóg przecież przeklął Kaina,
skoro usłyszał skargę przelanej skrycie krwi.

Gdańsk, dnia 18.I. - 16.II.1985 roku

Nota

Utwór ten jest s ł u ż e b n y. Jest "wydarzeniowy" /wywołany przez wydarzenie/. Jest ponadosobisty /oo nie znaczy, że bezosobisty/. Jest dokumentacyjny /nastawiony na faktyczność, na sprawozdawczość, na zapis/. Jest uczestniczący /właśnie w ponadosobistym, którego chce być wygósem: osobistym wygósem ponadosobistego/. Jest wspólnotowy /mówiący językiem szerokiej wspólnoty, osadzony w treściach świadomości szerokiej wspólnoty/. Jest biblijny /nawet nie dlatego, że paralelę sięga po jeden z trzech centralnych tematów Nowego Testamentu, lecz dlatego, że na wydarzenie aktualne epogląda poprzez to, co mówi Księga; tak przecież Izrael przez całe wieki odczytywał każdoczesną ewoją tężniejszą/.

I na tym polega łącznie jego służebność.

Utwór nawiązuje metodą do starej i głęboko w chrześcijaństwie zakorzenionej tradycji medytacji dolorystycznej /rozpamiętywanie cierpienia/ oraz do liturgii /a może zwłaszcza do paraliturgii/ pasyjnej.

Każde niemal słowo i sformułowanie trzonu utworu zostało wyjęte ze sprawozdań z procesu toruńskiego albo w nich ma swoją podstawę. Szło mi o wierność powtarzanym słowom. Wystrzegam się przetwarzania rzeczywistości z d a r z e n i a /tj. tego, co się naprawdę z d a r z y ł o/ w twór wyobraźni. Ponadto utwór zawiera, oprócz przytoczeń wskazanych /a przynajmniej zaznaczonych cudzysłowem/, także przytoczenia utajone: albo dosłowne, albo przetwarzające, przejęte od poetów dawnych i współczesnych. Można by powiedzieć, że jest prawie cały zbudowany z "cudzego" słowa, niosący w sobie wielogłos /także w tej Nocie/, aby w ten sposób przeciwdziałać winie dwojskiej niewspółmierności: słowa wobec zdarzeń i przeżyć; niewspółmierności niedorastania i niewspółmierności wykroczenia. Scalając spożytkowując opinię Eliota o "trzech głosach", powiem, że starałem się o jednoczesność mówienia c u d z y m głosem do i n n y c h i do s i e b i e.

Przez trzon utworu rozumiem to, co jest objęte chroniącą klamrą wypowiedzi papieskich. Poza nią /jakby w strefie czystości/ odsunąłem "Replikę antyprokuratorską", tj. część polemiczną, a jeszcze niżej /jakby do piekieł/ zepchnąłem "Dodatek od autora" /jako zawierający to, czego nie mogłem już traktować jako wygósu treści ponadosobistych/, chociaż skądinąd to on /wraz z dedykacją/ stanowi klamrę autorską na całości kompozycji. Wreszcie pozycja i rola tego "Dodatku..." w tej całości jest podobna do pozycji i roli tzw. psalmów żłczeczających w biblijnej Księdze Psalmów.

Wybrałem taką właśnie estetykę, taką właśnie postykę, taki właśnie sposób samowypowiedzi. Wybrałem styl, który Wacław Borowy nazwał kiedyś prostotą aż nazbyt nagą. Wybór ten został mi podysłowany, a mimo to pozostał mój. Jest mój, a nie przestał być zaskócczeniem, które usiłuję wyrazić, pisząc tę Notę.

Rozmowa Imperatora Pawła I z Tadeuszem Kościuszką,
polskim generałem, w więzieniu w Petersburgu, przez
księcia Siergieja S. Gagarina po francusku napisana,
a po polsku przetłumaczona w r/ok/u 1796.

W XVIII w. pisano "rozmowy zmarłych" - w których rozprawi-
li między sobą wybitni ludzie różnych epok i stanów - nie tylko
po to, aby z perspektywy Pół Elizejskich dokonać krytycznej oceny
rzeczywistości, ale i po to, by w tradycji, w mądrości przod-
ków szukać wartości, w które można by wierzyć, szukać wskazówek,
jak postępować w sytuacjach dramatycznych dla jednostki czy na-
rodu.

Rozmowa między Tadeuszem Kościuszką a carem Pawłem I nie
jest zmyślna, tak jak dialogi z XVIII w. Odbyła się pod koniec
listopada 1797 r., stąd jej uczestnicy uwikłani są w pewną kon-
kretną sytuację historyczną, która rzutuje zarówno na ich zach-
owanie jak i głoszone przez nich racje. Ale dla współczesnego czy-
telnika, oddalonego od tamtych spraw, poddawanych presji innych,
równie dramatycznych wydarzeń, ta rozmowa z przeszłości, jest
rozmową zmarłych, której warto poświęcić chwilę refleksji.

Tomasz Kannberg

Dnia 3-go wyjechał Imperator w asystencji zwykłej i prosto wy-
siadł przed więzieniem Kościuszki; edgłós bębnow i prezentowania
bromi zdziwił nieco Kościuszkę, wtem wszedł Paweł I i rzekł:
"Przyszedłem mój Generale, abym ci wolność przywrócił". Kościusz-
ko zdjęty pomieszaniem skłonił się tylko, a już wiedział od Gary-
ka o śmierci Katarzyny.

Paweł: Czyli mnie nie poznajesz, kto ja jestem?

Kościuszko: Uznaję w osobie Pawła imperatora, a w darze przywró-
cenia wolności wyższego nad zaszczyt tronu, który posiadasz.

P.: Ubolewałem zawsze nad losem W/aszmość/ Pana, ale za rządów
mojej matki nic mu pomóc nie mogłem, teraz zaś wziętem to za
mój pierwszy mej władzy obowiązek udarować wolnością W Pana,
wolny już W Pan jesteś.

K.: skłonił się i mówił: -Najja/śniejszy/ Panie, nigdy nie ubo-
lewałem nad losem własnym, ale nigdy ubolewać nie przestanę
nad losem ojczyzny mojej.

P.: Zapomnij W Pan o ojczyźnie, przyszła na nią kolej, jaka potka-
ła tyle innych państw, których pamięć w dziejach tylko zosta-
ła, a w tych zawsze piękne wspomnienia mieć będziesz.

K.: Obym był raczej zapomniany, a ojczyzna moja wolna została;
upadło zapewne państw wiele, ale upadek Polaki nie ma podob-
nego przykładu.

P.: Dlaczego, mój Generale, wszak greckie i rzymskie państwa po-
dzielone zostały?

P.: Prawda, Najjaśniejszy Panie, ale były pokonane bronią i wpróż
wolność niż egzystencją straciły; lecz Polska w własnym powsta
niu swoim i wtenczas, gdy do rządnej wolności przychodziła,
wtenczas, gdy najwięcej energii i patriotyzmu okazała - upadła
Państwa tante, gdyby tylko były na własnych przesławaty grani-
cach, gdyby ich ambicja ograniczona tążą była świątomości i

potęgi, która zależy od dobroci wewnętrznego rządu, gdyby były chciały być tak spokojne, jak Polska od wieków nią zawsze była i być chciała, stać by jeszcze zapewne mogły.

- P.: Ale przyznasz Wpan, że ta wasza Polska nie zgadzała się z interesem państw sąsiednich i że wasi Polacy sami służyli za narzędzie do zguby swej ojczyzny.
- K.: Uwolnij mnie, Najjaśniejszy Panie, od dalszego tłumaczenia mu się w tej mierze, bo o upadku ojczyzny mojej bez żywego poruszenia ani myśleć, ani mówić nie umiem.
- P.: Nie uraża mnie to, jeszcze tym więcej Wpana szcacię, mam nawet satysfakcją mówić z nim o tym, bo pierwszy raz zdarza mi się mówić z obywatelstwem, w którym uznaję, że prawdziwie kocha ojczyznę, gdyby tak była przynajmniej większa część Polaków myślała, jak Wpan, jeszcze Polska byłaby się utrzymać mogła.
- K.: Ta część większa, Najjaśniejszy Panie, była zapewne. Obys Najjaśniejszy Panie mógł być świadkiem tylu cnót, tylu patriotyzmów, których dali dowody niepospolite w czasie ostatniego powstania. Wiem, jak starano się fałszywie, a to najgorsze, dać Najjaśniejszemu/Panu wyobrażenie o narodzie naszym. Wystawiano go nawet w oczach całego świata jak horde żotrów niepokojnych, nie cierpiących rządu i prawa, a przez to niewartych egzystencji. Cnotliwy i powszechny zapach jedynie do ulepszenia losu ojczyzny, do wydobycia jej z uciisku i nieładu, buntem nazwano; chęci najlepsze obywatelstwa poczytane za winę i skutek rozbujanego jakobinizmu, na koniec przeciw wszelkiej słuszności, ale i przeciwko prawdziwym interesom Rosji, zniszczenie tej nieszczęśliwej ojczyzny przez rozbiór zupełny jej krajów za najzbawienniejszą radę podano. Ile stąd zgorznienia niebezpiecznego do losu państw wszystkich, ile okropnych skutków, ile nieszczęścia, powszechnego ofiar; gdyby ich razem zebrany widok mógł się zbliżyć do Najjaśniejszego Pana, gdyby go nie zaszkanił ci, którzy tu na wszystko wazą, byle własnym usłużyli pożytkom i dlatego tylko tron otaczają, aby do niego prawda i ludzkość przystępu nie miały, tak wspaniałe, tak dobre serce Najjaśniejszego Pana warunkowane by zaiste litością zostało nad losem narodu naszego.
- P.: Uroczywszy się do swych z daleka stojących generałów: - Patrzcie, co za żywość!
- K.: Daruj, Najjaśniejszy Panie, mozem się uniość daleko.
- P.: Nie, ale dajesz mi do myślenia, mówites do serca mego. Żegnam, Wpana, teraz nie myśl o niczym więcej, jak tylko o zdrowiu swoim, dajem rozkazy, aby mu na niczym nie schodziło, co do wygody jego należy. Jeżeli masz czego żądać, mów śmiało, zwierż się jako przyjacielowi, bo jeetem prawdziwie przyjacielem Wpana i chcę, abys był wzajem moim.
- K.: Szacunek największy z najczulszą wdzięcznością będzie zawsze mym obowiązkiem.
- P.: Dodaj i przyjaźń. Adieu, do widzenia.

Rozmowa druga

- Paweł: Jak się masz, Generale, co to tak samotnie siedzisz, smutny jesteś?
- Kościuszko: Najjaśniejszy Panie, odebrałem od Najjaśniejszego/Pana najdroższy dar w świecie, bo wolność, ale jakże radość ma wystąpić na czoło, gdy smutek jeszcze głęboko w sercu osiada.
- P.: Co za przyczyna?
- K.: Współbracia moi jeszcze nie są wolnemi.
- P.: Będą wolnemi, ufaj słowu mojemu.

K.: Przejęty radością jestem, Najjaśniejszy/ jszy/ Panie, /i z wdzięcznością ukląkł na jedno kolano/, pierwszy raz w życiu moim zginał to kolano przed człowiekiem, aby w osobie Najjaśniejszego Pana uwielbił dobroczyncę i wybawiciela ludzkości.

P.: Wstań, WPan, proszę.

K.: A Potocki i Niemcewicz?

P.: Słuchaj, Generale, pierwszy już jest wyzwolony, ale drugiego, jak mówią, charakter niespokojny i burzliwy zastanawia mnie nieco.

K.: Służył on zawsze zdrową radą ojczyźnie, chciał ją widzieć rządzącą, opinia publiczna słuszną jego cności oddaje. W porze i nadziei ratunku pełnił powinność obywatela, lecz teraz mógł co nieroztropnie pomyśleć, już nie masz dla nas ojczyzny, śmiało więc ręczyć mogę Najjaś/niejszemu/ Panu za jego spokojnością.

P.: Dostęć mi na tym i cni nie zostanie. Jeden tylko z Polaków, któremu bym nie przywrócił wolności, wkrótce wolnym go WPan ujrysz; ale wiem, że potrzebie WPana nie mają dostatecznego opatrzenia, przyjmij tedy, oto nasz przyjacielu, przywilej na 3000 dusz w guberni witebskiej, a oto papier do skarbu mego na 60 000 rublów.

K.: Odbieram z wdzięcznością dobrodziejstwo, jako nowy dowód współczucia serca Waszszj/ Impe/ratorskiej/ M/os/ci, lecz jeżeli mam moc użycia jego, pozwól, Najjaśniejszy Panie, abym z niego udział zrobić mógł współbraciom moim, nierównie ode mnie potrzebniejszym.

P.: do swoich generałów:—Jaką szlachetną ma duszę! — do Kościuszki: —Czyń, WPan, jak mu się podoba, im więcej WPana poznaję, tym bardziej go poważam. Lecz powiedz mi przyjacielu, gdzie myślisz obrać sobie mieszkanie, bardzo bym rad, aby ci się mój kraj podobał, jeżeli nie z innych powodów, to przynajmniej z tych, że masz w nim dobrego przyjaciela /skazując na siebie/ i że część mych państw teraz składa ta prowincja, która jest jego ojczyzną.

K.: Już w tym kraju, w którym wziętem życie, nie znajduję ojczyzny, znajduję w tym kraju, w którym me życie położę, a tym jest Ameryka. Za jednej i drugiej ojczyzny swobody niosłem życie na ofiarę, widok przynajmniej szczęśliwości drugiej pocieszać mnie będzie w mym żalu, który nieszczęśliwość pierwszej przejmuję serce moje i przejmować zawsze będzie.

P.: Nie potępiam ja jego tak pięknych powodów żalu, lecz przyjacielu trzeba ulec losowi, a losu tego znasz jakie dziwaczne zmiany, jak często okoliczność jedna nową rzeczą postać nadać może i niekiedy przewyższa nadzieję.

K.: Gdyby przynajmniej nadzieja!

P.: Forzuc ten smutek, nie truj w sobie reszty etabego zdrowia, spuść na Opatrzność los swej ojczyzny, kto wie, jaką tu kolej przeznaczyła państwu każdemu, a za tym i jaką przeznaczy twej ojczyźnie. Nieraz okręt pogrążony burzą, który już prawie zniknął z oczu ludzkich, wydobył się przecie na widok i lubo skotatany, stanął bezpieczny. Ale żona na mnie czeka, obcowanie z WPanem nigdy mi się nie sprzykrzyło, bądź zdrów i kochaj mnie — pocałował potem Kościuszkę w czoło i ścisnął za rękę — Adieu.

Wychodząc, rzekł do generałów i dworskich swoich: "Oto człowiek poczciwy i rzadki"./x/

x/ Tekst "Rozmowy" opracowano na podstawie rękopisu przechowywanego we wrocławskiej Bibliotece Ossolineum /1805 I, s.49-54/.

Igła magnetyczna - powtórnie. Magnetofonowy zapis rozmowy z Andrzejem Kijowskim, która odbyła się dnia 23 lutego 1978 roku w Klubie Krytyki Literackiej w Gdańsku /opr. J.N./

Pierwsza część rozmowy, autoryzowana przez Kijowskiego, ukazała się w 9 numerze "Punktu" z 1980 roku /styczeń-marzec/ pod tytułem "Igła magnetyczna". To, co przedstawiamy dzisiaj, nie zostało wówczas wydrukowane - zapewne z powodów cenzuralnych, ale chyba również dlatego, że odbiegało w pewnej mierze od przyjętej przez krytyka formuły "wyznan" /tekst ukazał się pod takim właśnie odredakcyjnym nagłówkiem/. Przypuszczenie to wynika z porównania opublikowanego w "Punkcie" zapisu z zachowanym do dzisiaj magnetofonowym nagraniem. Część dotąd nie opublikowana to - w przebiegu i chronologii rozmowy - część druga i ostatnia. Tylko dwa fragmenty trafiły z niej do "Punktu". Pozostawiamy je tu na swoim miejscu. "Igła magnetyczna - powtórnie" to zatem pełny i integralny zapis drugiej części rozmowy z Kijowskim, zapis zachowujący dialogowe i sytuacyjne uwikłania wypowiedzi i odpowiedzi krytyka /w "Punkcie" złożyły się one w monolog/. Biewielkie zmiany, jakie wprowadziliśmy /szyk zdania, powtórzenia, wtręty językowe/ zostały wymuszone przez surowe prawa języka pisanego, który nie zawsze toleruje kolokwialną swobodę.

Andrzej Kijowski: [...] Krytyka i twórca mówią o tym samym, tylko różnymi językami. Niedobrze się rozumieją. To rozumienie idzie w jednym kierunku. I dobry krytyk zrozumie rzeczywiście pisarza. Ale dobry pisarz to nie jest ten, który dobrze rozumie swojego krytyka. Bo ten pisarz, który dobrze rozumie swojego krytyka, go raczej rozumie samego siebie. A ten, który słucha głosu krytyka, jest już trochę przygłuchy na swój własny - na głos własnego instynktu. A właśnie twórczość z tego instynktu się wywodzi, tego instynktu musi słuchać. Nie wiem czy panu dobrze odpowiedziałem.

Lech Bądkowski: Tak, tylko jeszcze w związku z rolą społeczną spełnianą przez krytykę współcześnie, w Polsce, wobec literatury... Nie, nie tylko wobec literatury: wobec społeczeństwa. Mam tu na myśli... Wspomniał pan przed chwilą Marka Nowakowskiego. Sądzę, że w dużej mierze zainteresowanie jego prozą wynika może przede wszystkim z odkrywania przez niego zatajanych stron rzeczywistości polskiej, co jest zresztą dawkowane w aptekarskich dozach. Przypuszczam, że - podobnie jak w przypadku Orwella - zainteresowanie tego typu pisarstwem wynika z jego odmierności od literatury - że tak powiem - oficjalnej. I tu właśnie interesuje mnie rola krytyki. W tej chwili jest ona właściwie bezsilna jeśli chodzi o postulowanie zainteresowań literatury polskiej tematem współczesnym.

A.K.: Rozumiem. To wcale nie jest tak prosto, jakby się wydawało. Przede wszystkim - jak to jest z tą literaturą oficjalną? Zwróćcie państwo uwagę: literatura oficjalna istnieje. Oczywiście. Ona ma ewolucyjne kierunki, ona ma wyraźne tabu. Ale to wcale nie jest ta literatura, o której pan mówi. Nie jest to ta literatura, która odnosi się do rzeczywistości codziennej. W zakresie literatury opiewającej, właśnie takiej, jaką uprawiał Nowakowski, istnieje - mówię to z praktyki redakcyjnej - istnieje relatywnie znacznie większa swoboda, niż w dziedzinach innych. Na przykład w dziedzinie historii, w dziedzinie filozofii kultury, w dziedzinie moralistyki, czyli - krótko mówiąc - w dziedzinie szeroko pojętej krytyki społecznej. Opowiadanie Marka Nowakowskiego drukowane w "Twórczości" może właściwie budzić zdziwienie. Jak to? Przecież to jest niecenzuralne, jeśli zastanowić się nad tym, co z niego wynika. Oczywiście, istnieją takie opowiadania Nowakowskiego, które cenzura zdjęła. Jest ich bardzo dużo. Istnieje twórczość Orłosis, która znajduje się na pograniczu cenzuralności. Jest tak, że ominięcie pewnych wyraźnych tabu pozwala na publikowanie utworów o ostrości nie do zrealizowania na przykład w reportażu. Mam na myśli to jak i wiele innych opowiadań Nowakowskiego. Tak że nie jest prawdą, że dominuje w tej chwili w prozie współczesnej model literatury optymistycznej, dydaktycznej, różowej takiej. Wcale nie. Tego nikt nie robi. Nikt. I utwory najbardziej lansowanych pisarzy pełne są tego, co się nazywa krytyką codzienności, a nawet krytyką społeczną. Pełne są tego. Dziwnie pełne. A działania cenzury? Największe spustoszenie szerzy ona w humanistyce. Tutaj! Dlatego pisanie na przykład o literaturze z punktu widzenia prawdy społecznej jest niezmiernie utrudnione. Trzeba by sięgnąć do tych spraw, które są przedmiotem tabu, a które jak gdyby nie wchodziły w materię normalnego utworu literackiego. Mówiąc całkiem otwarcie - gdzie są te tabu? Struktura władzy, zależności polityczne państwa, stosunek do krajów [nieczytelnej], sprawy narodowościowe, sprawy religijne. Teraz mi pokażcie pisarza, który by akuratnie budował utwór literacki z tych elementów. To jest inny stopień intelektualnej oceny rzeczywistości. To jest coś, co jest bliskie już pewnej syntezy. To jest coś, co jest bliższe piarstwu politycznemu. A przecież pisarze raczej od materii politycznej stronią. Pozostaje im - co? Warstwa obyczajowa, warstwa językowa. To prozę bardzo! A prozę bardzo! I macie tej egzotyki społecznej pełno. Gdzie chcecie - w "Życiu Literackim" też i w "Miesięczniku Literackim" też. Oczywiście, gdy Kadej napisał o tym, jak czterech robotników PGR-u wiozło ciężarówką indyki z tegoż PGR-u, mając listę adresów aparatu partyjnego i pierwszy adres jest KC - a to pewnie, że cenzura to zdjęła. /śmiech/ Ale wszystko, co dzieje się z tymi indykami, pijaństwo po drodze, a jakiś gwałotek jeszcze... Ależ prozę bardzo! To nie jest już tak, jak kiedyś się mówiło, że co to jest? paszkwił na polską klasę robotniczą, na polskie PGR-y, w ogóle na społeczeństwo polskie. Nie ma czegoś takiego. Prozę bardzo! Są pijaczki, są rozbomblowani, wszystko jest zdemoralizowane, wszystko jest okropne. Ależ dobrze. Dobrze. Nawet bardzo dobrze. Istnieje przecież taka teoria, że jest tak źle dlatego,

że wszyscy zalewają się od rana do wieczora i nic nie robią. No to dobrze, jak literatura to potwierdza. To świetnie. Gdy natomiast sięga do struktur wyższych - wtedy jest czymś innym. Choć to akurat w tej twórczości rzadko się spotyka. I dlatego mówię: to nie literatura, to nie powieść, nie nowela i nie wiersz są przedmiotem operacji /chyba że są to wiersze takie, jak Stanisława Barańczaka, które idą w pewien rodzaj nieomal publicystyki politycznej - a, to co innego/. Przez literaturę oficjalną nie rozumiem dzieł literatury różowej. Zupełnie nie. Natomiast jasne jest, czym jest oficjalna humanistyka. Jasne jest, czym jest oficjalna historiografia. Jasne jest, czym jest pisanie...

Głos z sali: Oficjalna krytyka.

A. K.: Proszę? Oficjalna krytyka? Właściwie nikt nie uprawia w tej chwili krytyki politycznej w takim sensie. Mało kto to robi. Pisze się krytykę formalną, strukturalistyczną. A to proszę bardzo! To nie jest wcale takie proste.

A jeśli pan kieruje pytanie o rolę krytyki ad personam - co ja bym narobił? Gdybym rzeczywiście był krytykiem, to bym napisał właśnie o tym. O groźnym wyjąłwieniu życia umysłowego, a zwłaszcza systemu wychowawczego, systemu kształcenia. Wcale bym nie pisał o literaturze. Między innymi dlatego, że mnie ona tak bardzo nie interesuje. Nic zresztą takiego świetnego i takiego znakomitego nie powstaje. Na całym świecie jest coś w rodzaju kryzysu dawnych sposobów pisania. No bo jakie są współczesne, współczesne... arcydzieła - to głupie słowo - takie wielkie książki współczesne. Przecież to najczęściej publicystyka polityczna albo to, co się nazywa historią współczesną. A to jest tu niemożliwe do uprawiania. Tak naprawdę książkami o światowym obiegu stają się rzeczy takie jak "Śmierć prezydenta", "Wszyscy ludzie prezydenta", "Archipeląg Gułag", a więc ten typ literatury, która jest historią współczesną. Wcale nie powieść, wcale nie nowela. A jeśli już powieść i nowela, to taka, jak u nas, albo jeszcze gorsza. Więc tutaj pies jest pogrzebany.

L. B.: Z tego, co pan mówi, wynika, że literatura zwana tradycyjnie "piękną" jest dzisiaj znacznie bardziej związana z humanistyką, naukami socjologicznymi, niż była kiedykolwiek, niż była dawniej.

A. K.: Jestem o tym przekonany.

L. B.: I pan większy nacisk kładzie na szkody, na straty ponoszone przez nas w zakresie nauk, o których mowa, niż w literaturze.

A. K.: Tak, jestem całkowicie tego pewien. Całkowicie tego pewien dlatego, że ja nie widzę u nas tej groźnej tendencji do ekodyfikowania formalnego literatury. Nie ma czegoś takiego. Było. Był socrealizm. W tej chwili nie ma czegoś takiego. I nie widzę nawet specjalnie groźnych prób wyjąłwiania literatury z tego, co jest powierzchowną, codzienną obserwacją. Nie o to chodzi. Groza jest zupełnie gdzie indziej. Groza jest po prostu w rozbroju świadomości - brzydko się zrymuje: świadomości całości. Tu jest pro-

blem. Oczywiście. I to jest groza na przyszłość. Krytyka literacka - nie tylko: krytyka społeczeństwa, czyli socjologia - ona stwarza klimat przygotowawczy dla pisarstwa. Wyjaśnienie w tej dziedzinie każe czarno myśleć o następnych generacjach literackich, które w tym klimacie będą się wychowywać.

L. B.: A jakie są rokowania? Czy pańskim zdaniem założone niedawno Towarzystwo Kursów Naukowych, którego pan zdaje się być jednym z ojców-założycieli, jest próbą przeciwdziałania tym tendencjom wyjaławiającym? [krótka przerwa w nagraniu]

A. K.: Nasze uniwersytety są szalenie zbiurokratyzowane. To są fabryki absolwentów, a nie prawdziwe uczelnie. To fabryki, z których właściwie zniknęli ci, którzy je naprawdę powinni tworzyć - profesorowie. Albo ich usunięto, albo odeszli do instytutów naukowych, gdzie mają wygodniejsze życie, albo wyjechali za granicę na stypendia, albo się zajmują w ogóle czym innym. Taka jest sytuacja. Można przejść przez cały uniwersytet i nie widzieć żywego profesora na oczys. Można?

Głószy z sali: Można.

A. K.: Można. Nieraz i docent jest rzadką zwierzyną. /śmiech/ Tak jest. Inna sprawa, że profesor nie ma co robić na tym uniwersytecie. Profesor na swój warsztat naukowy, robi jakąś swoją pracę monograficzną i nie będzie prowadził eszółki. Na uniwersytecie tradycyjnym, dawnym /ja nie zachwalam, ale tak było/ profesor wykładał to, co go akurat zajmowało a student przychodził na wykład nie po to, żeby się czegoś dowiedzieć, porobić notatki i wykuć, tylko po to, żeby obejrzeć swojego profesora. Wsłuchać się w niego, podpatrzeć jego metodę, podpatrzeć styl jego myślenia. I najciekawsze były dygresje. Najciekawsze było to, co było poza wykładem, bo wykład - jeśli był bardzo specjalistyczny - mógł akurat studentów nie interesować. Ja chodziłem na wykłady Ingardena, z których nic nie rozumiałem. Oczywiście. One były bardzo wyspecjalizowane. Ingarden nie mówił o fenomenologii w ogóle, mówił przez cały rok o spostrzeżeniu wewnętrznym. Nic z tego nie rozumiałem, a nie zapomnę tej osoby. I godziny tak spędzone, i próby zrozumienia zaliozam do najcenniejszych - zwłaszcza, że za tym szły próby czytania i douczenia się. To, co on mówił, nie było istotne. Istotne było, że był z nami - właśnie ten związek studenta z profesorem, związek z żywym człowiekiem. Towarzystwo Kursów Naukowych, które ofiaruje chętnym studentom możliwości słuchania dowolnych wykładów w małych grupach, jest próbą odbudowania tego autentycznego stosunku profesor-student, wykładowca-student. Oczywiście, w tym się rodzą jakieś nowe postacie, jakieś nowe autorytety. Wykładowcą może być nawet osoba nie o wielkim autorytecie naukowym, byle to była osoba, byle to był ktoś.

Wepomniałem przed chwilą uniwersytet archaiczny, bo sprzed lat trzydziestu, ale obserwowałem również uniwersytety nowe, te na przykład, które we Francji wyniknęły z rewolucji 68 roku, jak uniwersytet Vincennes, obserwowałem też uniwersytety amerykańskie. Zasada jest taka: wykłada ten, kto ma coś interesującego do opowiedzenia. Nie wiadomo, co z tego wyniknie. Może nic, a może wyrosnie w ciągu semestru postać. Przedłużenie kontraktu zależy od tego, czy studenci chodzą na wykład profesora, czy nie. Na uniwersytecie, na którym byłem, pojawił się Indianin i powiedział, że może nauczyć studentów alfabetu indiańskiego, na co uniwersytet odpowiedział: niech mówi, zobaczymy, może powie coś interesującego, może coś z tego wyniknie. Mówił. Cała [nieczytelne] na to chodzi-

ła. Studenci pasjonowali się tym. Ten Indianin może potem zniknąć, może się rozpił... Czy coś z tego zostało - nie wiadomo.

Uniwersytet powinien być czymś otwartym i czymś żywym. Bo przecież zawodu i tak się ludzie uczą dopiero w produkcji. Wszystko idzie zbyt szybko naprzód. I tak trzeba pracownika na nowo szkolić, choć przyjmuje się oczywiście człowieka o takim czy innym kierunku studiów. Lekarz - no pewnie, że go trzeba najpierw wyuczyć anatomii i fizjologii, a potem, gdy przyjdzie do kliniki, i tak go trzeba nauczyć obsługiwanie najnowszych aparatów. I to musi robić instytucja, a uniwersytet jest po prostu szkołą charakterów, szkołą zainteresowań, no, tym jakimś momentem w życiu. Kursy naukowe coś takiego ofiarują studentom. Przygodę bycia z profesorem, z wykładowcą, z osobą, która się podejmie coś mówić, przygodę bycia ze sobą w grupie nieformalnej, grupie ochotniczej, grupie swobodnej, w takiej grupie, która dobiera się sama, w dodatku jeszcze ryzykując sporc. Chciałbym żeby tego ryzyka było jak najmniej, żeby to ryzyko zniknęło i żeby władze zrozumiały - że to nie jest rzecz do rozpędzenia przy pomocy gazów.

A oprócz tej zmiany stosunku studenta do nauczających i do nauki samej oczywiście chodzi także o uzupełnienie wykształcenia uniwersyteckiego, w którym - jak studenci sami mówią - są niewłaścivi ludzie. Szczególnie w historii najnowszej, a nawet - jak się dowiedziałem - w dziedzinie literatury najnowszej. Jeśli idzie o literaturę, sprawa wygląda łatwo. Trzeba tu tylko zainteresowania, ale nie wierzę, żeby to się dało zrobić, kiedy literatura nie odgrywa większej roli w życiu społecznym, kiedy pisma są właściwie martwe, kiedy nie czeka się na każdą następną książkę pisarza polskiego tak, jak to bywało w pewnych okresach. Natomiast w dziedzinie historii, filozofii - jeśli nie ma właściwie filozofii, to gdzieś ona powinna być. Kto chce w Polsce studiować filozofię, zapisuje się na Akademię Teologii Katolickiej. Tam można pisać prace doktorskie, tam można uczestniczyć w seminariach filozoficznych. No przecież to jest absurdalne. Zresztą dochodzi do tego, że nie ma właściwie wykładowców na filozofii. Ale myślę, że to może być elementem dokształcania w tych dziedzinach, które są wyraźnie dyskryminowane przez programy oficjalne.

Uważam, że Towarzystwo Kursów Naukowych to impreza o wielkiej doniosłości. Wierzę w jej powodzenie wbrew złym zapowiedziom, z którymi miałem do czynienia. Studenci, ci przynajmniej, z którymi się spotykałem, są pełni zapału i wdzięczności za tę inicjatywę. Wiele się po niej spodziewają, mimo że każdy, kto przychodzi na wykład, wie już w tej chwili świetnie, że coś go za to spotka. Sam byłem świadkiem, jak studenci przychodzący na wykład byli wszyscy zatrzymywani i legitymowani i zapisywani przez milicjantów stojących pod drzwiami mieszkania. No, oczywiście, że potem ta lista idzie do rektora. Co z tego wynika? Może jeszcze nie relegacja, ale nagana no i hak potężny, zwłaszcza dla tych, którzy chcą zostać na uczelni. To jest niemądre, bo w tym właśnie ruchu studentów, w ich inicjatywie i gotowości trzeba widzieć rzecz właśnie najcenniejszą, jaka się może w życiu pojawić. Co, w podziemie to ma zejść? Gdzie się mają spotykać? Po piwnicach? To jest absurd. No więc tak jest.

A. A.: Wydaje mi się, że na twórcach, na intelektualistach spoczywa wielka odpowiedzialność. W okresie trzydziestu trzech lat III Rzeczypospolitej literatura przeszła zażwiwiający meandry. Dostawnie co pięć, siedem lat zmienia się zarówno kurs, jak i sam sposób

pisania, sposób patrzenia - tak, że trzeba nieamowitej ekwilibrystyki, żeby się albo do tego dostosować /tym bardziej trudne to było dla czytelników/, albo zachować swoje "ja". Możliwość manewru, margines, w którym twórcy muszą się zmieścić, jest różny. Zależy od formy literackiej, w jakiej się przedstawia, od różnych sposobów kamuflażu swoich myśli. Niekiedy cała inteligencja, twórcy tak przedstawiają swoje myśli, żeby czytelnik zrozumiał, co w tej trawie piszczy. Jak pan uważa, czy pisarz lub krytyk literacki ma możliwość manewru /cna się oczywiście zmienia z roku na rok/, czy ma również wpływ na to, gdzie umieszcza swoje utwory, na sposoby pisania. No bo pan drukuje w różnych czasopismach, tygodnikach społeczno-kulturalnych, m.in. w "Tygodniku Powszechnym", szanowanym piśmie, mającym dość dużą autonomię.

A. K.: Te manewry o jakich pan mówił, pana to zdziwi, one są według mnie mniejszym niebezpieczeństwem na dłuższą metę, niż inne, które się pojawiło - niebezpieczeństwo generalnej depolityzacji. Oczywiście, te manewry, te koziołki ideologiczne, te przemiany - one bywają czasem spektaklem przykrym, ale kto wie, czy nie gorsze od tego jest zubożenie na sferę w ogóle życia wspólnego w naszej literaturze, w literaturze, która ma swoją szczególną tradycję, swoją szczególną wersję prawdy. Właśnie w naszej literaturze - wbrew jej naturze, wbrew jej duchowi, wbrew jej tradycji - zagnieżdżyła się ta apolityczność, ta całkowita apolityczność w sensie ogarniania życia społecznego w całości.

Rzuciłem tu takie mętne określenie "nasza wersja prawdy". Jwy daje mi się po prostu, że każda literatura ma swój własny jakby ośrodek, który jest na ogół stały, przez wieki niezmienny, zależny od historii danego społeczeństwa, od historii danego kraju. Taki o s r o d e k p r a w d y. Jeśli przyjrzymy się literaturze angielskiej, to widać, gdzie w niej rozgrywa się ta walka o prawdę. Największy rozdźwięk istniał między treścią duchową życia a jego formą. Dlatego literatura angielska skupiła się na opisanie obyczajów. U Dickensa czy Thackeraya jest to tak wstrząsające, jakby to był wielki dramat polityczny - a nie jest. Nie idźmy jednak po literaturach, bo dojdziemy do takich prawd, jak "Niemiec smętny, Włoch namiętny", itd, a nie o to chodzi. W każdym razie nasza wersja prawdy jest prawda polityczna. I napisał to już Mochmacki, powiadając, że jedyną formą tragedii w literaturze polskiej jest tragedia polityczna. Nie tragedia honoru, jak w literaturze hiszpańskiej. Honor u Calderona to nie jest coś, co - ot, po prostu - pojawiło się jako element konwencji społecznej. Honor w pojęciu hiszpańskiego szlachcica był właściwie synonimem duszy. Ten kto tracił honor, tracił duszę, czyli wszystko się tam obraca wokół sprawy honoru, bo to jest po prostu figura duszy. Natomiast figurą duszy w literaturze polskiej jest wolność zbiorowa, wolność polityczna - przynajmniej tak jest od romantyzmu.

B. B.: Dobra sława obywatela również. Może da się tu przenieść sprawę honoru.

A. K.: To jest jakby coś nowego. Pan ma rację. Dobra sława obywatela - tak? To jest jakby coś nowego...

B. B.: Oczywiście nie w prymitywnym znaczeniu.

A. K.: Nie, rozumiem. Ale to jest jakby coś nowego, to jakby nowa wersja. Ale to jest pogrzebany... pogrzebana jest tu dusza tej literatury. I dlatego to jest takie dziwne. W końcu można sobie powiedzieć - dlaczego? o co wam właściwie chodzi? czego się domaga-

cie? koniecznie chcecie przemawiać w imieniu narodu? koniecznie chcecie naród zbawiać? koniecznie chcecie o te "rządy dusz" walczyć? przecież słyszmy że ciągle ze strony działaczy politycznych. I ja to rozumiem. Ich to irytuje. A co wykształceńsi powiadają wtedy - a jak to jest? przecież to jest właśnie ten polski prowincjonalizm. Inne literatury żyją czym innym. No oczywiście, że innym. Oczywiście, że innym, bo każda literatura żyje swoim własnym życiem. A pozbawienie literatury polskiej tego właśnie, tego właśnie jest jej śmiercią. I to jest dziwne. I literatura polska nie pojedzie na koniu naturalistycznym. Nie pojedzie na mini-realizmie. I nie pojedzie na antypowieści. I nie pojedzie na formalnych poszukiwaniach. Nie ma na to akustyki społecznej. Nie ma na to publiczności. Nie ma na to atmosfery. Nie ma na to ucha po prostu. I to jest ta sprawa istotna. I ta literatura była tak ściśle związana z myślą społeczną. I oderwana od niej staje się jakby czymś innym zupełnie.

No to może zmienimy temat.

Głos z sali: Ten temat jest bardzo ciekawy.

C. C.: "Wesele" Wajdy to film, który niezmiernie cenię, ale jest to "Wesele" Wajdy, nie Wyspiańskiego. Zastanowiła mnie jedna sprawa. Przy niezwykłym nasyceniu owoczesną plastyką zabrakło w tym filmie jednej malarskiej indywidualności, która wiele znaczyła dla Wyspiańskiego i która tkwi w tekście, w didaskaliach, w scenografii - mianowicie Matejki. Tam nie ma Matejki. Zastanawiam się dlaczego. Moja hipoteza jest taka: Matejko u Wyspiańskiego to widomy znak wielkości, która gniecie. Część bohaterów "Wesela" jest nękana tą wielkością, wielką przeszłością, której oni nie mogą sprostać. Roboczo i na swój prywatny użytek nazywam "Wesele" Wajdy "Weselem", które mógłby napisać wnuk Jaska, który z tradycji rodzinnej wiedział, że to było coś niesłychanie fascynującego, to zderzenie stanów. Ale wnuka Jaska nie gniecie wielka przeszłość, tylko raczej własna małość i ogromny strach przed przyszłością, który jest w naszym "Weselu". Nie to, że nie sprostają testamentowi przeszłości, lecz wyzwaniu przyszłości. I tu dla własnej ciekawości pytam - czy Wajdzie wypadł z obrazu plastycznego Matejko między innymi dlatego? Czy to było zamierzone? Czy on po prostu nie lubi Matejki?

A. K.: To jest bardzo trafna uwaga. Sam się w tej chwili nad tym zastanawiam. Próbuje nawet przypomnieć sobie, jak to było. Matejko był. I uległ wyeliminowaniu w dalszych stadiach realizacji filmu. Na przykład pierwotna wizja Stańczyka była wyraźnie Matejkowska, później się zmieniła i właściwie była już... To był już taki Stańczyk, jakiego namalował Witkacy. Z czego to wynikało? Cały film wynikał w ogóle z pewnego nieporozumienia. Pierwotny pomysł Wajdy polegał na zrobieniu "Wesela" współczesnego.

C. C.: "Wesele" raz jeszcze. To tak, jak "Wojna i pokój" w literaturze rosyjskiej.

A. K.: Tak. To jest taki mit. Jemu chodziło o zrobienie "Wesela" współczesnego. Najpierw się z tym zwracał do Dygata. Nic z tego nie wyszło. Kiedyś dawno, przed laty zwrócił się do mnie. Ja zrobiłem jakąś próbę. Nie udało się zupełnie. Wreszcie w jakimś momencie zwrócił się z tym pomysłem do mnie powtórnie, nie precyzując, co to właściwie ma być. On szedł zresztą w swych pomysłach bardzo daleko. Chciał, żeby to się działo gdzieś teraz, gdzieś pod Warszawą, w przeddzień jakichś wielkich wypadków, może jakiegoś

przewrotu, może powstania warszawskiego, może... Coś takiego. Szukał instynktownie. Chciał odtworzyć sytuację, a nie utwór. Ot tak - podjąłem się. Dobrze, zrobię to. Nagle przyszło mi do głowy - no dobrze, a co by było, gdyby po prostu "Wesele". Razem z jego wierszem i razem z jego wizyjnością. I to ustaliłem jako zasadę. To będzie "Wesele". I będą aktorzy w kinie mówić wierszem, co się wydawało niemożliwe. Posunąłem się do tego, że rozpiśkałem wszystkie role, zacieraając wiersz. Nie pisałem wierszem scenariusza, bo wiedziałem, że to ich przerazi. Chciałem im udowodnić, że to jest tak nośny język i tak mówiony, tak kolokwialny, że jak zlikwidujemy graficzny układ wiersza, to wyjdzie nam proza, tyle że z jakimś takim osobliwym rytmem podskórnym. To jest jedno. Ale drugie - był ten pomysł Wajdy. To ma być rzeczywiste. On czuł, że w tym "Weselu" jest coś więcej niż ta wizja, więcej coś niż te mity, że jest pewna twarda rzeczywistość. Stąd duży naciek na realia: [nieczytelne] wojska austriackiego, tych fortów... Odwołałem się do mojej własnej pamięci i wiedzy o tym, gdzie są Bronowice, co to są Bronowice. Nie żadna wieś wśród wierzb i ruczajów, tylko po prostu wioska o parę kilometrów od granicy, wśród fortów i poligonów austriackich. I w tym miejscu spotyka się elita - na pograniczu dwóch imperiów, w przeddzień wielkiej wojny. Stąd ostry klimat..., przesuwające się patrole żandarmerii. To musi być. I świadomość tego, że ma nastąpić. Oczywiście, że Matejko do tego już zupełnie nie pasował. Oczywiście, że wtedy pojawiają się obrazy zupełnie inne. Pojawia się Wernyhora w siwym mundurze legionowym. A dlaczego? Bo co to znaczy, że Wernyhora przychodzi od braci, coś mówi o przymierzu... Jasne, że to jest alegoria więzi ponadkordonowej, więzi narodowej, więzi niepodległościowej. Pomysł Wajdy, że to nie ma być Wernyhora-prorok, tylko Wernyhora-emisarriusz, Wernyhora-spiskowiec, Wernyhora-żołnierz, jest pomysłem olśniewającym. Oczywiście, że tak.

C. C.: Przy tym przesunięciu całego "Wesela"...

A. K.: A wtedy w wizji realistycznej wychodzi mu nie Matejko, tylko Gierymski - aż do dostojnych cytatów, jak na przykład trumny chłopskiej itd. Oczywiście on to przesunął w kierunku..., oparł jakby na dwóch biegunach: między koszmarem Witkacego - takim katastroficznym - a Gierymskim.

Wajda miał jeszcze jeden pomysł. Jak to, mówił, to jest genialne, że ma coś wybuchnąć i nie wybuchła. Ale ma być - oni mają rzeczywiście gdzieś iść. Chcą iść. I nie idą. To była jego myśl obsesyjna. Teraz chodziło już tylko o to, żeby przełożyć to na sytuację.

D. D.: Czy jest pan już zmęczony?

A. K.: Ja? Nie.

E. E.: Może w takim razie odpowie pan jeszcze na jedno pytanie. Skąd ma intelektualista czerpać otuchę?

A. K.: Z własnej wiary. Musi w coś wierzyć. Bardzo silnie. Bez tego po prostu go nie ma. Po prostu. Co do mnie - wierzę w to, że te wartości, do których przywiązuję wagę, wygrają. I wygrywają. Nie traktuję tego oczywiście jako pewnej gry, tylko jako walkę. Myślę, że intelektualista czerpie otuchę ze swojego zasadniczego optymizmu, to znaczy z przekonania, że w każdym razie, poprzez najróżniejsze katastrofy, mniej lub bardziej przejściowe, nasz stosunek do prawdy pozostaje niezmienny. Ona może być nam w dal-

szym ciągu nieznaną, niejasną i daleką, ale nie przestaje być wartością. I że nasz stosunek do pracy - drogą naszej pracy, indywidualnej, zbiorowej - jest coraz czystszy.

Ale już nie przedłużając tej odpowiedzi - tylko panu powtórzę po prostu to, że tę otuchę oczywiście czerpie z własnej wiary i w gruncie rzeczy... A w gruncie rzeczy to jest jego sprawa. Ponieważ to on ma otuchę budzić. A ozy ją sam czuje, to już jest nie tylko jego sprawa, ale jego osobisty dramat. Niech sobie z tym jakoś da radę po to, żeby mógł innym się na cokolwiek przydać.

D. D.: Prawdopodobnie to, co pan teraz powiedział, mogłoby być odpowiedzią na te pytania, które by jeszcze mogły paść. Uznajmy to za taką odpowiedź, która naszą dzisiejszą rozmowę kończy.

opracował J.N.

* Zapis magnetofonowy, którym dysponowaliśmy, rozpoczyna się w pół zdania i rejestruje następnie - z niewielką przerwą - całą już drugą część rozmowy. W tym niejasnym i niezbyt czytelnym fragmencie Kijowski, odpowiadając na jakieś ogólne pytanie - prawdopodobnie o wpływ krytyki na pisarzy i literaturę - przywołał jako przykład twórczość Marka Nowakowskiego. Mówił: "Marek Nowakowski jest pisarzem bardzo tradycyjnym, wyrasta właściwie z naturalizmu. A jednak jest to odświeżone. A bo tam są elementy groteski, a bo tam są takie dziwaczne deformacje, a bo on wie, że w tej chwili nie wystarczy już napisać jakąś scenkę, tylko ta scenka musi mieć odniesienie. Nie wystarczy opisać - powiedzmy - jakieś dziwne podziemie pod Warszawą, gdzie są składy alkoholu i gdzie paru ludzi pije przez cały dzień. Musi być coś więcej - Hades. A więc pojawia się taki dziwny kierownik, który ma jakieś pojęcie o mitologii, jacyś tacy dwaj, którzy wychodzą z jeszcze głębszego dna, z kanałów - wyłaniają się i znikają. O! coś nowego, coś ciekawego. Gdyby on nie przeczytał Kafki, gdyby on nie przeczytał Schulza, nie przeczytał Mrożka, nie przeczytał może nawet Joyce'a - kto wie - to by tak nie skonstruował swojej noweli. Noweli prostej w końcu, knajackiej właściwie, której cała uroda polega na podsłuchanym języku, całe mięso polega na podparzonych realiach, ale cała sztuka polega na tej już artystycznej egzotyce, która w tym wszystkim się pojawiła. Tak się zmieniają style, tak się zmieniają rodzaje literackie. I oczywiście - jest tu ślad uporczywych wzmowień krytyki literackiej, wstawiania publiczności literackiej właśnie Kafki, właśnie Schulza, właśnie Mrożka, właśnie Joyce'a, właśnie całego nurtu groteskowo-fantastyczno-mitologicznego. I tak rozumiem ten wpływ krytyki na pisarzy, na czytelników".

DELTA w nowym wydaniu

W takich warunkach pracować więcej nie będę...

Wywiad redakcji "Strany i Mira" z Jurijem
Pawłowiczem Lubimowem

Główny reżyser Moskiewskiego Teatru na Tagance Jurij Lubimow już od kilku miesięcy znajduje się w Londynie, dokąd przyjechał, aby odebrać nagrodę gazety "Evening Standard" - najbardziej prestiżową angielską nagrodę teatralną. Nagrodę przyznano mu za inscenizację spektaklu "Zbrodnia i kara" według powieści Fiodora Dostojewskiego. Inszenizacja ta została uznana przez krytykę angielską za najlepsze przedstawienie roku.

W Londynie J. Lubimow złożył kilka oświadczeń, w których ostro skrytykował oficjalną sowiecką politykę w dziedzinie kultury, szczególnie w dziedzinie teatru. Oświadczenia te wywołały gniew, a nawet pogroźki ze strony przedstawicieli ambasady sowieckiej w Londynie. Wiele i szczególnie pisała o tym prasa zachodnia.

17 lutego 1984 roku J. Lubimow udzielił wywiadu naszemu korespondentowi M. Phillimore, który niżej publikujemy/x/. J. Lubimow wyraził życzenie, żeby jego wywiad był poprzedzony dwoma epigrafami: jeden pochodzi z A. Puszkina, drugi z książki F. Szalapina "Maska i dusza". Cytat z F. Szalapina przytaczamy według paryskiego wydania z 1932 roku /w sowieckim wydaniu tej książki brakuje odpowiednich stron/.

"Na świetle szczęścia niet, a jest pokój i wola."

A. Puszkina

"I nie to, że boję się, któregoś z władców czy wodzów konkretnie, boję się, by tak rzec, całego układu stosunków, boję się aparatu... Pewnego pięknego dnia jakies zebranie, jakies kolegium może zniszczyć wszystko, co mi obiecano."

F. Szalapina

M. Ph. Czy to prawda, że jest Pan pierwszym obcokrajowcem, który otrzymał nagrodę "Evening Standard"?

J. L. Tak, to prawda. Otrzymałem tę nagrodę za wyreżyserowanie przedstawienia "Zbrodnia i kara". Nagrody za najlepsze role aktorskie były przyznawane oddzielnie. Przejrzałem listę innych laureatów nagrody. Jest tam S. Beckett, który w 1954 roku otrzymał ją za swoją najbardziej kontrowersyjną sztukę "Czekając na Godota". Jest tam John Gielgud i, zdaje się, Lawrence Olivier, Peter Brook i Jonathan Miller, który bardzo oryginalnie zrobił "Rigoletto". W sumie, dobre towarzystwo.

M. Ph. Recenzje z pańskiego przedstawienia tutaj, w Londynie, były zdumiewające.

J. L. Pomogło mi to, że przyjechałem i wybrałem aktorów sam. W ciągu tygodnia, przez 8 - 10 godzin, codziennie przychodzili do mnie aktorzy i zupełnie spokojnie, jak uczniowie, zdawali przede mną egzamin. Początkowo było mi niezręcznie, przecież przede mną byli nawet ludzie z nazwiskami, ale później wyjaśniłem sobie prostą rzecz: dzieje jest opłacony nawet nieźle, im interesująco się ze mną rozmawia, a dla mnie ciekawe jest zobaczyć angielskich aktorów, ich szkołę, ich poziom. Zrozumiałem, że poziom profesjonalny jest tu bardzo wysoki i szkoła, w większości przypadków, dobra. Jak wszędzie, są mniej

utalentowani i bardziej utalentowani ludzie, ale poziom profesjonalny jest wysoki. Być może, najwyższy w Europie.

Wręczenie nagrody było bardzo uroczyste. Cała ceremonia była transmitowana przez telewizję. Obecni byli pisarze, artyści, wszystko znakomicie zorganizowane, ale z angielskim humorem. Patrząc, wszyscy na coś czekają. Okazało się, że czekają, kiedy wzniesie się kielichy i wygłosi toast za Królową, dopiero wtedy można zapalić. I rzeczywiście, od razu po tym wszyscy zapalili.

M.Ph. W jakimś sensie nagroda ta była przyznana nie tylko Panu jako reżyserowi "Zbrodni i kary" w teatrze londyńskim, ale i Teatrowi na Tagance. Czy wystawiał Pan spektakl, pamiętając o tamtej, tańskiej premierze?

J.L. Niewątpliwie myślałem o tym, chociaż po raz pierwszy robiłem "Zbrodnię i karę" na Węgrzech, a nie na Tagance. Na Tagance robiłem już potem, to zupełnie inne przedstawienie z rosyjskimi aktorami i nawet tekst zmieniałem. Adaptacji tekstu przedstawienia londyńskiego dokonałem razem z Koriakinem. Przekład zrobił L. Rzewski. Jest on Amerykaninem dwujęzycznym: pochodzi z rosyjskiej rodziny i absolutnie jednakowo włada rosyjskim i angielskim. Żartowaliśmy, że trzeba powiedzieć politykom: oto macie przykład prawdziwej współpracy, owocnej, długiej i obustronnie uprzejmej. W rezultacie naszą pracę oceniono wysoko.

M.Ph. A jak ustosunkowali się do Pana tutaj przedstawiciele sowieccy?

J.L. No więc to, co się działo po moim wywiadzie w "Times" z 5 września 1983 roku było już wielokrotnie omawiane. Filatow, współpracownik ambasady sowieckiej, powiedział mi po tym wywiadzie, że "zbrodnia już jest, a kara będzie". Uniosłem się, poprosiłem tłumacza o przełożenie od razu tych słów Anglikom i wyszedłem. On zaś rzucił za mną: "I tak was znajdziemy". Potem zaczęły się telefony. Po prostu, zwykłe nasze metody. Zaczął mi mówić, że on nie wygłaszał takich słów, że to na niego nagałano. Odpowiedziałem: "Nie chcę z wami rozmawiać, ponieważ kłamiecie". I powiesiłem słuchawkę. Natychmiast zadzwonił znowu - zgodnie z rosyjskim przysłowiem: "Pluń mu w oczy, a on powie, że to deszcz".

M.Ph. Czy ambasada sowiecka żądała, aby Pan odwołał to, co powiedział w wywiadzie dla "Times a"?

J.L. Nie. Chcieli, żeby przed wszystkim przyszedł do nich na serdeczną rozmowę itd. Przed premierą sytuacja była bardzo trudna. Został zestrzelony samolot koreański. W telewizji pokazano piącz dzieci, matek, całą tę okropność. Zdawałoby się, że takie okropności przeżywamy: wszelkie inwazje, rozprawy, nieprawości. Ale to był wypadek szczególnie, dlatego że wszyscy przecież podróżują samolotem i to było jakoś szczególnie okropne: ludzie przychodzą na lotnisko, a tu nikogo nie ma, wszyscy zestrzeleni i martwi. Dzieci, matki, krewni - wszyscy szlochają. I akurat w takiej chwili pan Filatow wyskoczył ze swym kalamburem na temat zbrodni i kary. Niestety, Fiodor Michajłowicz w "Biesach" okazał się prorokiem, a nie Lew Nikołajewicz /Tolstoj/, który powiedział, że ta książka to felieton i sztuki w niej mało, i że zostanie szybko zapomniana. Tymczasem w miarę upływu czasu książka staje się coraz straszniejsza, głębsza, jak gdyby dziś została napisana.

M.Ph. Czy pan kiedykolwiek myślał o inscenizacji "Biesów"?

J.L. Dawno. Tylko mi nie pozwalano. Nawet zaczęliśmy już próby. Robiliśmy już ze Sznitke muzykę, ale nie otrzymałem pozwolenia, podobnie jak i na "Mistrza i Małgorzatę". Chciałem zrobić "Mistrza i

Małgorzatę" na dziesięciolecie Teatru na Tagance. Udało mi się w końcu ten spektakl wystawić, chociaż później zwymyślała mnie "Prawda" w artykule zatytułowanym "Seans czarnej magii na Tagance". Ale mimo wszystko przedstawienie idzie do tej pory.

M.Ph. Od tego artykułu, zdaje się, w roku 1977, rozpoczęło się przemilczenie teatru?

J.L. Nie, wcześniej, w różnych okresach. Raz bardzo nie spodobało im się to, co mówiłem w "L Humanite", kiedy teatr był na występach gościnnych w Paryżu. Żył jeszcze Wysocki, grał Hamleta. Przyzwoliliśmy najbardziej już sprawdzony repertuar. Na "Mistrza" nie pozwolili Ministerstwo Kultury i od razu, jeszcze na konferencji prasowej, zaczął się skandal. Na temat "Mistrza" powiedziałem: "Niestety, to nie ja zatwierdzam repertuar". Tłumacz z Ministerstwa Kultury przełożył moje słowa tak: "Pan Lubimow uważa, że to przedstawienie jest słabe i dlatego sam z niego zrezygnował". Jakaś dama ze strony francuskiej wtrącała się i zaprotestowała: "Mówi pan nieprawdę. On powiedział zupełnie co innego". Podniosła się wrzawa i ja zaproponowałem tłumaczowi, aby sobie poszedł. Ten od razu pobiegł poskarżyć się do ambasady i powstał skandal.

W koleżeńskim rozmowie w KC Francuskiej Partii Komunistycznej bardzo otwarcie mówiłem o tym wszystkim: o strukturze teatru, o zarobkach... Wyjaśniłem, że mamy jeden wspólny kocioł, że wszyscy otrzymują po równo. Tak jest rzeczywiście i nic złego w tym nie ma. Sam Wysocki otrzymywał 200 rubli, a robotnik, który obsługiwał scenę i pracował podczas występów gościnnych na akord do 300 rubli, kiedy miał nadgodziny. Faktycznie rozpiętość w zarobkach u nas w teatrze jest niewielka: od stu dwudziestu rubli do, przykładowo, trzystu. Górna granica u aktorów - 220 rubli. O tej rozmowie napisała "L Humanite". "Litieraturnaja gazietka" na czele z A.Czakowskim wszystko to później przekęciła i oczerniała nas. Wyszukała jedną recenzję, w której nas zjechano, przemilczając ogromną ilość wspaniałych recenzji, jakie pojawiły się w ciągu występów gościnnych. A przecież przy takim repertuarze, z jakim przyjechalismy mieliśmy w sumie dobrą prasę... Pokazywaliśmy we Francji "Matkę", "Dziesięć dni "Tartufe", "Hamleta", "Majakowskiego". Występy gościnne według prasy przebiegły dobrze, ale w "Litgazecie" nie było o tym ani słowa. A numer "L Humanite", w którym była opublikowana rozmowa ze mną, w Moskwie w ogóle wycofano ze sprzedaży. Potem miałem duże nieprzyjemności, nigdzie mnie nie puszczano, a o teatrze milczano. Ale największe nieszczerstwa zaczęły się dosyć mistycznie po śmierci Włodzimierza Wysockiego.

M.Ph. W jaki sposób?

J.L. Wszystko zaczęło się od pogrzebu. Pochowano go na cmentarzu Wagańskim. Rodzice chcieli, żeby na Nowodziewieczym, ale im odmówiono: co wy, wczoraj umarł nam poseł, to nawet jego chowamy nie na Nowodziewieczym, a tylko w filii. A tutaj umarł jakiś aktor... Znaczenia Wysockiego nikt z nich nie pojmował...

M.Ph. Chyba jednak pojmowali i bali się, jeśli Pan uważa, że wszystkie nieszczerstwa zaczęły się od pogrzebu Wysockiego...

J.L. No, to jest zbieg okoliczności. Nie, nie pojmowali... Zamiatin, redaktor "Prawdy", krzyczał na mnie przez telefon: "Wszyscy jesteście antysowieckimi, a ten zapity typek, no, miał jakiś talencik, ale nawet to przepił! Też mi coś, parę piosenek ułożył...".

M.Ph. Czy to było wtedy, gdy zabroniono wam wystawić spektakl poświęcony pamięci Wysockiego?

J.L. Tak.

M.Ph. A od czego zaczęły się ostatnie zakazy jednego spektaklu po drugim?

J.L. Wszystko od śmierci Wysockiego. Pochowaliśmy go, na szczęście, Bóg pomógł, po swojemu. Nikt z nich nie przemawiał, ta młóckarnia urzędowa nie pracowała, a mówili przyjaciele. Być może, od dawna już w Moskwie tak po ludzku nie chowano poety i ja zacząłem szanować moskwian. Wtedy trwała olimpiada, ale przyzwoici ludzie nie o olimpiadzie myśleli, tylko o śmierci takiego znakomitego poety. Jest to zadziwiające zjawisko, które wymaga jeszcze analizy. Dlaczego właśnie on zdążył o tym wszystkim zaśpiewać i napisać, a oficjalni poeci jakoś omijali te odkryte przez niego lądy? Żyją tutaj, ale jakoś nikt o tym nie pisał, nie komponował. Mistrzowie z góry poklepywali go po plecach. Myślę, że Wysocki ma dla Rosji większe znaczenie, niż oni. Właśnie dlatego tak się stało, że los usytuował go obok Jesienina. Przecież to zdumiewające zjawisko, ten Włodzimierz. Stworzył tysiące wierszy, nie mówię o tym, które są lepsze, a które gorsze, rzecz nie w tym. Nawet jego śmierć wywołała akty twórczości. Popatrzcie na jego grób. To było niezwykle, jak go chowano! Cała Moskwa, tysiące ludzi przyszło... I jestem wdzięczny losowi, że teatr zdołał pochować go tak godnie, i w sumie nie przeszkadzano nam, bo zrozumieli, że my i tak zrobimy, jak chcemy.

M.Ph. Ale zaczęli wam przeszkadzać, kiedy próbowaliście wystawić spektakl poświęcony jego pamięci?

J.L. Tak, potem zaczęły się kłopoty. Nie wybaczone nam tego. Ludzie którzy nie lubili Włodzimierza i teatru razem z nim i ze mną, zaczęli nas złośliwie atakować. Było dla nich nie do pomyślenia, że trzeba zrobić wieczór poświęcony jego pamięci w rocznicę śmierci. Na tydzień przed tym wieczorem wezwał mnie do siebie kierownik Zarządu do spraw sztuki teatralnej, Amurow. Teraz jest dyrektorem MChAt-u; jestem pewien, że na to swoje stanowisko już wtedy sobie zasłużył. Oświadczył mi, że żadnego wieczoru nie będzie. "Widzicie, idę na urlop, dzisiaj już piątek, piąta po południu, a od poniedziałku jestem na urlopie, a więc problem jest już rozwiązany. Jeśli chcecie, to zróbcie u siebie w mieszkaniu". - "Ale przecież to jest wieczór poświęcony jego pamięci, mamy prawo to zrobić". - "Nie, zróbcie u siebie w domu". Mówię mu: "No dobrze, zrobię w domu, dobrze, że mam jeden pokój duży, ale będziecie, kierowniku Zarządu, tego żałowali". Ale to był rozkaz, oczywiście, nie Amurowa, bo to mały pionek, lecz Demiczewa, który nie chciał, aby ten wieczór się odbył. On i za życia Włodzimierza zawsze go okłamywał. Demiczew obiecywał Wysockiemu nagrania, ale żadnych nagrań nie było. Tylko dzięki niesamowitej, nieludzkiej energii Włodzimierza, wbrew wszystkiemu, nagrał piękne płyty we Francji, w Ameryce i w Kanadzie. Tak go wszyscy kochali, że miliony ludzi mają teraz w domu te nagrania. Jakim barbarzyństwem był zakaz spektaklu, z którego 90 % było już ocenzone, zaakceptowane! Wybraliśmy wiersze i piosenki z jego ostatniego zbioru "Nerw", z płyt...

M.Ph. Widocznie bali się pielgrzymek, powtórzenie się tej samej sytuacji, jaka była na pogrzebie...

J.L. Możliwe... Jednym słowem, zabronili mi pokazać to przedstawienie i dali mi naganę. Zacząłem się miotać, rozmawiać z nimi przez wiertuszkę/1/. Na szczęście, są jeszcze tacy, którzy mi ufają i nie boją się i oni powiedzieli: "Dzwon". Zadzwoń i rozmawialem, jak to lud mówi, że wszystkimi portretami. Nieboszczyk Andropow zdziwił się dlaczego zwracam się właśnie do niego. Odpowiedziałem, że dlatego, że jest to problem polityczny i międzynarodowy i że tak czy owak będzie musiał nim się zająć. Przekonałem go, że to godzi w prestiż naszej ojczyzny i że nie trzeba irytować milionów wielbicieli Wysockiego w kraju. Czy się wam to podoba czy nie, ale miliony ludzi uwielbiają go i czczą.

M.Ph. Czy wtedy Andropow był już sekretarzem generalnym?

J.L. Nie, był szefem KGB. Z zdo był się na odwagę wydania zezwolenia na ten wieczór. Był to, sądzę, odważny czyn z jego strony, dlatego że Susłow, z pewnością, nie pochwaliby tej decyzji. Demiczew był na urlopie. Więc szybko ciutko zebrali się i udawali, że niby sami uważają, że wieczór powinien odbyć się. Jak gdyby nie ja to wywalczyłem. Ale taki teatr odbywa się u nich bez przerwy, cały czas. Zebrali się wczesnym rankiem dorośli ludzie i zaczęli udawać głupiego, że niby żadnych wskazówek nie otrzymywali i kierują się tylko wewnętrznym porywem. *Tak, Juriju Pietrowiczu, chyba macie rację. Wieczór powinien się odbyć*! Sprzeciwił się jedynie Iwanow - znany bałwan, był aktor teatru im. Wachtangowa, który udawał Japończyka i cały czas mówił: *Pocekamy, pocekamy*. Teraz doczekał się wysokiego stanowiska. Jest zastępcą ministra. Wtedy zaś po prostu nie wiedział, że jest już inną dyrektywa. Potem z tego powodu nawet ucierpiał, został zdegradowany. Ale teraz znów jest w porządku. Demiczew go przygar-
nął.

A zatem wieczór się odbył. Zorganizowaliśmy go wspaniale. Nie było żadnej Chodyнки /2/, wprost przeciwnie, wszystko przebiegało z niezwykłą dyscypliną, z powściągliwością i bólem. Ludzie parasolami ochraniali kwiaty, aby nie więdy, kwiaty, a nie siebie! Był to zdumiewający obraz. A wokół teatru ustawiono tymczasem podwójny kordon, przepuszczano tylko z zaproszeniami i niemalże za okazaniem paszportu. Żał było na to wszystko patrzeć, ale wieczór mimo to odbył się. Byli bliscy, było wielu naszych przyjaćliół z teatru. Przyszli wszyscy: i Bułat Okudźawa, i Bella Achmadulina, kompozytorzy - Sznitke, Edison, no, w ogóle, ei, którzy wiele lat współpracowali z Włodkiem, z naszym teatrem.

Była to próba zrozumienia poety, obalenia utrzymującej się uporczywie opinii, że to tylko piosenkarz, że jeżeli jedynie czytać jego wiersze oczyma, to nie jest to poezja. Gdy pracowałem nad spektaklem czytałem setki jego wierszy, do których nie ma muzyki. Są to wspaniałe wiersze. To zadziwające, jak szybko przed śmiercią dojrzewał, stawał się niezwykle ciekawym poetą i od strony formy, i wyboru leksyki, i głębi myśli. Rozumiał wówczas sąkownikie jasno, że w domu, w ojczyźnie żyć już nie jest w stanie, ale czuł, że i bez Rosji, za granicą żyć też nie będzie mógł. I on po prostu zajął się siebie, jak konia, tak jak śpiewał w swej ostatniej piosence o koniach: "I nie zdążył dożyć i nie zdążył dośpiewać".

Nie miał dla siebie pobłażania. Rzadko się zdarza, aby człowiek tak gardził sobą, czasami za jakieś głupstwo. Niekiedy karał się za tchórzostwo, co może dziwić w jego przypadku. Dla mnie jest on wzorem odwagi i takiego niespożytego, szalonego temperamentu, który spalił się, jak piorun kulisty, o którym nigdy nie wiadomo, dokąd odleci i gdzie się rozerwie... Kiedy chcieliśmy postawić nagrobek, pomyśleliśmy o meteorycie. Mówiono nam, że to niemożliwe, ale nawet starzy członkowie Akademii Nauk sądzili, że trzeba na mogile położyć kawałek meteorytu. Przecież naprawdę, meteor jest jego symbolem. Teraz, niestety, nie wiem, jaki jest los tego nagrobka.

M.Ph. Mówiło się o tym, że w przeszłości Andropow opiekował się teatrem i Panem osobiście. Czy to prawda?

J.L. Nie, po prostu kiedy zdjęto mi pierwszy spektakl "Zabici i żywi", to przyjaciele zorganizowali mi spotkanie z nim. Był wtedy sekretarzem KC. Przeprowadziłem z nim długą rozmowę. Zaczął ją od tego że powiedział: "Dziękuję wam jako ojciec". Nie zrozumiałem i mówię: "Za co właściwie?". - "Nie przyjęliście moich dzieci do teatru". Oka-
zało się, że jego dzieci bardzo chciały zostać aktorami, przyszły więc do mnie. Manaz tatą byli przerażeni. Dzieci miały mleko pod wą-
sem i powiedziałem im, że wszyscy chcą trafić, ale w pierw trzeba

skończyć studia, a teraz nie można... Wróciły we łzach - srogi wujek odmówił, długo prawil kazanie... I zaczął za to mnie szanować. Powiedział mi: "Nie potrafiliśmy im tego wyperswadować, a wy powiedzieliście to tak surowo, że posłuchały".

M.Ph. Ale ostatnimi laty Andropow Panu nie pomagał?

J.L. Już się nie mieszał do spraw teatru. Kiedy z nim rozmawiałem, zrobił na mnie wrażenie człowieka mądrego. Od razu powiedział mi: "Rozwiążmy niewielki problem, wszystkich problemów i tak się nie rozwiąże". Ja mówię: "Oczywiście, oczywiście, najmniejszy. Ot, gdybyście pomogli nam pokazać przedstawienie Zabici i żywi! Przecież to jest o poległych na wojnie, ku ich pamięci".

A za całą tą historią z "Zabitymi i żywymi" kryło się po prostu to, że wybraliśmy nie ten zestaw poetów. Tak wyglądają ich kompetencje: Kulczyckiego wzięli za Żyda i prosili zastąpić Swietłowem, a w rzeczywistości to Swietłow jest Żydem. Wśród wybranych przez nas poetów byli Kogan, Bagricki, Kulczycki, Pasternak, który, widoocznie, też wywołał wielkie oburzenie... W swoim czasie pewnego razu przyszedł do nas Mikojan, który wtedy był przewodniczącym Rady Najwyższej. Oglądał "Dziesięć dni". Miał kamienną, abstrakcyjną twarz... Zapytał: "Jak się wam powodzi, jakie macie trudności"? Ja mu i mówię: "Zdjęto nam Zabitych i żywych . - "A dlaczego?" + "Bo zestaw nie ten". I opowiedziałem mu przypadek z Kulczyckim. Mikojan na to: "A zapytajcie się ich, czy decyzje XX i XXII zjazdu są anulowane?" - "Ja, i oczywiście mogę zapytać, ale czy nie lepiej byłoby wam, jako przewodniczącemu, zapytać ich o te decyzje?"

I tutaj pierwszy raz popatrzył na mnie oceniającym, uważnym spojrzeniem. Przedtem to była maska. I zrozumiałem, że z nimi należy rozmawiać otwarcie i wprost, do tego, oczywiście, potrzeba odwagi. Ale ja byłem w rozpaczliwej sytuacji. Teatr rozpoczął dopiero swoje istnienie, zdjęto przedstawienie, na które bilety już zostały sprzedane, na miesiąc naprzód... Teraz tę praktykę zarzucono, teraz nam wcześniej podpisują afisze i my sami niczego nie możemy orzekać. Nawet premiery nie możemy ogłosić, naruszona została nsjstarsza tradycja teatralna! Podpisujemy wcześniej repertuar na miesiąc i to oznacza, że nie mogą planować nawet premiery, dopóki oni nie obejrzą jej i nie zatwierdzą.

Teraz na wszystkich afiszach w Moskwie można zapeczytać: "Spektakl będzie ogłoszony osobno". To znaczy, że oni przyjdą i będą decydować, czy zezwolili na spektakl, czy nie. I jeżeli przedtem przychodziło ich z pięciu, sześciu, to teraz przychodzi ich stu pięćdziesięciu - dwustu. Jak szarańcza.

M.Ph. W jakim momencie przychodzą na próbę? Jak się to wszystko odbywa?

J.L. Przychodzą na odbiór przedstawienia. Oficjalnie nazywa się to "przekazaniem Zarządowi".

M.Ph. Jak zdejmovano spektakl o życiu Fiodora Kuzkina?

J.L. To długa historia. Zdejmovano po 3 razy. Pierwszy raz zdejmowała Furcewa. Na zamkniętym pokazie było kilku zastępców ministra, ja z autorem, potem przekradł się Wozniesiński, ale już scenarzystę i kierownika literackiego teatru nie wpuszczono. Teatr otoczono, wszystkie drzwi zamknięto, w ogóle zadball o wszystko... Furcewa po tym pokazie po prostu wściekła się, wrzeszczała: "Przecież obcokrajowiec nawet nie musi nigdzie jeździć! Wystarczy obejrzyć takie przedstawienie i wszystko staje się jasne! Goście wymyślili!" Cała dyskusja była komediową, fantastyczną sceną, którą trudno opisać. Przemawiali młodzi ludzie, przymilali się: "Coś podobnego! Pozwólcie wypowiedzieć się! Nie mogą milczeć, Katarzyno Aleksiejewno!". A ona do niego: "Mów, mów, mój drogi, śmiało powiedz im wszystko prosto w oczy!"

Autor po wysłuchaniu tych tyrad wstał. Widocznie po wystąpieniu jednego z młodych wazelinarzy nie wytrzymał nerwowo. To człowiek poważny, potrafi mówić, więc zwraca się do Furcewej: "Katarzyno Aleksiejewno, czy nie widzicie, kogo wychowaliście!". Jeden z młodych próbował coś powiedzieć, ale autor mówi mu: "A wy, młody człowieku, usiądźcie. Jak wam nie wstyd? Taki młody i już taki żaloszny karierowicz! Ale czy was, ministra Rosji, nie przeraża to, jakich ludzi wychowujecie?"

I wygłosił wspaniałą mowę, dał im taką lekcję... Pewnie z dziesięć minut słuchali tego, byli zaszokowani. Potem Furcewa zaczęła wrzeszczeć: "Wielka rzecz, też mi szestdziesiątnik się znalazł! 3/3" Cały teatr przysłuchiwał się przez radio tej dyskusji. Nagle do sali zajrzał mały aktor - komik Dżabraiłow. W sztuce latał jako anioł i sypał z nieba manną biednemu Kuzkinowi, żeby mu się lepiej żyło. I Fursewa krzyknęła: "Ej, wy, chodźcie no tutaj. I nie wstyd wam latać w takich łachmanach?". A on taki mały, mówi do niej: "A nie wstyd. I nawet bardzo nie wstyd". To był istny cyrk. Pamiętacie, jak nad Moskwą wisiał transparent: "60 lat Cyrku Radzieckiego"? Potem, co prawda, ktoś pomyślał i transparent zdjęto. Oni mają kompleks niższości. Wszystko odnoszą do siebie.

Wszystko to działo się akurat wtedy, gdy zdecydowali się na inwazję Czechosłowacji i kiedy Aleksander Twardowski miał wielkie nieprzyjemności: zmienili mu część redakcji "Nowego Miru". A na Flodora Kuzkina wszystkie nieszczęścia spadły, jak wiadomo, na św. Froka, czyli 18 sierpnia. A przedstawienie było zrobione w ten sposób, że Kuzkin, którego grał Żołotuchin, ubierał się w swój kostium i wertował "Nowy Mir" 4/. Potem ten miesięcznik wieszka na brzozech kij i wbiła w podłogę. Wiele było tam takich brzoź, a na brzożach cały świat - domki, anteny, cerkiewne cebulowate wieżyczki... I sztuka zaczynała się od tego, że wielu wieszkało na brzożach "Nowy Mir". Furcewa wrzasnęła: "Co to takiego, powiesiliście na brzożach

Nowy Mir? Patrzcie no, jaki sztandar wywieśli! Myślicie, że daleko z nim zajedziecie?". A ja jakoś nie zrozumiałem i palnąłem: "A wy sądzicie, że ze swym Październikiem daleko zajedziecie?". Miałem na myśli miesięcznik /nazwa oryginalna - "Oktjabr" - przyp. tłum./, ale ona wściekła się, widocznie pomyślała, że ja mówię o Rewolucji Październikowej. Krzyknęła: "Ach taki!", ubrała swoje karakułowe futro i pobiegła, jak się wyraziła, pisać list do sekretarza generalnego o mojej szkodliwej działalności.

Zresztą, oni już z góry zdecydowali o wszystkim. W przeddzień, Furcewa w jakimś prywatnym mieszkaniu mówiła: "Jutro pojadę do tego Lubimowa zdjąć przedstawienie. Pokażę mu, jak się inscenizuje!". Rozumie pan, że to wszystko to była gra. Tylko oni grają do jednej bramki i do tego jeszcze bramkarza usuwają.

Dokładnie tak samo wszystko zawczasu było postanowione, kiedy ministrem był już Demiczew. Dyskusja odbywała się od razu po spektaklu w pomieszczeniu teatru. Sama sztuka o Kuzkinie zakończyła się, ale druga trwała jeszcze trzy godziny, tylko już z innymi, specjalnie przywiezionymi, bohaterami. Zamiast zajmować się rolnictwem, zaczęli kierować sztuką. Pamięta pan, była taka "legendarna" brygadziśka brygada polowej Zagłada. Uczyła ona zmarłego Janszyna inscenizacji. A on jej na to: "Dziękuję wam, ale ja bardzo lubię ssać tę. Dlaczego jest ona taka droga na rynku? Lepiej zajęlibyście się tym, a spektakl to ja już będę wiedział, jak wystawić". Bardzo się za to obraził Chruszczow i nawet chciał Janszyna ukarać.

I tutaj także występowali jacyś zastępcy ministra, słynni kołczoźnicy, bohaterowie pracy socjalistycznej, zastępca redaktora gazet o nazwisku Cariew. Mówili z oburzeniem różne brednie, a Cariew doszedł aż do sławnego zdania: "Nawet gdyby wszystko było tak, jak oni przedstawiali, to my i tak będziemy uważać, że tego nie było!". Oto jakie perły! Była taka bitwa, jakiej dawno nie widziano w Moskwie.

Szołouchin bardzo dobrze powiedział: "To jest tak, jak gdyby na omówienie Rewizora przywieziono wszystkich gorodniczych. Oni by od razu zamknęli sprawę". Ale nie, minister - taki niby wnikliwy - najpierw udał, że puszcza spektakl, a potem odjechał z teatru do Ministerstwa i natychmiast wydał zakaz. Dla pozorów zawracali mnie i autorowi głowę, zażądali zrobienia 90 poprawek. Wszystkie wprowadziliśmy, a oni i tak spektakl zdjęli. Wszystko było z góry zadeądowane.

Na szczęście, tę dyskusję ktoś nagrał i przekazał do "Le Monde u", gdzie wszystko to zostało opublikowane. Dobrze, że tam podano, od kogo otrzymano nagranie, bo inaczej to by mnie to przypisali i daliby, że hej!

M.Ph. A co się stało z inscenizacją "Borysa Godunowa"? Dlaczego i go zdjęli?

J.L. Myślę, że wybrałem zły okres, właśnie umarł jeden wódz, a drugi zajął jego miejsce. Ale przecież sztukę przygotowywaliśmy od dawna i nic takiego nie miałem na myśli. Jednak oni cały czas szukali, jak się wyrażają, aluzji, podtekstów. Jest to szczególnie krzywdzące w stosunku do "Borysa Godunowa", dlatego że sztuka ta ma tragiczny los. Operę "Borys Godunow" wystawia się na całym świecie, ale sztuka z reguły idzie z pięć razy i z powodu nudy ją zdejmują. A nam, jak mówią znawcy, przedstawienie wyszło, wielu widziało sztukę na próbach. A propos otwartych prób - otrzymywałem za nie wymówki, teraz to też jest zakazane, chociaż nawet za Stalina było możliwe. To gromada nierobów, którzy "zajmują się sztuką", cały czas wyszukuje jakieś nowe instrukcje, punkty, podpunkty... Szołuchow, kiedy był trzeźwy i przytomny, napisał kiedyś: "Wkrótce będziecie mi rozkazywać, jak mam sypiać z żoną!" Nieroby rozmnażają się jak pluskwy, po prostu nie mają nic do roboty.

M.Ph. Czy to znaczy, że "Borys Godunow" pojawił się nie na czasie, czy zbyt na czasie?

J.L. Zbyt na czasie! Zaczęli zgadywać, kto u mnie jest Borysem, a kto samozwańcem, aż wpadli na myśl, że samozwaniec do Andropow. Całkiem zgłupieli. Mówię im: "Jak możecie tak myśleć? Przecież samozwaniec przyprowadził ze sobą wojska!"

M.Ph. Gdzie się odbywały te dyskusje? Dokąd Pana wzywano?

J.L. Wzywano mnie do rozmaitych instancji. Ostatnie omówienie miało miejsce u kierownika wydziału KC. Napisałem list do Andropowa, a dalej wszystko było już osłonięte tajemnicą. Najpierw chciał mnie przyjąć, było to już postanowione. Dwa razy potwierdzano, że przyjdę. Potem, widocznie, zachorował, on cały czas chorował i to bardzo poważnie. Sekretarz powiedział mi, że towarzysze zorientują się i towarzysze intensywnie orientowali się ze mną z pięć godzin i w rezultacie powiedzieli, że wszystkie prace nam przerywają. Potem zapytali: "Jakie wyjście widzicie z powstałej sytuacji?" Mówię: "Wyjście widzę jedno - dymisja". Nastąpiła cisza. Pytam się: "Dlaczego tak źeście się zdenerwowali - przecież to moja dymisja, nie wasza?" - "Nie, wy macie obowiązek pracować" - krzyknęli chórem - "powinniście!".

M.Ph. Czy było dyskutowane Pańskie członkostwo w partii?

J.L. Nie. Po prostu raz mnie wyrzucano z partii - za spektakl o życiu Kuzkina. Wtedy w komitecie działalcowym na mnie krzyczano: "Nie chcemy oddychać tym samym powietrzem co wy". Ja odpowiadam: "Wyjdźcie, jeżeli macie trudności z oddychaniem, ja nie mam zamiaru". - "Czyj chleb on je?" - krzyczała jedna dama ze 120 kg wagi, kierowniczką fabryki cukierniczej. A w teatrze niczego nie widziała,

I czegoż żądać od tej damy, jeśli nawet Żiurajtis pisze podie donosy w "Prawdzie" i "Prawda" drukuje: "Ręce precz od naczej świętości Damy pikowej"! Przy tym "Prawda" nazwała "Pikową damę" poematem! A przecież "Prawda" posiada cały dział informacyjny, który zobowiązany jest nie puszczać takich lapsusów. Bez wstydu, bez sumienia! Tego Żiurajtisa po prostu poproszono, aby wykradł partyturę, a potem o Sznitkę, o człowieka ze światowym nazwiskiem, mówiono: "Popatrz, co wykombinował ten kompozytorek!" Czyż tak można obchodzić się z mistrzem! Był już przygotowany "gniew ludu pracującego", setki listów: "Ręce precz od Damy pikowej"! Ale, widocznie, w końcu zrozumieli, że przeholowali. To już śmierdziałe żdanowszczyzną, stalinizmem, tak że tę kampanię przerwano. Potem nawet po cichu przeproszono. Obrażono na cały kraj, a przeproszono po cichu w korytarzu.

M.Ph. Czy po tym, jak zdjęto inscenizację, był z "Godunowem" koniec?

J.L. Tak, zdjęli i powiedzieli "koniec". Po tym pojechałem do Mediolanu i wystawiłem tam "Lulu" A.Berga, otrzymując nagrodę za najlepsze operowe przedstawienie roku. Oczywiście, u nas o tym nie było ani linijki, tak jak w ogóle nigdy nic dobrego o naszym teatrze nie pisano. A przecież cokolwiek by o naszym teatrze nie sądzić, przed prawdą nigdzie nie uciekniesz: posiada on światową renomę. Sami niedawno wysłali go do Finlandii i prywatnie mówili, jakie to wspaniałe wstrząsające przedstawienie. Brak logiki w ich stosunku do naszego teatru i do mnie. Po prostu od 20 lat jest on poddany brutalnej i otwartej dyskryminacji. Wydaje mi się, że jest w tym duża część zemsty osobistej. Zemsty osobistej i przy tym jak u Gogola - strasznej. Rzeczywiście, strasznej, dlatego że siedzę w obcym mieście, zamiast pracować w swoim teatrze. A przecież przez te 20 lat do teatru chodziły miliony ludzi! I Wysockiego, tak jak dawniej, nie uznają albo zaczynają robić z niego coś zupełnie do niego niepodobnego, tak jak śpiewał w swej znakomitej piosence "Monument": "Czyż taki jestem wam potrzebny po śmierci?" Jakby w wodę patrzył.

M.Ph. Ale czyja to zemsta i z jakiego powodu?

J.L. Demiczewa. Już dawno stałem się z tym ministrem, kiedy był jeszcze sekretarzem KC. Kiedyś smutno powiedział Babel: "Spotkałem się ze Stalinem i na moje nieszczęście, nie spodobał mi się". Tak i my z Demiczewem. Towarzysz Demiczew nie miał do mnie sympatii. Podczas pierwszego spotkania powiedział mi, że jestem w złym otoczeniu, że mam złych przyjaciół. Demiczew głosił teorię filtrów: że będą w nieskończoność stawiać filtry, aby oczyścić mętny potok płynący w sztuce i literaturze. Ja oponowałem: "Otrzymałoby się wówczas wodę destylowaną, a ją można jedynie wlać do akumulatora. To, oczywiście, nie jest najgorsze, często nawet w aptece zdobyć jej nie sposób, ale wątpię, czy pomoże to sztuce". Demiczew rozmawia ze mną pięć godzin bez przerwy i ja dziwiłem się wytrzymałości jego pęcherza moczowego, sam ledwo mogłem wytrzymać... A potem liczbę nieżyczliwych mi ludzi powiększył Zimianin, tak że w tej sytuacji niczego dobrego nie mogę się po nich spodziewać.

M.Ph. Czy zwracał się Pan kiedykolwiek do Czernienki?

J.L. Korespondowałem z Czernienką. Kiedyś z pewnością wydadzą moją korespondencję z przywódcami. Przecież i do Breżniewa napisałem kilka listów, w których, na przykład, pisałem tak: "Wszystkie moje apele do ludzi, którym powierzyliście kierowanie sztuką wywarły na

mnie przygnębiające wrażenie. Ze spotkań z nimi wiało chłuszczyzną". Było to jeszcze w czasach Mao Tse Tunga. Kończyłem list tak: "Jeśli uznacie to za możliwe, to pozwólcie mi na kontynuowanie pracy w stworzonym przeze mnie teatrze". Naradzaliśmy się, były zastrzeżenia, że tak nie można, że trzeba łagodniej, ale mimo to posłałem Breżniewowi ten wariant. Świat nie jest pozbawiony dobrych ludzi i list trafił do niego. Katarzyna Aleksiejewna Furcewa bardzo dopytywała się przy każdym spotkaniu: "A w jaki sposób przekazaliście list?" Tłumaczę: "Bardzo prosto, jak wszyscy ludzie pracy. Podeszłem do okienka w sali przyjęć. Otworzono rankiem, o dziewiątej. Dama otworzyła kopertę, popatrzała, czy czegoś nie ma i potem, przebiegłszy list oczyma, mówi: "Boże, co to oni wymyślili, wypędzć was?"

Oczywiście, nie ta dama przekazywała list, nie trzeba być naiwnym. List trafił i do mnie zadzwoniono. Po raz pierwszy usłyszałem zdumiewające zdanie. Powiedziano mi, abym spokojnie pracował, nie denerwował się, że list został przeczytany. Potem sekretarz mówi: "Dalej według zapisu". Nie rozumiąłem o jaki zapis tu chodzi. Okazuje się, że dalej były przekazane słowa Breżniewa. Usłyszałem to po raz pierwszy i byłem zbity z tropu.

Następnego dnia rano było kolegium w ministerstwie kultury i w przerwie wszyscy unikali mnie, wiedząc, że jestem już straconym człowiekiem, że chociaż jeszcze tutaj chodzę, już mnie nie ma. I oto kiedy wszyscy palili, powiedziałem: "Wiecie, ja będę pracował". - "Jak to - będziecie pracować?". Wtedy przekazałem im tę rozmowę "według zapisu". Jeszcze w czasie tej rozmowy telefonicznej zapytałem się, czy mogę skorzystać ze słów Breżniewa i mi odpowiedziano: "Właśnie dlatego z wami rozmawiamy". - "No dobrze - mówię - a jak mi nie uwierzą?". - "Proszę się nie niepokoić. Uwierzą". I rzeczywiście, początkowo mi nie uwierzyli, ale przerwali gadulstwo i rozbiegli się. Ale potem szybko zostawili mnie w spokoju. Zmieszany komitet dzielnicowy, który wypędział mnie z partii i z pracy, siedział w pełnym składzie, z utkwionymi oczyma w papierki, rysując diablików, a przewodniczący mówił: "Wiecie, myśmy tutaj przemyśleli i zdecydowali, że możecie nadal pracować w teatrze. I co każde pięć minut pytali mnie: "Czy prawdziwo prowadzimy zebranie?" Mówię: "Prawdziwo, zawsze wszystko robicie prawdziwo".

M.Ph. Ale Pański ostatni list do ostatniego przywódcy, napisany już z Londynu, pozostał bez odpowiedzi?

J.L. Nie, znów okazało się, że na świecie pozostali dobrzy ludzie. Poprzednia odpowiedź była: niech przyjeżdża i pracuje spokojnie. Tymczasem, chodziły uporczywe pogłoski o tym, że już czterem osobom proponowano moje miejsce - miejsce głównego reżysera Teatru na Tagance. Przywoływano nazwiska A.Efrosa, N.Gubienko, Zacharowa, Dunajewa i mówiono, że wszyscy oni odmówili. Aktorzy naszego teatru wywalczyli przyjęcie u ministra kultury i zapytali go, czy nie może wysłać kogoś, żeby porozmawiał z Jurijem Pawłowiczem. Minister odpowiedział im: "Pracujemy z wami, a jego tu nie ma. Z Londynu, czy jak, będzie kierować teatrem?" Ale mimo to zapewniał aktorów, że nikt nie zamierza mnie zwalniać.

M.Ph. Dlaczego oni grali i grają z Panem w tę gry? Dlaczego po prostu nie rozwiązali teatru?

J.L. No, widocznie, trudno tak od razu zamknąć teatr, który cieszy się taką sławą. Chociaż, zresztą, dla nich nie ma nic trudnego. Ale mimo to, trzeba jednak jakieś pozory stearzać, tak jak na tych przekłetych procesach stalinowskich. Trzeba zawracać w głowach nieszczęśliwych ludzi, którzy zupełnie nie mają dostępu do

żadnych informacji. Nawet wielu, dziś już byłych, członków Biura Politycznego, kiedy przychodzili do mnie, zaczynało rozmowę od słów "Teraz dopiero okazuje się, kim wy jesteście!" Pytam się: "W jakim sensie, czy przedstawiano wam mnie jako bandytę, jakiegoś opryszka?" - "No tak, widzimy, że jesteście rozumnym, spokojnym człowiekiem, a nam mówiono..." Wszyscy wypowiadali się w tym duchu. Ale, co prawda, teraz nie mogą już być moimi obrońcami, nie ma już ich w Biurze Politycznym.

Kiedy wystawiałem spektakl o Wołodzie Wysockim, zrozumiałem jedną ważną rzecz: kiedy jeździł do Paryża i po całym świecie, zaczęło się u niego wewnętrzne rozdarcie. Zrozumiał, że potrzebny jest tam w domu, a w domu go zaszczuwano. Spiewał o tym w piosence "Polowanie na wilki".

M.Ph. Czy taka jest również Pańska sytuacja?

J.L. Tak. Wszystko to jest bardzo żałosne. Oczywiście, powinienem siedzieć w Teatrze na Tagance i pracować, ale w takich okolicznościach, jakie oni stworzyli pracować nie można. Mówią mi: "Cierpiąłeś dwadzieścia lat i nic! A teraz, widzicie, co mu do głowy przyszło, stroi z siebie nie wiadomo kogo. Niech pracuje tak, jak pracował!". Nie, tak pracować, w takich warunkach więcej nie będę! I oni powinni to zrozumieć. Wszystko, co najlepsze, co zostało w Rosji, jest zanepokojone tym, dlaczego wszystko tak się właśnie dzieje, co oni wyprawiają, kiedy wreszcie się zastanowią? No, niechby przypomnieli sobie historię, przypomnieli, ile inteligencji zniszczyli! Stalin zniszczył chłopów, którzy żywili Rosję i Europę! Dlaczego cały czas bawią się w chowanego, czyż myślą, że dookoła nich są same ślepe kocięta? Jakże to wszystko jest tępe i głupie!

M.Ph. Jaka jest Pańska sytuacja dziś?

J.L. Ofiejalnie jestem tu na leczeniu, na to mi pozwolono. Oficjalnie ciągle jestem na stanowisku głównego reżysera, ale, być może, teraz, kiedy tu rozmawiamy, jestem już zdjęty/5/. W każdym razie dyrektor do mnie nie dzwoni, dzwonią tylko aktorzy. Oni się nie boją, a dyrektor boi się nawet nadzwonić i zapytać chociażby o zdrowie.

M.Ph. W jednym z wywiadów powiedział Pan, że^{bez} stworzenia Panu minimalnych warunków, że dopóki nie zmieni się polityka kulturalna w Związku Radzieckim, Pan nie będzie mógł pracować na Tagance, do domu Pan nie pojedzie.

J.L. Tak, mogę to teraz też potwierdzić... Praca tam nie ma sensu. Chcę pracować w teatrze, ale w takich warunkach, jakie zostały stworzone mi w ostatnich latach, nie mogę pracować.

M.Ph. Teraz do władzy doszedł Czernienko. Czy może teraz zmieni się polityka kulturalna?

J.L. Cóż, pożyjemy - zobaczymy, komu jest sądzone żyć. Na szczęście, nie oni o tym decydują. Zresztą, oczywiście, i to zagadnienie mogą sami rozwiązać.

x/ Pierwodruk: "Strana i Mir", nr 1, 1984.

/Od tłumacza/

1. Wiertuszka - telefon łączący bezpośrednio ludzi z elity władzy.

2. Chodynka - w czasie koronacji Mikołaja II w Moskwie, na Polu Chodyńskim 18.5.1896 roku podczas rozdawania carskich podarków powstał taki ścisk, w którym zginęło ponad tysiąc osób.

3. Aluzja do przedstawicieli radykalnej inteligencji rosyjskiej lat 60. XIX wieku.

4. Jeden z miesięczników literackich, będący organem dogmatycznego skrzydła wśród twórców i działaczy kultury.

5. Jak wiadomo, Lubimowa pozbawiono obywatelstwa radzieckiego a jej miejsce w Teatrze na Tagance zajął w końcu Efros.

Bronisław MAJ

+ + +

Powstrzymałeś bieg rzeczy, ustanowiłeś
przemocą ten nieruchomy, głuchy zgiełk, zasypałeś
źródło: na jak długo? na zawsze? Śmieszny: przeżyje
cię była rzecz; jesteś przypadkowy tak jak nieuchronny
bywa byle świt i tak śmiertelny jak wieczny jest dzień,
w którym bije źródło, niezmacane, spokojne...

+ + +

Tylko nie robiąc nic na pewno nie przykładasz ręki
do zła. Tyran, który poprzez swoich najemników zapanował
nad wszystkim, potrafiłby bowiem obrócić na swoją korzyść
twój każdy, najczystszy i surowy, czyn - dlatego nie
robisz nic. Więc jeszcze ucisz swoje serce: każdym
uderzeniem odpycha od ciebie zimny, spokojny brzeg
śmierci.

+ + +

Nie będą odpoznane twarze i imiona, w zgiełku
zagubi się sens pragnień, decyzji i prac - nie do rozróżnienia
będą słowa i czyny, kata i ofiary: nie oddzieli ich
i nie osądzi nawet najbardziej osuły i wytrwały z tych,
którzy przyjdą. Niezrozumienie, może litość, śmiech. Ale to,
co zostanie - będzie, choć bezimiennie, świadczyć: zrównaniem
słów i czynów, ofiary i zbrodni; zrównaniem: pracuj,
by nie ostatecznym.

+ + +

Pragniemy tego samego: po swojemu
je rozumiejąc - szczęścia. Ale warunkiem mojego nie może być
twoja hańba, niewola, śmierć. Różnimy się
bardziej niż kamień i owad, które przecież nie odbierają
sobie świata.

William Golding

Na szczycie fali

Co gotuje najbliższa przyszłość powieściopisarzowi w Wielkiej Brytanii? Czy można przewidywać jakąś zmianę w klimacie intelektualnym? Co nam przynosi powszechna oświata? Zanim spróbuję sformułować jakieś ogólniejsze stwierdzenia - które muszą z natury rzeczy być niepełne i nieściśle - powinienem zaprezentować zarówno moje kwalifikacje, jak i braki w kwalifikacjach do tego zadania.

Nigdy nie byłem nauczycielem akademickim, nie mam też pojęcia o sprawach wydawniczych. Ale przez dwadzieścia lat uczyłem języka angielskiego w dużej humanistycznej szkole średniej i próbowałem jeszcze dłużej pisywać rzeczy, które określałem jako "literaturę znaczącą". Przez piętnaście lat jeździłem po kraju wygłaszając odczyty po wsiach i przysiółkach, prowadząc wykłady dla dorosłych w dużych i małych miastach, w obozach wojskowych. Z natury jestem optymistą, ale ułomna logika - czy też logika, oo do której niekiedy żywie rozpaczliwą nadzieję, że jest ułomna - czyni ze mnie pesymistę. Myślę, że najlepiej będzie przedstawić najpierw przygnębiającą logikę wraz z wszystkimi jej porurymi implikacjami, zakończyć zaś pogodniejszym, irracjonalnym wywodem, zaprzeczającym całkowicie pierwszą część.

Lata pięćdziesiąte i początek sześćdziesiątych były wspaniałym okresem dla literatów. Możemy sobie kpić albo ubolewać nad szerokim obiegiem niektórych czasopism i książek, ale przecież nie odbierają one miejsca rzeczom lepszym. Stanowią tylko dodatek. Znajdujemy się oto na szczycie fali powszechnej oświaty, możemy patrzeć wprzód ku lądowi i, oglądając się wstecz, ku pełnemu morzu. Jesteśmy naprawdę wysoko, a fala jeszcze się nie załamata, by dalej potoczyć się zgrabnym grzebieniem zanikającej piany. Żyjemy w złotym wieku oświaty; postaram się wyjaśnić, dlaczego tak myślę. Odmiana zaczęła się przeszło sto lat temu, wraz z ukazaniem się serii wydawniczej Sto Najlepszych Książek. Miano w niej publikować - i sprzedawać po sześć pensów za tom - najcenniejsze rzeczy, jakie kiedykolwiek pomysłano i wypowiedziano, w formie przystępnej dla niższych kręgów czytelniczych.

Przeoglądam uważnie "Dzieje" Herodota, przetłumaczone specjalnie dla tej serii. Znajduję w nich ustępy drobnego, szarego druku, trudniej czytelne niż Rawlison/1/, mniej wiarygodne niż Bohn/2/. Najwyższa, najbardziej przystępna i zajmująca ze wszystkich książek historycznych zmieniła się w pańszczyznę, w ciężki obowiązek, przy którym zdołałby wytrwać do końca tylko ktoś bardzo zawzięty i zdecydowany zostać człowiekiem wykształconym. Pamiętam jednak, że słyszałem o kimś takim, kto przeczytał całą tę serię, od pierwszej do ostatniej książki. Był to górnik i zarazem świecki członek gminy prowadzący nabożeństwa. Czas, którego nie spędzał na dole, poświęcał w całości służbie Bożej. Lecz mimo to wiedział, że poza węglem i Panem Bogiem istnieje jeszcze inny świat, który można by nazwać humanistyką albo kulturą, albo oświatą.

Biblia nie wystarczała mu, nie wystarczała też Paley/3/, "Poważne wezwanie", "Odpoczynek świętego", "Harmonia", "Dziennik" Wesleya/4/, Józef Flawiusz czy "Obfitość łaski". Oprócz tego wszy-

stkiego istniała jeszcze jakaś przeczuwana światłość; był jej spragniony w sposób, który musiał go niepokoić, ponieważ według jego surowych norm była to światłość doczesna. W końcu, po najdokładniejszym roztrząśnięciu swego sumienia, doszedł do wniosku, że zdoła zaoszczędzić co dzień odrobine czasu wolnego od węgla i od Pana Boga. Każdego ranka rozniecał ogień w kominie za pomocą miechów. Zamontował do nich odpowiednie sprzężo i poruszał je stopą. Gdy płomień rozżarzał się w mrokach zimowego świtu, on odczytywał jakiś ustęp z ksiątki, a że był człowiekiem nieprzeciętnym, oddany w pełni swojemu zadaniu, uczył się tego ustępu na pamięć. Był on moim przodkiem - jeżeli wolno użyć tego słowa w odniesieniu do tak pospolitej rodziny - i nie wiem o nim nic więcej; ale tradycja owych miechów przetrwała. Jeśli chodzi o tę trzecią, doczesną dziedzinę działalności mojego przodka, to obecnie żyjemy w jej złotym wieku.

Przypominam sobie w związku z tym pewien obraz. H.G. Wells gdzieś go opisuje. Dwoje dzieci promieniejących urodą, chłopiec i dziewczynka, jedno i drugie czystuńkie, wspaniałe okazy, spoglądają na wstający świt. Przystojna kobieta, najwidoczniej dbająca o higienę, jedna z tych, które chętnie nawiedzały wyobraźnię Wellsa, klęczy obok dzieci obejmując ich ramiona i pokazuje palcem jasność na niebie. Ta kobieta to Oświata.

Zgadzam się z zapakem. Oświata powinna być taka właśnie, może być taka, czasem naprawdę bywa taka. Znam tamte dzieci, uczyłem je. Powracam myślą do szóstoklasistów z lat dwudziestych i zestawiam ich z tymi szóstoklasistami, których uczę obecnie. Gimnazjaliści z lat dwudziestych byli niższego wzrostu, niektórzy niedożywieni, często brudni, chudzi, zawzięci i pełni życia. Walczyli pazurami o lepsze miejsce dla siebie pod słońcem. Dzieci tamtych chłopców to właśnie owe dzieci z obrazka, wjeżdżają ruchowymi schodami aż do punktu, w którym się z nimi spotykam jako z szóstoklasistami; rosłe, czyste, fizycznie wspaniałe osobniki, które dałyby radę wyrzucić mnie przez okno - ludzie tak niepodobni do swych ojców, jak kalifornijski owoc niepodobny jest do dzikiego jabłka. Tak, dzieci z obrazka znajdują się już wśród nas.

A co się stało z kobietą? Wszystko w porządku, jest wciąż na swoim miejscu. Ale jest już inna. Mimic że obecnie wykazuje skłonność do myślenia w punktach i pod-punktach, nie można jej nazwać urzędnikiem państwowym w ścisłym znaczeniu tych słów, gdyż sugerowałoby to taki stopień uczciwości w kierowaniu, jaki jest obcy naszej rodzimej hipokryzji. Dlatego też nie ncsi ona spódnicy i bluzy, stanowiących służbowy mundur poczmistrzyni. Nadal ubiera się w niemal klasyczne szaty, symbolizujące prawdę, dobro i piękno. Ale twarz ma pobrużdżoną zmarszczkami irytacji i rozgoryczenia. W ręce zgiętej ku drugiemu ramieniu trzyma wagę, żeby dzieci mogły zobaczyć, że to, co leży na jednej szalce, waży więcej niż to co na drugiej. U małego palca zwisa jej cyrkiel, żeby dzieci mogły sprawdzić, że dany przedmiot jest dłuższy od drugiego przedmiotu. Prawą ręką wskazuje nadal ku jasności świtu, ale dziewczynka ziewa, a chłopiec wpatruje się we własne stopy. Źródłem irytacji i rozgoryczenia na twarzy Oświaty jest to, że ona sama czegoś się nauczyła, mianowicie tego, iż zasób materiału do nauczania jest równie ograniczony jak liczba ludzi, którzy potrafią nauczać; że nie można sni jednego, ani drugiego wyprodukować czy też kupić gdziekolwiek. Na koniec, i to jest najważniejsze - pod wpływem tej myśli rozgoryczenie kobiety przemienia się w paniczną trwogę; wskazuje ona dzieciom pewien kierunek, ale coś pcha ją samą w inny kierunek.

Jesteśmy jak człowiek, który oddaje słowami hołd kulturze, spokojowi i medytacji, natomiast czynami dowodzi, że wierzy prawdę tylko w zbijanie fortuny. Otoczony wielką mnogością rzeczy, próbuje wszystko to pojąć. W końcu nie robi nic albo chodzi jak cień za jakimś nieprawdziwym przedmiotem, który przyciąga jego pożądanie. Wprawdzie Oświata wciąż wskazuje palcem, przynajmniej oficjalnie, wspaniałą jasność świtu, ale musiała wreszcie zrozumieć, całkiem przyziemnie, że tak naprawdę to potrzeba nam techników i urzędników, żołnierzy i lotników, i że tylko ona może ich dostarczyć. To, co robi obecnie, ciągle nazywa "oświatą", ponieważ jest to słowo przyzwoite i dostojne - ale powinna to nazywać "przyczuczeniem" lub "tresowaniem", jak w odniesieniu do psów. Według koncepcji Welsa, w głębi świadomości owej kobiety tkwiło pojęcie "filozofii przyrody", ale słowa te wywoływały zbyt rozległe i odległe sugestie, za bardzo nieużyteczne w skali narodu, zbyt dobitnie akcentowały "wiedzę", z uszczerbkiem dla "działania".

Teraz chyba powinienem przyznać, że wszystko co powiedziałem dotyczy nauki w cudzymowie; czynię to z drżeniem lęku. Atakowanie "Nauki" jest bowiem równoznaczne z zainkasowaniem etykiety reakcjonisty, a chwalenie jej otwiera drogę do taniej popularności. "Nauka" stała się rydwanem zwyczajcy, na który powskakiwali proboszczowie i gwiazdory telewizji, powieściopisarze i politycy, właściwie wszyscy ludzie czynni w życiu publicznym i potrzebujący łatwego podsadzenia w górę, wszyscy, którzy są albo niezdolni do myślenia, albo dążą do kariery zbyt egoistycznie, aby postugiwać się w tym celu myśleniem. I oto szary człowiek, wskutek uporczywego powtarzania pół-prawd, daje się przekonać, że nie ma na świecie nic ważniejszego nad "Nauką", Oświata zaś także dała się przekonać na wpół. Nie można jednak nazbyt często ani nazbyt głośno powtarzać, że "Nauka" nie jest najważniejsza. Ważniejsza od niej jest filozofia, podobnie historia, podobnie uprzejmość, jeśli tak postawimy sprawę, podobnie percepcja estetyczna. Nie mówię o religii, bo ona wykracza poza temat niniejszego artykułu. W skali naszego kraju doszło do tego, że gonimy za nagą, niechlubną siłą, choć zdawało się nam, że dążymy do filozofii przyrody.

Wpływ takiego stanu rzeczy na atmosferę uczuciową jest już dostrzegalny. Proszę zauważyć, że nie rozporządzam żadnymi dowodami statystycznymi, które mógłbym przedstawić, chyba że przekonania wyrosłe z doświadczeń mogą być uznane za nieświadome dane statystyczne. Zdaję sobie sprawę, że wszystko co tu mówię może być jedynie przybliżeniem do prawdy, ponieważ sama prawda budzi od każdej strony tyle zastrzeżeń, jest tak śliska, że trzeba ją chwycać, kiedy i jak się da. Znajdujemy się jednak na szczycie fałi, jesteśmy zatem zdolni widzieć na pewną niewielką odległość przed nami.

Pisząc opinię o sprawowaniu się jakiegocś ucznia można przyznać, że nie jest on bez zarzutu. Zawsze można było tak napisać. Ale dzisiaj dostrzegamy tu pewną zmianę, akcenty są rozłożone inaczej. Można wytknąć chłopcu niedbalstwo, można odnotować z ubolewaniem jego skłonność do tyranizowania słabszych od siebie uczniów. Można nawet sugerować, że przepadki wyciągania drobnej monety z kieszeni płaszczy wieszających w szatni wskazują na to, że chłopiec czuje się głęboko nieszczęśliwy. Kto wie, czy nie zaniedbano go w okresie przemian wieku dojrzewania? Czy nie jest mu potrzebna inna postać ojcowska, a zatem - czy nie należałoby spróbować zmienić psychiatrę? Wszystko to można powiedzieć, ponieważ żyjemy na ogół w przeświadczeniu, że istnieje jakiś mechanizm,

jakas ekspertyza, która pozwoli sporządzić jedwabną sakiewkę ze świńskiego ucha. Ale jednej rzeczy nie wolno powiedzieć, gdyż uznano by to za obrazę nie do naprawienia, obrazę zarówno dla chłopca jak i dla jego rodziców. Nie wolno powiedzieć, że chłópiec jest nieinteligentny. Jeżeli powiesz to, rodzice poczną cię ścigać niczym pocisk zdalnie sterowany. Wiedzą oni, że inteligencji nie można kupić ani stworzyć. Wiedzą też, że inteligencja jest drogą do udanego życia, do tego oszukańczego celu, ku ktrepmu dążymy nie przyznając się, do nagłej siły, prestiżu, do dwóch samochodów i podróŜowania samolotem. Oświata wskazuje ręką nieodmienny kierunek, sama jednak kroczy w tę stronę co oni: w stronę świata, w którym lepiej być obiektem zawiści niż nie być zauważanym, lepiej dobrze zarabiać niż być szczęśliwym, lepiej odncsić sukcesy niż być cnotliwym - lepiej być podłym niż być uważanym za podłego.

Muszę być ostrożny. Wydaje mi się wszakże, iż pomija się pewną oczywistą prawdę. Nasza ludzka kondycja, nasza zdolność do wspólnego przeŜywania pełnego i owocnego życia nie polega na wiedzy o rzeczach dla samej wiedzy, ani nawet na umiejętności eksploataowania naszego otoczenia. Są to w najlepszym razie amatorskie zainteresowania i zabawki - zabawki dla dorosłych; zresztą ja pierwszy nie chciałbym być ich pozbawiony. Nasza ludzka kondycja zasadza się w zdolności wydawania sądów o wartościach i nienaukowych ustaleń, w zdolności decydowania, że to jest dobre, a tanto złe, to szpetne, a tanto piękne, to sprawiedliwe, a tanto niesprawiedliwe. Na te pytania "Nauka", uzbrojona w swoje pomiary i analizy, nie potrafi odpowiedzieć. Można odpowiedzieć na nie wyłącznie metodami stosowanymi przez filozofię i sztukę. Potężna siła, jaką nas obdarza metoda naukowa, płącze się nam z siłą najważniejszą, jaką jest zdolność wydawania sądów o wartościach - cel kształcenia ludzi.

Wahadło odchyliło się zbyt daleko. Był taki okres w dziejach cświaty - pamiętam go jeszcze - kiedy nauki ścisłe dzielnie i z poświęceniem walczyły o swoje prawo do życia. W tamtych czasach byle durnia, któremu wbito Homera przez tyłek do głowy, uważano za bardziej wykształconego niż inteligentny i dociekliwy filozof przyrody. Obecnie jednak w środowisku oświaty snuje się mnóstwo widmowych postaci, które, składając ukłon pod adresem nauczania religii i literatury, jednocześnie nie spuszczają z oka laboratorium, gdzie zamieszkał ludzki szacunek, fajne jutro, władza. Nauki humanistyczne stają się ubogimi krewnymi. Bo nauki humanistyczne nie potrafią wyleczyć choroby ani zwiększyć produkcji, ani zapewnić obronności kraju. Umiejją tylko leczyć lub łagodzić choroby siedzące w człowieku tak głęboko, że w naszym nowobogactwie zaczynamy je uważać za wmontowane w nas od urodzenia; są to - nuda i przesyta, samolubstwo i strach. Mglisty obraz przyszłości, stawiany nam przed oczami przez partie polityczne jako wyraz naszych pragnień, to dobrobyt bez granic, zdrowie pozwalające przeżyć tuzin okresów licencyjnych stacji telewizji i... dużo, dużo wszystkiego; ponadto partie polityczne nadają naszej oświacie obowiązkowo taki kształt, żeby można było w niego wpisać ów obraz.

Ubočnym skutkiem tego jest wzrost znaczenia pomiarów i pomniejszenie zdolności do wydawania sądów o wartościach. Nie jest to skutek zamierzony, a w każdym razie takie twierdzenie będzie się spotykać z zaprzeczeniami. Skoro jednak środek ciężkości oddala się od cnot społecznych, od ogólnego wysubtelniania i rozwi-

jania zdolności właściwych człowiekowi, ponieważ nie jest to przedmiotem naszych prawdziwych aspiracji, żadne powtarzanie słownych deklaracji, żadne ratowanie twarzy nie zdoła zmienić faktu, że proces takiej przemiany jest w toku. Tam gdzie skarb nasz, tam również nasze serca.

Wreszcie - jak wpływa ten proces na powieść, formę literacką stawiającą czytelnikowi pewne wymagania? Przede wszystkim, jeśli pominiemy najsilniejsze i najbardziej wyjątkowe indywidualności, redukuje on do zera wszelki wrodzony smak. Ocena siły ekspresji w całym jej bogactwie ulega zamazaniu. Witalność piśmarstwa - owa energia zawarta w koncepcji i wyrazie, mogąca nadać namiętny sens pozornemu banałowi - ta witalność musi się przedzierać przez kolejną warstwę niezdolności do percepcji. Mogę opisać, w jaki sposób się to odbywa - sposób śmieszny i jednocześnie subtelny. W wielu szkołach - c ile wiem, w większości - uczniowie poświęcają znaczną część czasu opisywaniu eksperymentów. Uczy się ich obiektywnego przedstawiania zjawisk. "W próbowce umieszczono jeden gram chlorku sodu i dodano dziesięć centymetrów sześciennych wody..." I tak dalej i dalej, uczniowie operują własnym językiem z bezbarwną precyzją elektronicznej maszyny do liczenia, przykrywając tym językiem jak ścierką - świat rzeczy. Czy można się dziwić, że w ich przekonaniu pisarze używają języka, którego oni musieliby się uczyć od początku? Różnią się różne kategorie książek tak, jakby rozpoczynali dopiero naukę greki i po długości wersów orientowali się, czy dana książka zawiera poezję, czy nie.

Presja jest zbyt silna, akcenty zbyt mocno rzucają się w oczy. Chłopcy nie oceniają książek, dzielą je tylko na kategorie. Są więc książki o seksie, książki wojenne, westerny, książki podróżnicze, wreszcie science fiction. Chłopiec gotów jest raczej zaakceptować pierwszą lepszą książkę ze znanej sobie kategorii, niż zaryzykować inną kategorię. Musi mieć etykietkę na butelce i wiedzieć, że zawiera ona taką samą miksturę jak poprzednim razem. Powieści detektywistyczne muszą się ukazywać w miękkiej zielonej okładce, inaczej bowiem chłopiec mógłby być narażony na przykrość czytania książki, w której nie ma w ogóle żadnego trupa.

Nie myślę tutaj o prawdziwych adeptach nauki, filozofach przyrody. Reprezentują oni co najwyżej ułamek procenta ogółu. Taki chłopak czy mężczyzna jest dostatecznie inteligentny, by wyjść poza opłotki własnych dyscyplin naukowych i odnaleźć w dziedzinie humanistyki interesujące go rzeczy. Prawdopodobnie odkryje powieść lub poezję, a pozostały w nich najbardziej intelektualnie materiał nie będzie mu przeszkodzą. Mam więc na myśli raczej woły robocze, ową sympatyczną większość, nie specjalnie inteligentną czy uzdolnioną; ludzi obdarzonych wprawdzie dobrymi dylektami, lecz bezradnych, ze swymi strzępkami pokupnej technologii, wśród mnóstwa nie przetrwanych faktów. Czy literatura ma jakąś szansę konkurowania z określonymi rodzajami rozrywk, które się im oferują na każdą godzinę dnia? Nie wyobrażam sobie, jakim sposobem literatura mogłaby być w ich oczach cokolwiek innym niż najwłaściwym, niepotrzebnym powtarzaniem w kółko tego samego lub też chwilową namiastką, gdy akurat nie ma w telewizji żadnego westernu. Ich życie będzie niewątpliwie znacznie mniej okrutne niż życie ich przodków w dziewiętnastym wieku. Będą mniej wierzyć i mniej się bać. Ale, podobnie jak liczy pieniądź wypiera dobry, niższa kultura wypiera wyższą. Gdy wszelka zdolność do wydawania sądów o wartościach uległa wypaczeniu albo pozostała w stanie niedoroz-

wcju, jakaż może być, w skali masowej, przyszłość pcezji, literatury pięknej, prawdziwie nieulętkiego teatru, powieści, która próbuje spojrzeć na życie po nowemu, słowem - jaka może być przyszłość bezkompromisowości? Pisarze starający się sprzedać swe utwory - a jest to z pewnością minimum ich nadziei - będą zmuszeni dostosowywać się coraz bardziej do stereotypowych wzorców i formułek, do dawania publiczności tyle, ile tylko zdolna jest wchłonąć.

Teraz wszakże rozumiem, w jaki sposób optymizm może wkroczyć na miejsce pesymizmu. Mój optymizm odnosi się do czegoś innego. Dotychczas myślałem w kategoriach zjawisk przeciętnych i ogólnych. Dotyczą one mas, ale nie jednostki. Tamta wspaniała niewiasta o mądrych oczach powinna była żyć we wnętrzu dziecka; bo dzieci nie można nauczać, można tylko rozwijać ich możliwości. Jedyne prawdziwe kształcenie to samokształcenie, a duch człowieczy, w swych najlepszych okazach, posiada własny mechanizm napędowy. Wszyscy ludzie należ- do jednego gatunku w sensie fizycznej tożsamości, ale Beethoven i ja różnimy się od siebie jak tygrys od królika. Duch człowieka jest bardziej rozległy i złożony niż cały układ ewolucji fizycznej. Można z góry przewidzieć publiczność czytającą tylko drugorzędnej jakości i tylko drugorzędne piarstwo, jako wyraz drugorzędnych umysłów.

Nowe epoki, nowe szkoły, nowe nurty literackie nie wyłaniają się z poprzedzających stadiów w procesie stopniowego rozwoju. Również bardziej znaczące zmiany w świadomości nie są po prostu wytworem stosunków gospodarczych, czy nawet nagromadzenia pewnej sumy wiedzy. Zachodziły one zawsze przede wszystkim poprzez jednostkę. Nie wierze w wioskowych Hampdenów/5/ ani w niemych, nieznanych Miltonów/6/. Któż mógłby w trzecim wieku po Chrystusie przewidywać dla Europy cokolwiek innego niż osuwanie się, w najlepszym razie, w bezpieczną płyciznę duchową? Ale przyszłość kryła w swym łonie świętego Augustyna, nie dziwaczego uczonogo i miernego filozofa, lecz Augustyna - autora "Wyznań", w których dusza Europejczyka została - na dobre czy na złe - przeżyta, przecierpiana i ukształtowana na nowo. Żaden dowcipny esteta w bezpiecznym zakątku rzymskiego imperium nie umiałby przewidzieć jego pojawienia się. A przecież pisarze odkrywali przez 1500 lat nową postać, jaką Augustyn nadał starej europejskiej duszy.

Potrafiłby przewidzieć najbliższą przyszłość, ale tylko częściowo. Pisarzom kroczącym po starych koleinach model tej przyszłości wydaje się niewątpliwy. Będziemy mieli mniej inteligentnych czytelników i będziemy musieli albo dostosowywać się coraz ściślej do przyjętych kategorii, albo zginąć. Jednak zmiany w polityce, religii, sztuce, literaturze nastąpią, bo... zmszą nastąpić; bo duch człowieczy nie zna granic i jest niewyczerpany. Tuż za rogiem ulicy czekają Szekspirowie, Mozartowie - niewytłumaczalni, cudowni. Może już właśnie dorastają. Może czytali moje książki i dziwili się memu obsesyjnemu zainteresowaniu sprawami, które już przestały być prawdziwe, mojej ślepotcie na to, co im spogląda prosto w twarz. Może siedzieli w ławce na moich lekcjach i uśmiechali się drwiąco z mego jałowego gradualizmu. A ja w nich wierzę. I życzylibym im powodzenia, gdybym sądził, że takie życzenia są im potrzebne.

(tłum. M.B./

x/ William Golding, laureat literackiej nagrody Nobla 1983, Anglik. Hniejszy esej opublikowany w zbiorowym tomie: The Writer's Dilemma, London, Oxford University Press, 1961.

1. A.C. Rawlison /1810 - 1895/, Anglik, jeden z twórców asyrol-

gii, autor m.in.: "A Commentary on the Cuneiform Inscriptions of Babylon and Assyria" /Uwagi o babilońskich i asyryjskich inskrypcjach pismem klinowym/, 1850.

2. H.G. Bohn /1796 - 1884/, wydawca i księgarz angielski. Od 1846 r. wydawał kolejno popularne serie /ogółem 766 tomów/ podstawowej i klasycznej literatury światowej i angielskiej.

3. R.E.A. Paley /1907 - 1933/, matematyk angielski, autor szeregu prac.

4. J. Wesley /1703 - 1791/ teolog anglikański, współtwórca ruchu metodystów, od 1735 r. działał wśród Indian w nowo założonej kolonii Georgia, od 1742 r. był wędrownym kaznodzieją w Anglii.

5. John Hampden /1595 - 1643/, polityk angielski, jeden z przywódców opozycji wobec Karola I; jego aresztowanie spowodowało wybuch wojny domowej.

6. John Milton /1608 - 1674/, najwybitniejszy po Szekspirze poeta nowożytnej Anglii, autor poematów epicznych "Raj utracony" /1667/ i "Raj odzyskany" /1671.

/tłum. M.B./

Pod szczytem fali

Prosimy o dokumenty! - witają mnie uczniowie jednej z gdańskich szkół, ilekroć przekraczam jej progi. Od czasu stanu wojennego najczęściej dwoje młodzieńców ze starszych klas trzyma wartość, spisując z dowodu personalia każdego, kto ma tu cokolwiek do załatwienia. Od kiedy znaleziono na terenie szkoły ulotki "nawet myśz z nieswoim ogonkiem się nie przemknie" - powiedział dyrektor. Najlepszym sposobem kontrolowania młodzieży jest włączenie jej samej do tego proceduru. Nieważne, iż codziennie tracą po kilka godzin lekcji. Nadrobiją... Najważniejszy jest porządek. To nic, że od trzech lat jeszcze nikogo nie złapano. Istotne jest to, że ci z kuratorium i z komitetu widzą, iż tutaj dba się o prawomyślność. Ideologia! Czystość ideologiczna przede wszystkim. A gdzie wychowanie? Gdzie oświata, o której z takim zaangażowaniem pisze w przedstawianym wyżej eseju Golding? Gdzie nauka, którą w krajach zachodu przedłożono nad oświatę, co tak niepokoi autora "Władcy much"?

Zdaje się, iż dawno minęły czasy, kiedy podręcznik fizyki czy botaniki zaczynał się od przytaczania obowiązkowych cytatów z Marksa czy Lenina, zaś Stalin okazywał się najwyższym autorytetem w sprawach językoznawstwa. Lecz nauka jako narzędzie edukacyjne, jako element strategii indoktrynacyjnej systemu, nie całkiem wymknęła się ideologii. Zmieniły się sposoby, ale nie cele. Kiedy w marcu 1968 roku przede wszystkim młodzi pracownicy szkół wyższych dość powszechnie przyłączyli się do protestujących studentów, stwierdzono, iż widocznie mają za dużo czasu na wolnościowe złudzenia, i w ramach reedukacji zwiększono im o kilkanaście godzin obowiązkowy wymiar pracy na uczelni. "Literaci do pióra, studenci do nauki!" - brzmiało podstawowe hasło ówczesnej władzy.

Jedną z odpowiedzi na nadmierny, zdaniem rządzących, wpływ

"Solidarności" na uniwersytetach, staje się ostatecznie wprowadzana retacja adiunktów i "kontraktowanie" wszystkich pracowników nauki. Okazuje się, że w tym systemie myślenie kategoriami humanistycznymi /"burżuazyjnymi"/ i myślenie naukowe to dwie różne kwestie. Na ich tolerowanie nie można sobie pozwolić w czasach dyktatury proletariatu.

Wydaje się, iż w przedstawionym tu porządku spraw dosyć czytelną będzie odpowiedź na wzrastający niepokój rodziców, dlaczego ich dzieci już w szkole podstawowej obciążone są taką ilością nauki, iż praktycznie, jak wykazują badania, z powodu rodzących się w związku z tym napięć, niemal połowa uczniów cierpi na choroby nerwicowe. Bezsensownie wciska się im wiedzę, której nie są zdolne sobie przyswoić. Szkoła staje się najbardziej stresującym miejscem w ich życiu. Dzieci w piątej klasie szkoły podstawowej uczą się np. szczegółów na temat Pojezierza Pińskiego, ale nie wiedzą, gdzie bierze swój początek przepływająca w pobliżu zatruta najczęściej rzeka, ani co jest przyczyną jej martwoty. Mają z detalami znać budowę komórki roślinnej, ale nie ma im kto powiedzieć, jak nazywają się chwasty rosnące w kącie podwórka. W tejże klasie powinny umieć obliczyć ile wynosi roczna amplituda temperatury powietrza w Charytaty Masyjskim, lecz "nie ma środków", by zorganizować im wycieczkę do stolicy.

Pogłębia się przepaść między realnym doświadczeniem dziecka a abstrakcyjną wiedzą, wpychaną mu w szkole. Wzrastające w społeczeństwie przekonanie o nadejściu nowego średniowiecza, którego siłą napędową jest anachroniczna ideologia, wcale nie jest bez pokrycia. Okazuje się, że nauka, stwarzająca podstawowy wymiar duchowy dwudziestego wieku, w pewnych systemach służyć może nie wzbogacaniu człowieka, ale hamowaniu jego możliwości. Dzieje się to wtedy, gdy nad oświatę, tak jak ją pojmuje Golding, przedkłada się nachalną indoktrynację.

J.P.

DELTA w nowym wydaniu

ZAPISY DARZEN

Zapis magnetofonowy rozmów prowadzonych przez grupę operacyjną Milicji Obywatelskiej na ulicach Gdyni¹ dnia 17 grudnia 1970 roku./opr. Wiesława Kwiatkowska/

- Słuchaj, słyszysz? Świętojańską z powrotem te niedobitki nadciągają/2/.
- Dobrze, zrozumiałem. Świętojańską idą, tak?
- W kierunku Prezydium. Te niedobitki z powrotem się schodzą.
- Dobrze, zrozumiałem. Dużo jest tych zielonych/3/?
- Sporo, sporo. Tam w środku, weszło nie wiadomo ile.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Asan, Asan tu Gujana. Czwórka dopływa do Flory. Asan, Czwórka dopływa do Flory.
- Czwórka, Czwórka tu Reda. Flora wie o tym, Flora wie o tym i czeka.
- Słuchaj, ten tłum co rozpedzili, znowu wraca i jest po tym..
- Z boków schodzą się pod Radę/4/.
- Dobrze, zrozumiałem. Ten tłum, który był rozpedzony znowu zbiera się pod Radę.
- Tak, tu jest dużo gapiów i wszyscy ściągają z powrotem.
- Kasztan, Kasztan Siaka zatrzymał się przy WRN/5/.
- Od dworca ciągną takie grupki po 10, 20, 50 osób w stronę stoczni..
- Rozumiem. Od dworca w stronę stoczni ciągną grupki po 10, 20 całym ciągiem.
- Tak, tak.
- Coś tam słychać pod stocznia. Jakby seria. Jakby seria z Broni.
- Dobrze. Słychać odgłosy strzałów. Słychać odgłosy strzałów pod stocznia.
- Tak. Ale to nie jest sprawdzone.
- Rozumiem, to nie jest sprawdzone.
- Śliwa, Śliwa tu Gujana/6/.
- Tak, zgłasza się.
- Jak tam sytuacja pod Prezydium, jak tam pod Komitetem.
- Odpowiadam ci: pod Komitetem jest spokój. Pod Prezydium było rozproszenie, ale w tej chwili znowu zbierają się.
- Ile tego może być?
- No więc tam było około dwóch tysięcy, było około dwóch tysięcy. W tej chwili trudno powiedzieć, bo to się dopiero dotacza.
- Dobra, zrozumiałem.
- Śliwa zgłoś się.
- Zgłasza się.
- Pod Prezydium petardy, petardy dają.
- Rozumiem, pod Prezydium petardy.
- Na placu Kaszubskim spokój. Świętojańska cała wulna i przejezdna.
- Tak, rozumiem cię.
- Śliwa zgłoś się.
- Zgłasza się Śliwa.
- Tutaj, na przystanku Stocznia strzały słyszę, tylko nie wiem, co to jest.
- Na przystanku Stocznia słyszysz strzały, tylko nie wiesz jeszcze co.
- To jest seria. Cała seria strzałów.
- Słuchaj, czy możesz mi potwierdzić, czy może być to od petard?
- Wiesz, to takie głuche.

- To prawdopodobnie petardy są.
- Słuchaj Śliwa. Bez przerwy kanonada w porcie, kanonada w porcie, strzelanina jest seryjna.
- Ale określić nie można z czego, tak?
- Maszynowa broń, maszynowa broń. Bez przerwy strzelanina.
- Słuchaj, ale to jest gdzie konkretnie?
- W porcie, pod Komuną, tam na dworcu, na terenie portu/7/. Bez przerwy maszynowa broń.
- Zrozumiałem, zrozumiałem.
- Słuchaj. To helikopter ładuje tu petardami, rozumiesz. W tej chwili Czerwonych Kosynierów bombarduje. On tutaj zrzuca całym seriami.
- Słuchaj, a teraz powiedz mniej więcej ile tam jest w ogóle tego tłumu mniej więcej. Bardzo dużo? w tym terenie?
- Jest tutaj bardzo dużo, bo tutaj częściowo poszła od strony żelaznego/8/.
- I to jest pod Komuną, tak?
- Nie, nie, z drugiej strony.
- Więc to jest przy dworcu Stocznia, tak?
- Tak jest.
- Śliwa. W okolicy dworca, placu tłum rzędnie... Jedyne przy dworcu wschodnim/9/ czołgi stoją w tłumie... rozmawiają normalnie z żołnierzami.
- W okolicach dworca, placu i arki, tak? Jest spokój?
- Tak jest, tak jest.
- Jak tam sytuacja przy Prezydium, podaj mi.
- Częściowo rozgonili, rozgonili, ale gapię uciekli na tory, dużo jest na torach. To w pobliżu tu Wzgórza/10/ wszystko i na torach przy stacji. Helikoptery, wiesz, rzucają tutaj. Helikoptery rzucają, wiesz, te. Przy Prezydium w zasadzie jest spokój/11/.
- A na kanale świętym i na czwartego/12/ jak sytuacja?
- A wiesz, trudno mi powiedzieć, bo ja w tej chwili tam nie przejeżdżałem.
- Gujana zgłoś się, tu Legia.
- Gujana dla Legii.
- Przy Radzie w "A"/13/, przy Radzie nadal drobne potyczki. Ale nasi spokojnie, spokojnie, petardy tylko. Jak sytuacja w innych rejonach? Przy Komitecie? Kto wie, niech poda.
- Tu Asesor, tu Asesor, przy Komitecie jest spokój, przy dworcu spokój, arka spokój i te inne też spokój.
- A ten tłum, co siedzi Władysława w kierunku na Komitet, gdzie poszedł?
- To wszystko się rozproszyło, rozproszyło i jest tutaj, wiesz, wokół Prezydium rozpedzone.
- Dobra, zrozumiałem. Kasztan zgłoś się. Słuchaj, Ataman podaje, że na Czerwonych Kosynierów, na Czerwonych Kosynierów helikoptery tam podlatują z petardami. Jest kilku rannych, kilku rannych. Wywożą samochodami osobowymi rannych. No i Ataman musi tam uciekać, uciekać, bo go zablokują. Tutaj jest Czerwona zablokowana i tam już nie ma żadnego przejazdu.
- Rozumiem, rozumiem.
- ...tu Śliwa. Zgłaszam się dla Komara.
- ...z okrzykami "wojsko z nami", "ohleba", śpiewali Międzynarodówkę i hymn polski.
- W którym kierunku?
- Pod Radę, pod Radę duża grupa idzie i śpiewają hymn, krzyczą "mordercy", "dajcie chleba, dajcie chleba".
- Zrozumiałem.
- No słuchaj. Podawałem tam Alasce dla Śliwy, co jest. Więc jest taka sytuacja. Pokazały się ulotki na Zygmunta, ulotki na szybach było widać z przeciwnej strony szyb wystawowych. Pisane czerwonym ołówkiem że przez z ludźmi...którzy nie mają prawa rządzić, KC jest...
- Więc Błysk podał, że wszyscy płyną pod Radę, pod Radę. Ulotki, ulotki są prozę ciebie na szybach sklepów, że KC jest dwulicowy, że Cyrankiewicz i przez z chwiejnym rządem itd.

- To samo mi podał Aesor i Bawaria. Wszystko płynię pod Radę.
- Zrozumiałem. Gujana zgłoś się tu Śliwa.
- Gujana dla Śliwy.
- Słuchaj Gujana. Zorientuj się tutaj, albo Błysk, przez Błysk, albo Bawaria albo Aesor piech podadzą mniej więcej ile jest ludzi, ile jest ludzi na kanale Świętojańskim.
- ...na czele czotówki, na czele czotówki tego całego pochodu jest niesiona flaga, między... narodowa flaga. Na kanale Świętojańskim.
- Ile jest ludzi na kanale Świętojańskim?
- Około trzech tysięcy, około trzech.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Słuchaj, w tej chwili cały ten tłum liczący około czterech tysięcy powiększa się cały czas, proszę cię, normalnie o ludzi przebywających na ulicy, powiększa się. I wszyscy razem pod Radę płyną. Wołają hasła. Skandują takie hasła: Nie ma kotka nad Kociołką - nie masz kotka nad Kociołką. Chodźcie z nami, chodźcie z nami. Wszystko pod Radę. Ogromny tłum, ogromny tłum tutaj jest.
- Przy Radzie skandują "Precz z mordercami, precz z mordercami", "Wojsko z nami, wojsko z nami". Już dochodzą do Rady, dochodzą do Rady. Jest około pięć tysięcy, około pięć tysięcy i skandują.
- Dobra, zrozumiałem.
- Mnie chodzi o informację, co się dzieje koło Szkoły Morskiej.
- No przecież ci podawałem, że tam nie można przepłynąć, jest blokada, jest blokada i ja się wycofałem.
- Z kwadratu C do kwadratu A - co się tam dzieje/14/?
- Od kwadratu C do kwadratu A wszystko idzie piechotą, do ciebie, wszystko na piechotę idzie.
- Dobra zrozumiałem. Słuchaj, czy możesz podać mniej więcej jaka grupa?
- Słuchaj, to jest różnie, zależy gdzie, bo nie ma żadnej komunikacji, zrozumiałeś? Nie ma komunikacji/15/.
- Rozumiem. Więc nie ma komunikacji, idą pieszko.
- Tak jest.
- Gujana zgłoś się tu Śliwa.
- Słuchaj, kanałem Dziesiątego od dworca, kanałem Dziesiątego w kierunku Świętojańskiej płynię nowa grupa ludzi, płynię nowa grupa ludzi/16/.
- Ile, ile?
- To w tej chwili nie można tego tak obliczyć na razie.
- Kasztan, słyszałeś? Duża grupa idzie z Dziesiątego do Święto, do Święto.
- Czy jest ktoś przy Komunie, przy Komunie?
- Aldona podała, że Komuna i port, obydwie strony, są zablokowane wojskiem/17/. Nie można się przedostać.
- Dobrze, zrozumiałem.
- I wszystko, wszystko płynię pod Prezydium.
- Śliwa zgłoś się, tu Gujana.
- Tak, zgłasza się.
- Błysk, Błysk podał, że przy Radzie, przy Radzie się wszystko zbiera i ze wszystkich stron jest obstawione wojskiem.
- Aesor zgłoś się, tu Śliwa.
- Tu Aesor, co chciałeś Śliwa?
- Co u ciebie, co u ciebie.
- Więc słuchaj. W tej chwili helikoptery puszczają te dymy, dymy i część się rozchodzą, ale zaraz, bo mi się zdaje, że oni skierowali się tutaj na Wzgórze Nowotki, na Wzgórze Nowotki. Ludzie się rozchodzą, rozchodzą, bo pigułki puszczali.
- Tam w kierunku Prezydium przebijają się tłum, gdzieś tak tysiąc, tysiąc pięćset. Na czele cztery biało-czerwone flagi.
- Od strony, od strony jakiej?
- Od Skweru Kościuszki, od Dziesiątego, Dziesiątego.
- Podaj Śliwie, że to wojsko źle rzuca, tylko nie do celu. Powinni rzucać przy dworcu na Wzgórze, a rzucają tu przy Prezydium. Ci łapią te granatniki i rzucają na wojsko. Wojsko całe zadymione, a tłum stoi w miejscu.
- Dobrze, zrozumiałem, zrozumiałem.

- Śliwa tu Gujana.
- Tak, zgłasza się.
- Słuchaj Śliwa. Alaska podał, żeby powiadomić tam sztab, proszę ciebie, że ci z helikopterów źle rzucają, źle rzucają. Nie rzucać na Radę, tylko w pobliżu dworca Wzgórze Nowotki, bo ci spod Rady odrzucają na wojsko z powrotem to. Żeby rzucać w pobliżu dworca i Wzgórze Nowotki.
- Już powiadomiłem, Alaskę słyszałem.
- Już rzucają prawidłowo, prawidłowo teraz rzucają.
- Śliwa zgłoś się tu Legia.
- Zgłasza się Śliwa dla Legii.
- Od żelaznego płynie...kilkaset osób. Płynie do kwadratu A. Helikoptery w operacji są.
- Ile tam tego zgropowania przy Prezydium?
- Teraz to jest tak trudno określić, dlatego że to się wszystko podzieliło na grupki i ucieka od tego dymu. Więc całe te place są pozajmowane jeszcze, pozajmowane, po okolicy się tak porozbijało.
- Zrozumiałe. Tu Śliwa, tu Śliwa. Kto jest przy Komunie, kto jest przy Komunie z was?
- Nikogo. Tam nie można przejechać. Obstawione wejście. Tam ani w tą ani w tą.
- A kto jest przy dworcu, kto jest przy dworcu?
- Alaska niedawno była. Tam jest spokój, spokój.
- Zrozumiałem, tam przy dworcu jest spokój.
- Śliwa, Śliwa tu Gujana.
- Tak, zgłasza się.
- Podaj mi, podaj, chcę wiedzieć jaka sytuacja jest tam u ciebie?
- No więc słuchaj. Całość jest w tej chwili skupiona przy Radzie. Całość jest, całość jest przy Radzie skupiona. Tak mniej więcej jest około trzech, około trzech tysięcy.
- Kto jest może przy placu Kaszubskim, wie, co się tam dzieje?
- Ja byłem niedawno, to był spokój. A przy Skwerze/18/ wojsko, wojsko, cały Skwer.
- Kasztan, Simka się pyta co z tymi dwoma kutrami. On jest na lotnisku/19/. Simka podaje, że było już lądowanie, mają bagaż i Flora miał podesłać dwa kutry przed ósmą/20/już. I co jest z tymi kutrami? Czy Flora wysłał czy nie.
- A ty gdzie teraz?
- Ja tu jestem na Dzierżyńskiego i chcę się przedostać na drugą stronę może/21/.
- Flora podał, że wysłał. Powinny być w każdej chwili.
- ...Władysława. Władysława płynie flagami w kierunku Dziesiątego, tak/22/?
- Z rakieta do helikopterów, z rakieta do helikopterów, zrozumiałeś?
- Ile tego może być tak na oko?
- Tłok, nadal jest tłok, około trzech tysięcy.
- Słuchaj Legia. Powiedz mi, jak gesto, jak gesto flagi są.
- Narodowe flagi? Zaraz sprawdzę. Na razie nie ma ich.
- ...od Rady...ich więcej tam od Rady...pełny plac, zawalona cała ulica. Z transparentem.
- Słuchaj Legia, możesz podać treść transparentu?
- Tutaj okolice dworzec całkowicie spokój. Pojedyncze osoby od kierunku tego, od Komuny, ale to tylko tak pojedyncze osoby. Czerwonych Koszowników cała jest wolna w tej chwili. I jest komunikacja normalna.../23/. Ja jadę na Ghyłonię zobaczyć jak tam jest.
- Dobrze Ataman, więc obejrzyj okolice Szkoły Morskiej/24/.
- Słuchaj. Błysk, Błysk ma dwie uliczki, które tam rozrzucał/25/.
- Błysk zgłoś się do Alaski, żeby jedna tutaj dostarczona była.
- Tu na tej /od/ morza przypłynęła milicja, milicja. Na całym Świętym jest zajęta, blokada. /Pochód/ dopływa do Dziesiątego, do Dziesiątego, gdzie kilkaset osób, do tysiąca/26/.

- Czy możesz ten transparent, co tam pisze, podać mi?
- Nie, to są flagi narodowe.
- Tu Ataman. Szkoła na Czerwonych Kosynierów jest spokój. Natomiast w Gdynia-Stocznia jest sgrurowanie...od Czerwonych do... stoją. W każdym razie dużo ich nie ma.
- Dobrze się ustawiają, milicja, milicja od strony morza i będą atakować/27/.
- Gujana, Gujana tu Alaska.
- Gujana dla Alaski.
- Przy Komunie i w porcie umilkły strzały, umilkły strzały/28/.
- Przy Komunie umilkły strzały, tak?
- Tak. Natomiast przy Radzie nadal helikoptery, tylko źle rzucają, więcej przy dworcu trzeba rzucać. Rzucają w tłum, a tłum rzuca na milicję pod Prezydium. I na wojsko.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Tak, tak. I powinni rzucać petardy rozpalone, a oni rzucają i dopiero na siemi się rozpalają. Ona nim doleci powinna się rozpaść. Z opóźnieniem rzucać, z opóźnieniem.
- Dobrze, zrozumiałem, że mają z opóźnieniem wyrzucać i tutaj w kierunku dworca i na Władysława IV, tak?
- Tak, Tak. Bo tak zbierają i w milicję rzucają.
- Gujana tu Asesor, zgłoś się. Ja wołam, bo pod Prezydium kamieniami, kamieniami biją w wojsko.
- Dobrze, zrozumiałem. Duży tłum jest jeszcze przy Prezydium?
- Tam jeszcze po bokach, po bokach, tam petardami rozganiają to wszystko, ale podbiegają i kamieniami rzucają w wojsko.
- Śliwa tu Asesor, zgłoś się.
- Zgłasza się Śliwa.
- Przy Prezydium teraz jest bójka, bójka kamieniami.
- Dobrze, zrozumiałem. Tu Śliwa, tu Śliwa. Co jest przy dworcu Stocznia? Kto mi może podać?
- Legia tam jest, zaraz ci poda.
- Z tamtego kierunku jest karetka na sygnale, tak?
- Śliwa zgłoś się, tu Legia.
- Zgłasza się.
- Z dworca tłum z transparentami w stronę Dziesiątego płynie.
- Więc z dworca jest duży ruch z transparentami, tak?
- Tak. Z samego wału, z samego wału wypłynęli.
- I w którą stronę płyną. I w którą stronę, Legia, płyną?
- Tu od głównego dworca do Dziesiątego.
- Od głównego dworca do Dziesiątego płyną, z dworca, z flagami czy z transparentami?
- Z flagami, z flagami. Kilka flag i transparent.
- Słuchaj, czy mógłbyś odczytać?
- Tam nic nie pisze, tylko czarną wstążką przewiązane niektóre.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Śliwa tu Gujana. Ile ta grupa może liczyć? Spytaj się.
- Legia, ile ta grupa może liczyć?
- No, jeszcze wypływają. Zaraz ci podam mniej więcej.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Tam przy Stoczni, przy Stoczni raczej spokój. Tylko trzecia karetka stamtąd już.
- Na razie jest spokój, a trzecia karetka płynie stamtąd.
- Tak, tak, tu jakiś wypadek był.
- Tak, tak...i karetka tam jest.
- Legia, Legia tu Gujana.
- Tak, zgłaszam się.
- Słuchaj. Oni idą z samymi flagami, czy transparent też mają?

- Flagi, flagi i transparent, ale bez napisu, taki biało-czerwony.
- Śliwa zgłoś się, tu Legia.
- Tak, zgłaszam się dla Legii.
- Gdzieś około trzysta, około trzysta wypłynęło z żelaznego/29/.
- Zrozumiałem. Około trzysta z żelaznego wypływa i płynie w kierunku Dziesiątego.
- Tak, tak.
- Śliwa, Śliwa tu Gujana. Ja to słyszałem.
- Dowiedz się, jak sytuacja przy Prezydium i podaj mi.
- Więc pod Prezydium, proszę ciebie, jest bójka. To znaczą tam młodzież przeważnie rzuca kamieniami, a nasi i zieloni odrzucają petardami do nich.
- Dobra. A na tych kanałach? Na Świętym i na Czwartym?
- Tam jest spokój.
- Dobra, zrozumiałem. Kasztan, Kasztan zgłoś się.
- Halo.
- Kasztan, więc... idą w kierunku 10 Lutego. Przy Prezydium młodzież, młodzież uderza na naszych i na wojsko kamieniami, a nasi atakują petardami. Przy Komitecie spokój i na tych kanałach święty i...
- Sący czas z broni ręcznej.
- Zgłasza się Śliwa.
- Słychać przy Radzie strzały z broni ręcznej.
- Gdzie słychać?
- Przy Radzie, przy Radzie.
- Z broni ręcznej, tak? słychać. Słuchaj, słuchaj może się upewnisz, czy to nie są petardy.
- Skąd petardy! To jest z broni ręcznej.
- Z ręcznej, nie maszynowej, tak?
- Nie, nie. Od czasu do czasu słyszę strzał z ręcznej.
- Ten tłum niesie zabitego i krzyczy "mordercy" tak? Na jakiej oni są wysokości?
- Ta grupa, oo z dworca z flagami szła /niesie/ zabitego i krzyczą "mordercy". Mijają Władysława i idą w kierunku Świętojańskiej.
- Śliwa tu Gujana. Czy coś wiesz o tych strzałach przy Prezydium?
- No coś ci powiem. No - szum. Rzucają kamieniami, petardy wybuchają, strzały od czasu do czasu i więcej nic... Nareszcie tam szturm. Wojsko i milicja dają szturm. Uciekają.
- Oni są już na Świętojańskiej. Wiesz, na czele taki biało-czerwony skrwawiony, skrwawiony sztandar.
- Gujana zgłoś się.
- Gujana się zgłasza dla Śliwy. Słuchaj, ta grupa z tym, z tym, z tym zabitym, proszę ciebie, jest na Świętojańskiej, już na Świętojańskiej. Sztandar niosą skrwawiony i za nim tego trupa.
- Idą w kierunku na Prezydium, tak?
- No, idą Świętojańską.
- Kasztan, Kasztan ta grupa, ta grupa z tymi flagami, co nieśli tego zabitego jest już na Świętojańskiej. Idzie dalej. Kasztan zrozumiałeś? zrozumiałeś? Ta grupa, ta grupa co z flagami, co nieśli tego zabitego jest już na Świętojańskiej. I idzie dalej. Ona poszła na kierunek na Prezydium.
- Śliwa zgłoś się dla Bawarii.
- Tak, zgłasza się Śliwa dla Bawarii.
- Z tym trupem, z tym trupem to są, wiesz, albo młodzież akademicka albo szkolna, bo na czele są wyrostki. Idą dalej w kierunku na Prezydium. Wiele się zatrzymało, ludzie czapki z głów, płaczą, płaczą. To nie jest tak dużo, tak dużo.

- Ataman podawał, że tego co niosą, to niosą od Gdyni-Stoczni, od tego bombardowania, co helikoptery rzucały. I Kasztan pyta się, żebyście podali w sprawie tej grupy, jakie też środki, jakie środki stosują przeciw nas.
- Więc podaj, proszę cię, podaj Kasztanowi że właśnie nie stosuje się żadnych środków i jest niebezpieczeństwo, bo ponieważ ludzie się zatrzymują, zdejmują czapki, płaczą i może urosnąć duża grupa.
- Dobra. Kasztan zgłosił się. Ta grupa, co niesie tego trupa jest w tej chwili na Świętojańskiej na wysokości PKO i na razie nie stosuje się żadnych środków i jest niebezpieczeństwo, że może urosnąć ta grupa. Bo wszyscy dołączają, stają, czapki zdejmują i płaczą. Dołączają do tej grupy, ta grupa rośnie.
- ...przekazał, że prawdopodobnie chcą sabotować, sabotaż/30/, wysadzić wiadukt. Żeby tam sprawdzili.
- Legia zgłosił się.
- Zgłaszam się.
- Słuchaj, jest taka sprawa, jest prawdopodobnie taka możliwość, że może być sabotaż most, mostu, żeby ktoś pojechał, zorientował się, jak to wygląda.
- Który to most?
- Wiaduktu, wiaduktu.
- Ale którego?
- Przy, przy...stoczniach.
- Dobra, tam jest wojsko. Już jest po wszystkim.
- Kasztan zgłosił się. Wiadukt jest opanowany przez wojsko.
- Śliwa, Śliwa jak z tą grupą na Świętojańskiej? Ta grupa ciągle idzie, tak?
- Ona już do Prezydium dochodzi.
- Legia zgłosił się.
- Zgłaszam się.
- Słuchaj, gdzie chodzi od tego wiaduktu z tą grupą, jak tam jest z tym sztandarem?
- Grupa z tym sztandarem w tej chwili jest przy poczcie.
- Ja cię rozumiem, ale tam mówisz coś o krwi.
- ...poplazione krwią i szminką "krew dzieci" napisane.
- Dobrze, zrozumiałem. Słuchaj, czy to jest Legia, Legia duża grupa?
- Nie.
- Dobrze, zrozumiałem. Śliwa zgłosił się.
- Tak, zgłaszam się.
- Gdzie ta grupa jest teraz?
- Słuchaj, ona w tej chwili jest na Dziesiątego, na Dziesiątego jest.
- Przecież na Świętojańskiej już była, podobno PKO minęła?
- Słuchaj, ale jest druga grupa, mała, młodzieżowa, która, proszę cię, ma umazany sztandar, więc prawdopodobnie w szmince czy w czymś i napis "krew dla dzieci" - "krew dzieci".
- Słuchaj Śliwa, chodzi mi o tą grupę z tym trupem.
- Jest pod Prezydium już.
- Śliwa tu Gujana, Śliwa tu Gujana.
- Słuchaj Gujana. Więc ta grupa już dochodzi do Prezydium. dochodzi. I tam trzeba coś zrobić, żeby to rozproszyć.
- Słuchaj, a ty coś mówisz o jakiejś drugiej grupie.
- Tak, pokazała się niewielka grupka, niewielka grupka, niewielka grupka młodzieży znowu, którzy niosą sztandar z napisem "krew dzieci". Jest to pomazane chyba szminką albo czymś. Tak podali mi.

- Dobra, zrozumiałem. Ona jest na Dziesiątego, tak?
- Tak, ona już była na dziesiątego.
- Śliwa, Śliwa... tego trupa niosą.
- Tak wiem, wiem, dziękuję.
- Śliwa, Śliwa tu Bawaria. Koło PLO, koło PLO jest pięćdziesiąt, jest pięćdziesiąt osób. Niosą sztandar taki biało-czerwony, niby skrawiony i coś tam krzyczą. Ale pięćdziesiąt osób...
- Rozumiem. Pięćdziesiąt osób przy PLO jest że sztandarem.
- Będą się pomału posuwali...
- Dobrze, zrozumiałem. Jak tam sytuacja przy Prezydium?
- A doszli już do Prezydium, tak?
- Tak, zatrzymali, zatrzymali się tutaj.
- Tu Ataman. Słuchaj, na wysokości Prezydium włączyły się dwa helikoptery i bombardują gazami. Prawdopodobnie na ich wysokości są.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Wojsko też atakuje, wojsko też atakuje w kierunku Wzgórza, tak?
- Tak, tak, w kierunku Wzgórza... i z helikopterów.
- Strzelają, strzelają z broni.
- Tak, tak, ale petardy, petardy.
- Kasztan zgłoś się, Kasztan zgłoś się tu Gujana. Pod Prezydium nasi z wojskiem atakują, atakują. Petardy i helikopter jest w akcji. Tutaj w kierunku na Wzgórze i na dworzec.
- Przy Prezydium straszny tłum, straszny tłum. Trudno jest zorientować się, jak to wygląda.
- Słuchaj Śliwa. Więc ta grupa, rozumiesz, z tym trupem, doszła pod Prezydium, połączyła się tam z tą grupą, którą była przy Prezydium i tam jest atakowana w tej chwili gazami z helikopterów. Trudno jest w tej chwili dojrzeć co się tam dzieje, dlatego że to wszystko się rozpryskuje.
- Dobra, zrozumiałem, zrozumiałem. Gujana zgłoś się, tu Śliwa.
- Gujana dla Śliwy.
- Słuchaj, czy jest jakiś dopływ, dopływ do nas, dopływ do nas do kwadrat C?
- Śliwa, Śliwa, głównymi kanałami nie ma, nie ma dopływu, można boczny tam koło lasu... od Orłowa. Tu Gujana, tu Gujana. Kto jest tu przy głównym kanale przed Wzgórzem, przy głównym kanale przed Wzgórzem?
- Asesor, Asesor jest.
- Asesor, czy jest dopływ, czy jest dopływ z kierunku kwadratu C do kwadratu A? Czy ludzie dopływają?
- No, chodzą, idą, idą.
- Śliwa, Śliwa Asesor przekazuje, dopływ jest, że dopływają z kwadratu C.
- Śliwa zgłoś się, tu Alaska.
- Tak, zgłaszam się.
- Na Świętojańskiej zieloni, zieloni. Bardzo dużo. Idą całą szerokością Świętojańskiej, w stronę Rady płyną.
- Dobrze, zrozumiałem. Czyli zieloni całą szerokością Świętojańskiej, tak?
- Tak, tak.
- Podaje Błysk, że przy Prezydium jest spokój.
- Dobrze, zrozumiałem. To gdzie to się rozeszło, w jakich kierunkach? Podaj mi.
- Na dworzec Nowotki, rozumiesz, i na boki, na boczne.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Kasztan zgłoś się tu Gujana.
- Zgłasza się.

- Słuchaj. Na Wzgórzu przy tym dużym kościele/31/ tam jest duży tłum ludzi, duży tłum ludzi.
- Śliwa, Śliwa tu Gujana. Słuchaj, Kasztan się pyta czy dostaliście potas w postaci środków chemicznych. Śliwa odpowiedz.
- Słuchaj Gujana. Ja osobiście, my osobiście nie dostaliśmy nic. Czy dostali ci, co tu są, tego się nie orientuję. My osobiście nic nie wiemy.
- Dobra, zrozumiałem. Jak coś będziesz wiedział, to mi podaj.
- Zgłoś się Śliwa dla Legii.
- Śliwa dla Legii.
- Słuchaj, ten tłum na Wzgórzu, co podawał Lanca, to gapiowie, gapiowie. Mają lornetki i wiesz, cały czas się przyglądają, co się dzieje pod Radą. Cywile i kobiety. Patrzą tylko, co się dzieje. Nie tam nie ma, sami gapie tylko.
- Tam w sprawie tych kierowców niech się Śliwa dowie, bo tu sztab przywieźli.
- Znowu elektryczne kolejki poszły.
- Powtórz Błysk.
- Błysk podaje. Kolejki elektryczne ruszyły.
- W kwadracie A? W kwadracie A?
- Tak, tak, w kierunku tam do ciebie.
- Kasztan zgłoś się. Kasztan tu Gujana. Słuchaj, sytuacja jest taka. Przed Prezydium rozpedzili, rozpedzili. Duża grupa jest przy kościele na Wzgórzu, pozostali rozpedzeni na tory i tutaj na dworzec przy Wzgórzu. Puścili kolejki, kolejki elektryczne chodzą.
- Gujana dla Błysku. Odbiór.
- Zgłasza się.
- Słuchaj, ten, ten wiesz, którego nieśli, trup, leży na chodniku tam koło Prezydium. Tam tylko nasi są.
- Dobra, zrozumiałem.
- Kasztan tu Gujana. Więc słuchaj. Przy Prezydium opanowana sytuacja. Ten trup, co nieśli, leży przy Prezydium. Nasi rozgonili.
- Śliwa zgłoś się, tu Gujana.
- Tak, zgłasza się.
- Tu mi podawali, że tego trupa, co nieśli, zostawili przy Prezydium. Przekaż tam, że mają tego trupa sprzątnąć.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Kto jest przy Prezydium. Kto jest przy Prezydium niech poda mi sytuację szybko.
- Legia dopływa.
- Słuchaj, zwróć uwagę jak tam wygląda. Bo tam prawdopodobnie są sygnały, że ten trup leży przy Prezydium sam.
- Dobrze, podam ci zaraz.
- Śliwa tu Aldona, zgłoś się.
- Zgłasza się dla Aldony.
- Słuchaj, tu przy Prezydium słychać strzały z broni krótkiej.
- Słuchaj, sztab o tym wie, sztab o tym wie.
- Śliwa, Kasztan się pyta, kto wydał decyzję, żeby pociągi puścić.
- Przynajmniej ja nie wiem, mnie nie meldowali o tym, nie zdążyli.
- A to dowiedz się tam.
- Słuchaj, ale tam jeden ma We Cze, niech się dowie. Słuchaj Gujana, tu przy Prezydium słychać strzały.
- Dobra, zrozumiałem.
- Śliwa tu Bawaria...często podpływają karetki i tłum się coraz większy zbiera. Chodzi o to...

- Nie przeszkadzaj Gujana na razie. Więc mówisz: pod Szpitalem Miejskim, tam gdzie przyjeżdżają karetki, zbiera się tłum.
- Tak jest. Chodzi o to, żeby rozpraszać ich.
- Gujana zgłoś się.
- Gujana dla Śliwy.
- Słuchaj, tam przy Szpitalu Miejskim, przy Szpitalu Miejskim, gdzie wjeżdżają karetki, zbiera się tłum i należałoby to rozproszyc.
- Dobra, zrozumiałem. Kasztan zgłoś się. Tak, tak tu Gujana. Kasztan, przy Szpitalu Miejskim, przy Szpitalu Miejskim tłum się zbiera, tłum się zbiera. Trzeba to rozproszyc, podać Śliwa.
- Znow się tłumy zbierają...
- Przy Prezydium, tak?
- Przy pogotowiu na Władysława IV, na Władysława IV.
- Śliwa, Śliwa tu Gujana.
- Tak, zgłasza się.
- Kasztan się pyta, jak z tymi środkami? chemicznymi.
- Poszli sprawdzić, poszli sprawdzić, nie ma na razie jeszcze wiadomości o tym.
- Śliwa, jest już Bawaria przy Prezydium, przy Prezydium. Ulica opanowana. Nie ma już żadnych osób przy Prezydium, tylko dalej, tylko dalej. Wokół placu tutaj przy Wzgórzu Nowotki dużo jest.
- Zrozumiałem cię. Przy Prezydium nie ma prawie nikogo. A słuchaj, z tym trupem co się stało?
- Nie wiem. Tam sama milicja jest, mundurowi, mundurowi.
- Dobrze, zrozumiałem. W każdym bądź razie nie widzisz jego.
- Śliwa zgłoś się.
- Tak, zgłasza się.
- Słuchaj, to wszystko uciekło tutaj, jak jest wał, wał, hotel/32/ ...po tych górach co poucisekali, wracają z powrotem.
- Rozumiem. Z Prezydium uciekli, a teraz z powrotem wracają.
- Tak jest. Z powrotem zbierają się na Wzgórzu, z powrotem na Wzgórzu.
- Słuchaj Gujana, słuchaj Gujana. Ten tłum, który został rozpe-dzony od Prezydium, znowu, znowu powoli się zbierać zaczyna.
- Dobra, zrozumiałem. Kasztan zgłoś się, tu Gujana. Ten tłum, ten tłum co nasi rozpe-dzili przy Prezydium, z powrotem zaczyna zbierać się.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Mówisz, że dużo ludzi chce odpłynąć w kierunku Gdańska, ale są zatrzymywani.
- Odpłynąć do Gdańska nie mają czym, dojechać do Gdańska nie mają czym.
- No tam podobno puścili, puścili kolejkę/33/-
- A w sprawie tych środków? Mieli przywieźć z dostawą. Słuchaj, sztab wysłał do was, sztab wysłał i żąda potwierdzenia, czyście otrzymali czy nie. Jak będziecie coś wiedzieli, to mi podaj.
- Słuchaj, prawdopodobnie do marynarki wysłał, nie do nas.
- Dobra, zrozumiałem.
- Śliwa zgłoś się, tu Legia.
- Zgłasza się.
- Tam przy Radzie całkowicie opanowane przez naszych i przybyło kilkadziesiąt naszych i oni w tej chwili po górkach tam chodzą.
- Dobrze, zrozumiałem. Lapis zgłoś się, Lapis zgłoś się.
- Tak, zgłasza się.
- Co z tym trupem? Czy go sprzątnęli sprzed Prezydium?

- Więc słuchaj, to jest opanowane przez naszych, jest opanowane przez naszych i tam nie można nic dojrzeć.
- Dobra, zrozumiałem.
- Śliwa słuchaj. Tutaj koło "Bałtyku", wiesz, koło hotelu "Bałtyk" zatrzymują chuligani i benzynę chcą, rozumiesz, od taksiarzy.
- Dobrze, zrozumiałem. Przy "Bałtyku", przy "Bałtyku" chuligani zatrzymują taksjarzy i chcą benzynę.
- Śliwa, Śliwa zgłoś się.
- Tak, zgłasza się.
- Słuchaj, dowiedz się tam w milicji co z tym trupem, czy oni coś wiedzą.
- Dobrze, zrozumiałem. Zgłoś się Bawaria.
- Zgłaszam się, zgłaszam.
- Słuchaj, czy na Świętojańskiej jest prześwit przez całą ulicę?
- Przed chwilą jechaliśmy i był prześwit, takie pojedyncze osoby, pojedyncze osoby niezwarłe tylko są.
- Śliwa tu Gujana. Jak tam, jak tam, dowiedziałeś się?
- Nie, poszedł Śliwa osobiście do szefa.
- Gujana zgłoś się.
- Gujana dla Śliwy.
- W sprawie tego trupa, więc na połączenie Marynarka Wojenna zabrać go, zabrać go i przewieźć do, do Redłowa/34/.
- Dobra, zrozumiałem.
- Śliwa zgłoś się.
- Zgłasza się.
- Słuchaj, kębki w dalszym ciągu są przy hotelu.
- W dalszym ciągu są przy hotelu, tak?
- Tak, mają flaszki i do flaszek biorą paliwo... flaszki napełniają, flaszki napełniają.
- Dobra, zrozumiałem. Gujana zgłoś się.
- Gujana zgłasza się.
- Słuchaj, tu chuligani, proszę ciebie, w obrębie "Bałtyku", tego na Wzgórzu, proszę ciebie, zabierają kanistry, zabierają kanistry z benzyną i baki opróżniają. Trzeba szybko zareagować tam.
- Dobra, zrozumiałem. Kasztan zgłoś się. Słuchaj, przy Wzgórzu, tam przy "Bałtyku", przy "Bałtyku" opróżniają kanistry, zatrzymują samochody, opróżniają kanistry z benzyną.
- Śliwa zgłoś się.
- Tak, zgłasza się.
- W sprawie tej benzyny tam. Zamknąć ruch w kierunku na Witomino, w obydwu kierunkach.
- Kto taką wydał decyzję?
- Kasztan mi tu przekazał.
- Niech Kasztan, proszę ciebie, poda osobowo kto wydał taką decyzję, bo tutaj nie chcą tego realizować.
- Dobra. Kasztan zgłoś się. Śliwa, Śliwa się pyta, kto wydał taką decyzję, żeby zablokować te drogi od "Bałtyku" na Witomino.
- Dobra, zrozumiałem. Śliwa zgłoś się. Śliwa zgłoś się.
- Tak, zgłasza się.
- Słuchaj, Kasztan przekazał mi, że oni uważają, że tak należało by zrobić. Jeżeli sztab u ciebie uważa inaczej, to niech oni decydują.
- Ale posłuchaj, posłuchaj, słuchaj u nas ten główny, który jest, od Kasztana decyzji nie uwzględnia.
- Jeżeli nie uwzględnia, niech decyduje sam. Tak tu mi Kasztan polecił.
- Słuchaj, to może niech Kasztan nie daje decyzji, bo tutaj u nas

jest głównym BB, rozumiesz, i on, proszę cię, nie realizuje tego.

- No więc w porządku, w porządku, w takim razie w porządku.

- Tu Łazur. Na wysokości tramwaju/35/ dosyć liczna /grupa/, gdzieś trzysta, czterysta osób. Więcej nie mogę zobaczyć, nie mogę się kręcić za mocno.

- ...niedużo, ze sto osób na Świętojańskiej, róg Świętojańskiej i Dziesiątego.

- Dobrze, zrozumiałem.

- Śliwa tu Gujana.

- Tak, zgłasza się.

- Przekaż wszystkim kutrom. Jak będzie ciasno i gorąco w kwadracie A, to kutry mają się wycofywać w kierunku na kwadrat C. Piesi pozostają, piesi pozostają, same kutry. Jeżeli nie będzie przepływu przez kwadrat T, to na Chwaszczyno niech płyną.

- Dobrze, zrozumiałem. Alaska, czy zrozumiałeś to?

- Tak, tak.

- Dobra, to tam przekaż i swoim kutrom, bo nie wiem czy wszyscy słyszeli.

- Dobra.

- Bawaria słyszała, Bawaria słyszała.

- Legia też.

- No to pięknie.

- Śliwa, Śliwa. Podajcie sytuację, podajcie sytuację jaka jest.

- Ja Legia. Przy Prezydium bez zmian, bez zmian.

- Przy Prezydium jest spokój, tak? Opanowane?

- Tak, tak. Tak jak ostatnio było.

- A z tym trupem, nie wiesz jak jest?

- No tam nie można, nie można się dostać. Nasi obstawili.

- Dobrze, zrozumiałem. Już teraz dowiedziałem się, że wzięli.

- Zgłasza się Lapis dla Gujany. W tej chwili na wysokości Traugutta płynie do Prezydium duża grupa z transparentami i z okrzykami, ze śpiewem. Podawałem to pięć temu.

- W jakim kierunku?

- Do Prezydium, do Prezydium. Zrozumiałeś Gujana? Do Prezydium.

- Tak, zrozumiałem.

- Kasztan, Kasztan zgłoś się. Kasztan, przy Prezydium spokój, opanowane przez naszych i wojsko, przy Komitecie spokój, ale od Traugutta/36/ płynie duża grupa, duża grupa ludzi i młodzieży.

- ...granaty łzawiące i to się tylko rozpryskuje. Tam jest jakiś wielki ruch i dużo dymu. Z daleka tylko widzę.

- Dobra, dziękuję. Z Traugutta na czwartego w kierunku na Prezydium.

- Nie, nie nie. Od głównej do czwartego, od głównej Świętojańskiej do czwartego.

- Kasztan zgłoś się. Komar, Komar podał, w moim kwadracie przy gnieździe, gdzie stoję przed bramą około dwieście, trzysta osób z opakami. Te dwieście, trzysta osób jest przed głównym wejściem do budynku. A przed bramą stoją z opakami i kontrolują.

- Dobra, dobra. Zaraz, chyba to, chyba to z marca. To, co żeśmy mieli kiedyś, tak? z marca/37/.

- Kto jest przy Świętojańskiej?

- ...jestem przy placu.

- Słuchaj, tam prawdopodobnie idzie grupa około pięćset osób. Na ozele idzie mężczyzna z kobietą. Potwierdzić.

- Ja nie mam możliwości, bo tutaj jest, rozumiesz, tłoczno, tam nie nie puszczają, ale tam moi szyprowie wpłynęli. Wiesz, jak oni wrócą, to ci podam dane wszystkie.

- Czy ktoś może wpłynąć na Świętojańską?
- Nie da rady, tu wlecie nie da rady, tam nic, tam jest ciasno i gorąco.
- Bawaria. Ja dopływam. Jestem na Obrońców, zaraz powiem ci coś. Słuchaj, ta grupa co podawałem, jest już na czwartego i idzie w kierunku Wzgórza Nowotki.
- Dobra, zrozumiałem. Ile będzie ta grupa liczyła?
- No ciężko mi w tej chwili powiedzieć, ale tak koło patyka.
- Dobra, zrozumiałem. Kasztan zgłoś się. Ta grupa, co była na czwartego idzie dalej... zwiększa się, napływają z zewnątrz.
- Alaska, zgłoś się dla Sliwy. Słuchaj, trzeba przekazać wszystkim. Jest taka sytuacja, że prawdopodobnie nas, nas mogą słuchać i trzeba podawać krótko i starać się trochę żargonem.
- Dobrze, zrozumiałem. Kasztan zgłoś się.
- Słuchaj Sliwa, jakaś delegacja płynie, trzy wołgi w ochronie milicji. Tak, dwa wozy milicji.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Kasztan, Kasztan przepuszczają ich, bo to są chyba z obawy, z obawy/38/.
- Kto jest w okolicy pogotowia, kto jest w okolicy pogotowia, niech się zgłosi.
- Bawaria przed chwilą była, Bawaria.
- Słuchaj, tam prawdopodobnie jest około czterysta osób.
- Dlaczego mi nie podajesz?
- Miałem ci podać, bo moi z kutra poszli sprawdzić. Ta grupa zatrzymała się na wysokości delikatesów tutaj.
- Dobrze, zrozumiałem, że ta grupa zatrzymała się na wysokości delikatesów i dyskutuje tam z tymi przy pancernych. Kasztan zgłoś się, tu Gujana. Ta grupa, co Władystawa IV płynęła, zatrzymała się na wysokości delikatesów, przy żelaznych, tych pancernych i dyskutują tam.
- Sliwa, Sliwa zgłoś się.
- Tak, zgłasza się.
- Słuchaj, jak byś miał tam na łączności Błysk, to spytaj się, czy mogą powiedzieć jaka tam dyskusja jest między tymi z żelaznych a tą grupą, co jest na Władystawa IV.
- Słuchaj Gujana, zgłoś się.
- Tak.
- Słuchaj Gujana. Nie wiem czy ty wiesz, ale tu są takie słuchy, że prawdopodobnie jest możliwość nas nasłuchiwać. Żeby trochę może oszczędniej.
- No to może przejdziemy na inne kanały, czy jak?
- To nam nic nie pomoże.
- Dobra, zrozumiałem.
- Gujana zgłoś się, ja Błysk.
- Gujana dla Błysku.
- Słuchaj. Ta grupa ruszyła, ruszyła od tych żelaznych i idą w kierunku Wzgórza.
- Dobra, zrozumiałem. Tylko tam teraz uważajcie, bo prawdopodobnie jest nasłuch.
- Ta grupa ruszyła, ruszyła dalej w kierunku Wzgórza.
- ...i wywalili do naszych parę razy z raketnic.
- I co się z tym tłumem stało?
- W tej chwili jest rozproszony i na Władka przeniósł się/39/.
- Na Władka przeniósł się ze Świętojańskiej?
- Tak, ja tam teraz popłynę. Zaraz ci podam później.
- Dobrze.

- Tu Gujana. Wszystkie kutry przechodzą na dwójkę, wszystkie kutry przechodzą na dwójkę.
- Słuchaj, jest dosyć duża grupa, jakieś czterysta osób na Władysława... i w stronę dworca Nowotki...
- Postuohaj, bo ja nie mam w tej chwili na dwójce dużo pracy... Żaden prawie mi się nie zgłasza na dwójce.
- To chyba Śliwa wysiadła, bo ja też jego nie słyszę. A ciebie bardzo dobrze.
- Tu Gujana, tu Gujana. Kto mnie słyszy, niech się zgłosi.
- Słyszysz cię Ataman.
- Bawaria.
- Już ja słyszę, słyszę, słyszę Gujana, słyszę. Bawaria zgłosi się.
- Zgłasza się Bawaria.
- Jak sytuacja.
- Wiesz do tego tam... część tego tłumu z flagami próbuje iść do Nowotki, do Nowotki.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Śliwa tu Gujana.
- Tak, zgłasza się.
- No jak tam sytuacja!
- Trudno znaleźć te wiadomości, dlatego że nie miałem dłuższy okres kontaktu. W każdym razie ta grupa, która była przy pogotowiu rozproszona, rozproszona, ale ze sztandarami próbują przejść do Nowotki.
- Dobra. Dowiedz się tam dokładnie jak jest tutaj, w tych punktach i podaj mi.
- Na Kaszubskim spokój, na Kaszubskim/40/ spokój.
- Zrozumiałem. Ataman zgłoś się, Ataman zgłoś się.
- Zgłasza się Ataman.
- Jak tam u ciebie?
- ...jestem na tym. Nie ma możliwości przejścia na Świętokrzyską.
- Aldona zgłoś się.
- Tak, zgłaszam się.
- Jak tam jest u ciebie?
- Pod Radą małe grupki szumią jeszcze, ale z dalska.
- Śliwa tu Gujana.
- Zgłaszam się.
- No jak tam sytuacja w tych poszczególnych punktach.
- No więc słuchaj: przy dworcu, przy dworcu spokój jest, małe grupki są, tu przy placu Kaszubskim jest spokój, przy Prezydium, przy Prezydium też są małe tylko grupki, proszę ciebie, tak więcej na razie nie mają, nie mają możliwości podać.
- Gujana dla Bawarii. Zgłoś się Gujana. Tu przy delikatesach jest jakiś tłum, ale bierny, bierny, taki wiesz ze trzysta osób, a reszta płynie do Wzgórza bokami, bokami.
- Dobra, zrozumiałem. Kasztan tu Gujana. Jest grupka około trzystu przy pogotowiu, ale spokojni, bierni, gapie raczej.
- Alaska zgłoś się. Słuchaj, a nas interesuje, jak jest tam przy przystanku Stocznia.
- Tam nie można się dostać.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Przy pogotowiu to jest duży tłum. Ale to wiesz, to jest z boku, na chodnikach. Wojsko, milioja, no i dużo ludzi.
- Przy komitecie spokój, wojsko.
- Spokój też na Świętojańskiej.
- Słuchaj, Ataman się pyta, Ataman się pyta czy na Chylonię można się przedostać.

- Nie da rady Ataman, nie da rady.
- Kasztan, Kasztan tu Gujana. Przy Prezydium ponownie zbiera się, zbiera się. I są rozpraszani przez naszych gazem, gazem. I znów się skupiają s. powrotem.
- Słuchaj. Dokładnie sprawdź, bo ja mam tutaj słuchy, że tam wzywają, wzywają w ogóle helikoptery.
- Z karabinów maszynowych strzelają.
- Lazur, co z tym trupem.
- Śliwa zgłoś się.
- Tak, zgłasza się.
- Dowieds się, jak tam sytuacja pod Prezydium, bo coś mi tu przekazują, że znów jakiś trup, że strzaskanina. Co tam jest?
- No widzisz, proszę cię, Asesor mi podaje, proszę ciebie, że tam... tylko on od Świętojańskiej nie widzi... pojschał tam sprawdzić.
- Będziesz coś wiedział, to przekaż.
- Duża grupa, duża grupa...
- Lazur, słucham cię.
- Otrzymałem informację, że z zewnątrz jednego trupa miosą pod Prezydium jeszcze raz. Manifestacyjnie. Zrozumiałeś?
- Zrozumiałem.
- Od strony kwadratu T płynęły dwie na sygnałach karetki do śródmieścia.
- Dobrze. Od kwadratu T płynęły dwie karetki, tak?
- Tak, na sygnałach.
- Dobrze, zrozumiałem. Zorientuj się, co się tam dzieje przed Prezydium, przed Prezydium na Wzgórzu.
- Śliwa, Śliwa tu Gujana. Czy coś bliżej wiesz już?
- Więc słuchaj, proszę cię, mnie podała Legia, że tam, proszę cię, rzucają pstardy, rzucają petardy i że, proszę cię, od kwadratu T wjeżdżają na sygnałach dwie karetki.
- Dobra, słuchaj, tylko Lazur mi coś tu podawał z trupem. Czy oni tego trupa sprzątnęli, czy nie.
- Więc tego sprzed Prezydium wzięli, wzięli, zabrany jest.
- Ale coś mi podaje, że ponownie coś tam nieśli.
- To jak on wie, to niech ci poda.
- Śliwa zgłoś się dla Bawarii.
- Zgłaszam się.
- Śliwa, nasi przy Prezydium nawołują przez tubę do rozejścia się tylko to jest nie przy Prezydium, tylko przy żelaznym, przy żelaznym/41/. I tam, wiesz, ci rzucają a ci odrzucają im i jest taka, wiesz, walka. I helikopter rzuca tam.
- Słuchaj, ale ja mam informację, że są strzały do nas, do nas są strzały.
- Ja, wiesz, ja tu jestem gdzieś pięćset metrów od tego, to nie słyszę nic, nic nie słyszę.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Słuchaj...na Świętojańskiej nie dojeżdżając do Prezydium, tu jest taka stacja benzynowa/42/ na Świętojańskiej. Tu jest właśnie całe zgrupowanie. Na całej jezdni. Cała jezdnia. Pełno.
- Ale słuchaj, tam gdzieś, proszę cię, są oddawane strzały do nas, są oddawane strzały. Prawdopodobnie są ranni.
- No nie wiem, nie stwierdziłem tego, nie widziałem.
- Więc słuchajcie od Alaski. Spróbujcie, spróbujcie całą okolicę spenetrować, co się tam dzieje.
- Alaska zgłoś się, Legia, Legia zgłoś się.
- Zgłaszam się.

- Możesz mi powiedzieć bliżej o Prezydium?
- Tam trudno się przedostać. Jest w tej chwili zaatrasowane.
- Zrozumiałem. Kto może coś bliżej powiedzieć w pobliżu Prezydium?
- No słuchaj. Nie mogli się tam dostać, nie mogli się tam dostać... tu mam dla ciebie, podaję ci: 826 KK. K jak Krystyna, dwa razy K. 16. Białe volkswagen. Zrozumiałeś, Śliwa?
- 826 KK 16, białe volkswagen.
- Tak. Gdyby się pokazał tam w kwadracie A, to go przepędzić.
- Dobrze, zrozumiałem. Alaska zgłoś się, Lazur zgłoś się. Słyszeliście, co podawała Gujana?
- Tak, tak.
- To go przepędźcie.
- Śliwa, tu Asesor, zgłoś się.
- Tak, zgłasza się.
- Próbowałem podbić się tam bliżej do Prezydium, ale nie dają rady...
- Śliwa tu Asesor, zgłoś się.
- Tak, zgłasza się.
- Słuchaj, ja tam w tej chwili nie mogę podpłynąć, bo w tej chwili jeszcze petardy rzucają, proszę ciebie, i jest tak zadymione, że nie można podpłynąć.
- Dobrze, zrozumiałem cię, dobrze.
- Śliwa zgłoś się, Śliwa zgłoś się, tu Gujana.
- Zgłasza się Śliwa.
- No jak tam, no jak tam sytuacja jest.
- Więc słuchaj od Alaski. Nie mogą się tam, proszę ciebie, zbliżyć. Jest tłum. Tam się coś dzieje, proszę ciebie, ale są dymy i nie mogą się tam dostać.
- Śliwa tu Bawaria, zgłoś się.
- Zgłasza się.
- Ja jestem na Czolgistów, w pobliżu Prezydium, wiesz, w pobliżu. Więc z tej strony tu nie ma nic. Względny spokój. W ogóle przy Prezydium nie ma nikogo. Tylko przy torach, tam przy torach, w kierunku żelaznego, tam są takie grupki chuliganów, no i milicja z nimi tam walczy. Rzuca petardy. Ale nic groźnego tu nie ma. Zamelduj im.
- Dobrze, zrozumiałem. To mówiła Bawaria, tak?
- To ta grupa, tylko flagi kirem ozdobione nieśli, tak?
- ...ale co się tam dalej stało, to już nie wiem. Daleko byłem.
- Śliwa, Śliwa słuchaj, ja Błysk, ja Błysk. Byłem w pobliżu ulicy Szenwalda, Szenwalda, rozumiesz? Chuliganie stoją, lat 14, 15, 16, kamieniami obrzucają...
- Lazur zgłoś się, tu Gujana. Lazur, czy to był ten pierwszy, czy to już inny. Słuchaj, czy ty słyszałeś o pierwszym wypadku... i położyli przed Prezydium, czy to był ten sam?
- Kasztan zgłoś się. Słuchaj, Lazur mi podawał, że nissli jakiegoś młodego chłopaka. Trup. Nie mógł Lazur potwierdzić, tylko stwierdził, że młody jakiś chłopak był niesiony. I nie wie, czy to był ten pierwszy, czy inny wypadek.
- Bardzo dużo gapiów, bardzo dużo gapiów... pod Prezydium pięć jakiegoś temu.
- Śliwa zgłoś się, tu Alaska.
- Zgłasza się.
- Słuchaj. Ogólna reakcja jest taka, że gdyby ich wycofali, to by był spokój. A wojsko by patrolowało. A tak, to ta smarkateria lata, z nimi drażni się, a oni nie mogą dać rady... żeby milicja się wycofała, wojsko patrolowało, byłby święty spokój, bo do wojska w zasadzie nie rzucają, tylko do milicji, do milicji.

wiesz, Wzgórze Fowotki. Po tej stronie, może coś tam, wiesz, i tam jest tłum. Wysokość Prezydium i tutaj rozciągnięty. Reszta Gdyni czyste.

- Dobrze, zrozumiałem, zrozumiałem. Kasztan, Kasztan tu Gujana. Kasztan, przy Prezydium i przy Wzgórzu tam na nasypach przy torach jedynie tłum. Pozostałe rejonu w kwadracie A są czyste.
- ...dobra, czekaj, czekaj.
- 2 8 5, jaka sytuacja na Wzgórzu przy torach?
- 2 8 5. Tenzor dwa.
- Czyszczony jest kanał czwarty.
- Tak, tak. Tylko na bokach. Tam wcześnie weszło.
- 55 235. Tenzor dwa.
- Ja Tenzor drugi...
- Podaj sytuację na torach na Wzgórzu Nowotki.
- Dobrze, zaraz ci będę podawał sytuację. Wiesz, stoją pociągi elektryczne jeden za drugim. Następnie... pociąg towarowy... przed samym dworcem. Na samym dworcu jest grupka ludzi czterysta, sto pięćdziesiąt, dwieście i pociąg elektryczny stojący. Natomiast troszeczkę dalej... około dwieście pięćdziesiąt - trzysta osób. Rozumiesz?
- Petardy jeszcze masz?
- Mam.
- Używać, używać.
- Używać?
- Tak, używać.
- 267 start.

X X X

Z dalszego zapisu, słabo czytelny z powodu nakładania się głosów mówiących o sprawach technicznych raczej, niż informacyjnych o sytuacji, wyłowić można informacje że:

- W rejonie Wzgórza spokój, wszystko rozpedzone i należałoby czerwone /trolejbusy/ uruchomić, bo dużo czeka na przystankach.
- Starowiejska ściana wschodnia jest wolna no i około dworca też.
- Prawdopodobnie coś się dzieje koło "Bałtyku" na Kieleckiej. Na zachód od hotelu "Bałtyk", jak te górki są, tam jest koło szkoły... w takich grupkach po cztery, pięć, sześć osób... tych pojedynczych atakują, atakują.
- Na Władysława IV na wysokości delikatesów jest duże zgromadzenie, tam gdzie stoją te opancerzone. Na chodnikach i nawet na jezdni, przy tych opancerzonych. Biernie stoją. Rozmawiają z żołnierzami.
- Czerwone już kursują normalnie. W kwadracie A spokój... Podobno już kursują żelazne.

opr. Wiesława Kwiatkowska

1. Rozmowy zarejestrował anonimowy amator krótkofalowiec.
2. Nie jest to więc początek dnia, lecz czas po rozpedzeniu pierwszego, a być może któregoś z kolei, pochodu. Orientacyjnie godz. 7.30.
3. Tj. żołnierzy wojsk lądowych.
4. Prezydium Miejskiej Rady Narodowej nazywane jest wymiennie raz "Rada", raz "Prezydium".
5. W Gdyni nie ma WRN, chodzi zapewne o PMRN.
6. Rozmówcy używają kryptonimów. Śliwa jest dowódcą grupy.
7. Przystanek kolejki elektrycznej Gdynia-Stocznia.

- Słuchaj, a to jest w okolicach Wzgórza?
- Tak, tak, w okolicy Wzgórza. A tu najczęściej milicji pchają. Jak wojsko stoi, to ci nie rzucają.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Śliwa tu Bawaria, zgłoś się.
- Zgłasza się.
- Więc kanał święty przy Prezydium również jest wolny, proszę ciebie, w kierunku również można jechać kwadratu C, tak samo wolny jest.
- Dobrze, zrozumiałem. Kto to podawał?
- Bawaria, Bawaria. Ja właśnie płynę świętym kanałem.
- Dobrze, zrozumiałem. Gujana, Bawaria mi podała w tej chwili, że przejechała trasę Świętojańską aż do, proszę ciebie, wylotu na kwadrat C. I powiada, że tu jest spokojnie i można przelatywać.
- A tylko tu na Wzgórzu, przy przystanku są takie grupki... rzucają i prowokują milicję. Wojska nie ruszają.
- Dobra, zrozumiałem. Kasztan zgłoś się. Bawaria, Bawaria przepły nęta od kanału świętego do kwadratu C. Jest spokojnie, jest spokojnie. Można przepłynąć. Tylko w okolicy Wzgórza, Wzgórza, grupy chuliganów prowokują, prowokują naszych. Rzucają kamieniami. Zielonych nie ruszają, tylko naszych.
- Na czwartego, na czwartego w stronę Gdańska jest... jest tłum... przy tych karetkach, przy tych karetkach.
- Tam jest przy karetkach bierny tłum, tak? Jaka mniej więcej ilość?
- Trzysta, czterysta osób.
- ...oznakowany czerwonym krzyżem.
- To znaczy "żuk", "żuk" z oznakowaniem czerwonym, tak? czerwony krzyżem wywozi ze szpitala rannych.
- Nie, przywozi, przywozi.
- Rozumiem. Przywozi rannych.
- ... i posiada z boku napis "krwiodawcy".
- Tu Alaska, tu Alaska dla wszystkich! Nie przesadzać, nie wyolbrzymiać. Prawdziwe podawać, prawdziwe fakty podawać.
- Tak jest, tak jest Alaska, upomnij. Bo po prostu okazuje się, że to nie są ranni a po prostu krwiodawcy.
- Śliwa, zgłasza Bawaria. Ja jestem koło Prezydium teraz. No jest na placu tłum, ale jest bierny. Przyglądają się wszystkim, przyglądają się.
- Ale przyglądają się czemu?
- No, w kierunku Prezydium. Obserwują milicję.
- Duże zgrupowanie na torach, na torach koło żelaznego i wiaduktu.
- Dobra, zrozumiałem. Kasztan zgłoś się, tu Gujana. Duże zgrupowanie na torach przy Wzgórzu. No na razie ich tam rozproszyli i to wszystko na torach czeka.
- ...od Świętojańskiej do Prezydium. ...Świętojańską około pięćset osób zbliża się.
- Alzacja, Alzacja, ja Autor, jak mnie słyszysz, odbiór.
- W kwadracie A wygląda tak sytuacja: dworzec, komitet, kanał święty, plac Kaszubski - to wszystko czyste. Na kanale czwartego przy pogotowiu jest małe zbiorowisko przy czołgach wojskowych i tam rozmowy są z żołnierzami. Następnie większy tłum na wysokości skrzyżowania Czołgistów i czwartego, tam na tym nasypie przy torach.
- Dobra, dobra, zrozumiałem. I pod Prezydium, tak?
- Poczekał, zaraz ci podam. Prezydium odpiera ten tłum i dlatego to zgrupowisko jest tu na tym, wiesz, na tym wale i tu przy tej szkole, wiesz, jak ta szkoła jest. No i tu cała ta strona jak,

8. Dworzec, tory kolejowe, pociąg. Rozmówcy używają łatwego do rozwiązania szyfru. Kanał - to ulica, wpłynąć - wejść, wjechać, kuter - pojazd.
9. W Gdyni nie ma Dworca Wschodniego. Czołg stał na pl. Konstytucji, przy sądzie.
10. Przystanek kolejki elektrycznej Wzgórze Nowotki.
11. Jest to więc drugie w krótkim czasie po sobie następujące rozpedzenie tłumu przy Prezydium.
12. Na ulicy Świętojańskiej i Władysława IV.
13. Z kontekstu wynika, że grupa operacyjna MO podzieliła miasto na kwadraty. Kwadrat A - okolice PMRN, C - Gdyni-Stoczni.
14. Czyli od Gdyni-Stoczni do PMRN. Trasa wszystkich pochodów z wyjątkiem jednego.
15. We wczesnych godzinach rannych kolejki kursowały normalnie, potem je wstrzymywano i uruchamiano na zmianę. Nie potrafię ocenić czy było to zamierzenie celowe, czy wynik bałaganu.
16. Ilości pochodów nie sposób obliczyć. Były ogromne, kilkutyśięczne i małe, kilkudziesięciosobowe. Szły jeden za drugim od wczesnych godzin rannych do ok. godz. jedenastej.
17. Blokada stała w miejscu, gdzie rozwidlają się drogi: ul. Czechosłowacka - do SKP, ul. Polska - do portu.
18. Skwer Kościuszki.
19. W 1970 r. lotnisko cywilne było w Gdańsku-Wrzeszczu, wojskowe w Ezbich Dołach.
20. Jest więc po ósmej. Jeszcze jedno potwierdzenie, że początek zapisu przypada na czas po godzinie siódmej.
21. Świadczy to o wielkości obszaru zajętego przez tłum ludzi zgromadzonych wokół Prezydium: od dworca Wzgórze Nowotki aż do ul. Dzierżyńskiego.
22. Kierunek pochodu, odwrotny niż wszystkich innych, wskazuje, że jest to ten jedyny pochód, który szedł od Prezydium do Gdyni-Stoczni. (Kierunek taki obrano wskutek pogłoski, że w Wyższej Szkole Morskiej toczono będą rozmowy z demonstrantami.) Wiadomo, że w momencie gdy mijał dworzec główny była godzina 9. Na dokumentalnym zdjęciu (fot. E. Stobiński) widać tłum zajmujący całą szerokość jezdnii, a na jego czele, na całej szerokości pochodu - długa, biało-czerwona flaga w kształcie transparentu.
23. Po tym, jak kilka potężnych pochodów ruszyło w kierunku PMRN, przy Gdyni-Stoczni zostało niewielu ludzi. Ci, którzy nie poszli w pochodach, odjechali uruchomionymi kolejkami elektrycznymi. Ale zdążyła tam właśnie pochód, o którym mowa w poprzednim przypisie.
24. Zainteresowanie funkcjonariuszy MO Wyższą Szkołą Morską wydaje się wskazywać, że pogłoska o przebywających tam przedstawicielach władzy ma pewne uzasadnienie.
25. Z kontekstu nie wynika, gdzie ulotki rozrzucano. W relacjach na temat ulotek nie ma żadnej wzmianki.
26. Przypuszczalnie ludzie stojących na chodnikach.
27. Prawdopodobnie przy PMRN.
28. Pochód, o którym mowa w przypisie 22, rozproszono przy Gdyni-Stoczni seriami z broni maszynowej.
29. Pochody idą jeden za drugim.
30. Prawdopodobnie chodzi o próbę podpalenia pomostu przez demonstrantów.
31. Kościół OO Franciszkanów pod wezwaniem św. Antoniego.
32. Hotel "Bałtyk" na ul. Kieleckiej.
33. Ruch kolejek był nieregularny. Uruchamiano je i wstrzymywano według niezrozumiałego klucza.

34. Szpital Morski w Redłowie.
35. Prawdopodobnie słowo zniekształcone; w Gdyni nie ma tramwajów.
36. Ul. Traugutta jest ostatnią przecznicą przed PMRN. Pochód musiał sformować się wcześniej.
37. Pewne zwroty zdają się wskazywać, że przynajmniej część uczestników grupy operacyjnej jest z Warszawy; mówią: Dworzec Wschodni, ul. Świętokrzyska, Ściana Wschodnia.
38. Najprawdopodobniej kryptonim.
39. Dotyczy pochodu, który szedł od Traugutta.
40. Pl. Kaszubski.
41. Przy dworcu Wzgórze Nowotki.
42. Świętojańska 110. Stacji tej już nie ma, stoi tu blok mieszkalny.

DELTA W DOWYDZIWIENIU

Zapraszamy do tej współpracy i liczymy na nią także dlatego, że nasze wspólne wysiłki traktujemy właśnie jako tworzenie warunków — skupianie autorów, formowanie załóżki tego, co w przyszłości, mamy nadzieję przyczyni się do powstania postulowanego i potrzebnego plama kulturalnego naszego regionu.

Pora teraz na kilka informacji o najbliższym, czwartkowym wydaniu 4-stronicowej DELTY. Proponujemy w niej m. in.:

Olgiere Łokuciejewski

Polska dziwna wojna!

T a m t a n i e d z i e l a

Wszystko się działo jakby nie na prawdę. Jakby za grubym szkłem lub na zwolnionym filmie. Te milczące ciężarówki przed dworcem z siedzącymi w środku mężczyznami w stalowoszarych mundurach. Ta niedzielna rozświetlona ulica, czysta czystością świeżo spadłego śniegu i tłumy ludzi, jakie defilowały przed klubem "Ster" i hotelem "Morskim", a na budynku, jakgdyby nigdy nic, nadal wisały flagi i transparenty. Przed budynkiem stali młodzi mężczyźni z biało-czerwonymi opaskami na ramieniu, z napisem "Solidarność" i nie wpuszczali nikogo do środka.

Zapamiętałem jednego: był bez czapki, w rozpiętej kurtce. Twarz miał raczej pogodną, jakby wszystkim chciał powiedzieć: "Nie martwcie się, wszystko będzie dobrze..."

I zapamiętałem też tę młodą kobietę - sekretarkę? maszynistkę? - stała na piętrecie w rozbitym oknie biurowca. Patrzyła przed siebie nie widzącym okiem. Stała długo, gdy odchodziłem wciąż trwała, jak milczący pomnik, odnawiany wielokrotnie w dziejach tego narodu, pomnik polskiej kobiety, wiecznej cierpienniczki.

D z i w n a w o j n a

Raptem wszyscy okazaliśmy się konspiratorami. Każdy znał kogoś kto się ukrywał, albo znał tego, który znał ukrywającego się. Każdy zaznał gorczy internowania innych, co było bardziej upokarzające od zamknięcia w murach "polskiego internatu". Każdy miał jakieś zakazane papiery, a i myśli jego, z dnia na dzień, okazały się być zakazane.

Ponieważ nie działały ani telefony, ani na dobrą sprawę, poczta, a w domu trzeba było być wczesnym wieczorem, bo godzina policyjna, więc dniem ciągle gdzieś trzeba było jeździć; coś przekazywać, o coś się wypytywać, coś przynieść i wynieść. Ulice zapętniły się młodymi ludźmi, którzy dźwigali plecaki turystyczne, nosili torby, teczki i pakunki. Tak odpowiadano na apel, ażeby powszechnym noszeniem utrudnić wyłapanie tych, którzy naprawdę coś przynoszą.

Był dzień, gdy w większości mieszkań nagle wystawiano w oknach palące się świece, nastawał dzień, gdy ulice zaśmiecały ostentacyjnie wyrzucane gazety, był czas, gdy podczas dziennika TV spacerowano po ulicach...

A wokół była zima, mróz i skrzący się w słońcu śnieg. W długich kolejkach, tupiąc i rozcierając ręce stały babki i córki, żony i wnuczki, dziadkowie i wnukowie, aby coś zdobyć do jedzenia. Wieczorami wyłączano światło, więc stano równieź po świece, albo po zaliczne nagrobkowe. Prawdę mówiąc, stano po wszystko. Aż wreszcie w sklepach, nie wiedzieć dlaczego, pozostał tylko ocet.

Jednak, czy była to prawdziwa wojna? Cała dziwność tego stanu zawieszenia jako takiej normalności, polegała na tym, że nie była to wojna znana z dziejów tego kraju, więc nazwano ją: - wojną polsko-jaruzelską.

Nazwa ta mówiła, że w historii nic się nie powtarza, a jeśli się powtarza, to zupełnie na inną modłę. Dowodziła ona, że jest to wojna śmieszna i wcale nie dlatego, że nie ma w niej ani frontu, ani okopów, ani bombardowań i publicznych egzekucji, ale że jest to wojna frazesu przeciw myśli, wojna historycznych pokrzykiwań przeciw kamiennemu milczeniu, wreszcie - wojna prowadzona z całym narodem siłami wyszarpanymi z żywego ciała tegoż narodu.

Ażaby było jeszcze dziwniej i absurdalniej, wojnę tę wypowiedziano w chwili, zdawało się, najmniej odpowiedniej do podobnych awantur, gdy naród, po raz pierwszy od czasów Powstania Warszawskiego, odzyskał swą duchową suwerenność, przyjrzał się sobie uważnie, odchrząknął i powiedział: "Dosyć tego, chcemy być sobą!".

A jednak wojna "polsko-jaruzelska" wybuchła i żeby do końca stało się zadość śmieszności tej wojny, większość narodu odetchnęła, że jest to właśnie taka a nie inna wojna. "Russkoje imperium nikogda nie praszczajet!". Tak, rosyjskie imperium nigdy Polakom nie wybaczało! - więc naród przyjął tę dziwną wojnę z westchnieniem ulgi. Po samograniczającej się rewolucji, przysłała samograniczająca się wojna. I wbrew przypuszczeniom specjalistów, którzy wróżyli partyzantkę leśną, a w mieście terrorizm bojówek, nic takiego się nie stało. Ten dziwny naród "najczytawszy z narodów, gdy osądza go światło błyskawicy", tym razem nie okazał się "bez litości dla wdów i sierot i starców" i nie złożył ofiar, "aby ściągnąć gniew niebiosa na wrogów" /Cz. Miłosz/.

Ale fakt pozostaje faktem, że wojna "polsko-jaruzelska" była wojną rozmazaną w konturach, bezstylową, smrodliwą nie tylko smrodem gazów kławiących lecz smrodliwą od pół-prawd, które są gorsze od całego kłamstwa, była również wojną brutalną nie brutalnością wojny żołnierskiej, ale nikczemną brutalnością policyjnych pałkarzy, których pojono wódą, ażeby stało się zadość tej światowej plocie o polskim pijaństwie.

Tak, to są wewnętrzne porachunki pijanych Polaków. Tak, Polacy zawsze uwielbiali armię, więc ją teraz mają. Tak, katolicy to nie naród Settembrinich, a wiadomo, że Naphta uwielbiał dyktaturę. Wystarczy spojrzeć na Amerykę Łacińską i przypomnieć niedawne dzieje Włoch i Hiszpanii. Narody demokratyczne świata, spocznij!

... Tymczasem młodzi Polacy umierali pod ciosami pałek, tracili zdrowie, popełniali dziwne samobójstwa. Tymczasem do tego kraju znów przyjechał papież. Tymczasem młodzi Polacy wyjeżdżali gdziekolwiek, byle dalej. Tymczasem rozwinął się niebywały ruch wydawniczy i co trzeci dom stał się punktem kolportażu lub czytelnią. Tymczasem młodzi Niemcy z RFN-u mówili: "Lepiej zostać czerwoną świnią, ale żywą świnią". Tymczasem młodzi Polacy mówili: "Lepiej już nie żyć, aniżeli żyć w niewoli".

... Tymczasem litr wódki kosztuje 1400 zł, a młody Polak zarabia /nie zawsze/ 14.000, więc pracuje miesięcznie za 10 litrów wódki. A gdy chce kupić narty, musi już pracować cztery miesiące, bo dobre narty kosztują 50.000, nie licząc butów narciarskich, ani wiązań. Na to musi pracować następne cztery miesiące.

- Z czego oni żyją? - pytał przed laty Sartr.

Właśnie. I dziwna wojna dziwnego narodu trwa dalej.

M i l c z e n i e

W te dnię gdziekolwiek ludzie znaleźli się razem, zapadało ciężkie milczenie. Było to milczenie każdego z nas. spotęgowane przez milczenie sąsiada, więc tramwaje, autobusy, kolejki ciążyły kamiennym milczeniem. I wszyscy milczeli jednakowo, gdy wszy-

scy jednakowo czuli. Dlatego milczenie to było właściwie z a d u m ą jednego zbiorowego człowieka. Nie myśleniem, lecz właśnie - ciężką zadumą.

Wszyscy ciężko dumałiśmy nad czymś czego sens był niejasny, ciemny i zagmatwany. Coś, co się przyjęło nazywać losem człowieczym, spotęgowanym przez miliony innych losów, objawiło swą glinianą, ślepą twarz. Może taką twarz ma właśnie Fatum, jakie ciąży nad tym niezmordowanym w swej nadziei i wierze, narodem?

Dosyć, że wszyscy milczeliśmy i patrząc na zaśnieżone wzgórza, zbielełe martwe dmy, staliśmy ramie w ramie, jeden obok drugiego. I wtedy poczułem, że to nasze nic nie mówienie, jest właściwie m i l c z ą c y m k r z y k i e m. Cudzoziemiec, który znalazłby się wówczas w Trójmieście, musiałby odczuć ten krzyk jako oś po stokroć trudniejszego do zniesienia od ryków podnieconych tłumów. Ale cudzoziemców nie było. Za to wszędzie snuły się wojskowe patrole. Oni również milczeli i bali się spojrzeć nam w oczy.

Bywały jednak chwile, gdy budziłyśmy się z tej zadumy. Raz, pamiętam, gdy po wysokim peronie Przymorza włożył się mapy żołnierszyk w bojowym rynsztunku: w hełmie, z nożami, pistoletami i z wielką zieloną torbą, która objęła się mu o nogi. Tłum się poruszył, jakby odetchnął, i ktoś głośno skomentował: "Idzie na Berlin..."

Innym razem, dojeżdżając do Gdyni, zauważyłem na drzwiach zawsze zamkniętej ubikacji, odręcznie zrobioną ulotkę z karykaturą generała, któremu na czole świeciła wielka czerwona gwiazda. Każdy kto wchodził, uważnie studiował rysunek i szedł dalej. Tylko jakiś młody, niecierpliw chłopak stanął przy rysunku i głupio się uśmiechając, zaczął coś tam komentować. Tłum się poruszył, spojrzął na wesółka tym swoim ciężkim, zamysłonym spojrzeniem i chłopak umilkł.

G ł o w a

Ogarnął mnie nastrój zawadiackiego rzykanotwa, gdyż byłem po przyjęciu u znajomych, którzy powrócili do wojennych zwyczajów alkoholowej samowystarczalności i zaczęli pędzić z cukru zupełnie znośny bimber.

Wysiadłem z tramwaju tuż przed godziną, policyjną i się rozpędu wpadłem na trzyosobowy patrol. - Dwóch chłopców, obwie-szonych bojowym rynsztunkiem, wyglądających na ludzi z poboru /"Mogą być moimi synami" - tak pomyślałem" nie bez pewnego zdziwienia, bo wojsko jest zawsze w tym samym nieokreślonym wieku/ oraz dojrzały mężczyzna w ocieplanej kurtce. Kurtki takie nosiło tysiące mężczyzn zagarniętych na tę dziwną wojnę z ciepłych domów, biur i urzędów.

Współczułem chłopcom psiej służby i spotkałem się ze zrozumieniem. Chłopcy, rzeczywiście byli z poboru i woleliby zamienić się miejscami z moim synem, jeśli takowego mam, aniżeli pe-tać się teraz po ulicach na oczach ludzi. "Jesteśmy z tej samej gliny" - powiedział jeden z nich. Pojąłem, że czuje się on tak, jak poczułby się człowiek zwiedzający ogród zoologiczny, którego nagle obkoczono w skórę i wsadzono do klatki na pośmiewisko wszystkim.

Mężczyzna w kurtce zachował powściągliwą neutralność. Zagadnąłem go wprost i już wiedziałem, że służył w WOP-ie, jest porządnym Kaszabą i, oczywiście, należy do "Solidarności".

Owszem, chodzi, bo mu kazano, ale penetruje tylko kawiarnie i lokale i tam wykupuje tych urodzonych w niedzielę. Chciałem go spytać, jak odróżnia jednych od drugich, gdy dogonił nas niski człowieczek w jasnym prochowcu i cyklistówce. Kątem oka widziałem, że od pewnego czasu przymierza się on, aby nas zaczepić: jego jasny płaszcz był zauważalny z daleka.

- Jak tam leci, wszystko w porządku? - spytał beznamiętnym tonem.

Kępczyzna w kurtce odparł, że wszystko jest w porządku. - A kto jest ten człowiek? - ponownie puścił swą beznamiętną taśmę.

Chłopcy, jakby rzeczywiście byli moimi synami, niemal równocześnie przyznali się, że sprawdzali moje dokumenty i że wszystko znaleźli okey.

- Poproszę pana o dowód - rzekł człowiek w anachronicznym prochowcu, a mówił, jakby nie słyszał odpowiedzi tamtych.

Wyciągnąłem dowód tożsamości, bez którego nikt nie ruszał się z domu ani na krok. Mały człowieczek obrócił się całym tułowiem w bok, w jedną rękę ujął dowód u przyświecając sobie latarką, odczytał co chciał.

- Bardzo panu dziękuję, do widzenia - rzekł wciąż tym samym beznamiętnym głosem.

I znów obrócił się całym korpusem, co wyglądało, jakby przespilony był jakimś etalowym trzpieniem, i szybko ruszył przed siebie.

Działo się to obok nielicznych świecących latarni i wtedy zobaczyłem, że twarz jego jest równie biała jak prochowiec. Ponownie rzuciłem okiem i nagle zrozumiałem, że ten człowiek ma głowę zrobioną z gipsu. Po prostu - gipsową głowę!

Patrolowa trójka była wyraźnie czymś zawetydyzona. Powiedzieliśmy więc sobie "do widzenia" i każdy ruszył w swoją stronę.

N a p i s

Mury, płoty, słupy i drzewa zamieniły się w wielką tablicę ogłoszeń. Każdy ogłaszał to, co uważał za stosowne. A więc, że "Wrona - skona", "Uwolnić Lecha - wsadzić Wojciecha" lub, że "Solidarność zwycięży".

Najbardziej wstrząsający napis przeczytałem jednak w Gdyni, na ścianie kamienicy w okolicach budującego się hotelu. Niewprawną dziecięca ręka wykaligrafowała kredą: "W Polsce jest nudno".

T r z e c i e g o m a j a

Należało się spodziewać, że na trzeciego maja odbędzie się rozprawa za pierwszego, kiedy to ku zdumieniu władz, a zapewne i mieszkańców, spontanicznie zawiązał się kontrpochód i milicja musiała uciekać z głównej arterii, ażeby udawać, że wszystko jest w porządku.

Należało więc oczekiwać, że jeśli nie wypadło bić ludzi na święto robotnicze, karzące ramię uderzy tym dotkliwiej w dwa dni później - w święto narodowe, w dzień NMP Królowej Polski.

A mimo to pojechałem, ja i wielu do mnie podobnych, gdyż nie widziałem powodu, dla którego w ten dzień miałbym nie być na Mszy w Bazylice Mariackiej. Nasz pociąg był jednym z ostatnich, który wjechał na peron lecz nie wszyscy zdecydowali się opuścić wagony. Dworzec Główny niby plaster miodu oblepiały roje zomowców. Stali w poczwórnych, w popiśniętych szeregach, z długimi szturmowymi pałkami w rękach, i walili się tymi pałkami po rękawicach, jak chłopcy szykujący się do porządnej młotki.

Jednak zeszedliśmy do tunelu. Tam było pusto, ale już poczu-
liśmy znajomy zapach chemii przyspieszającej nasz płacz za Ojczy-
znę. Przed hotelem "Monopol" błyszczały kolorowe kałuże płynów,
jakimi od pewnego czasu wyświęcano polskie tłumy. A od strony
Głównego Miasta szło dudnienie: już toczyła się tam regularna bit-
wa, chociaż do Mszy św. było jeszcze z pół godziny.

Na otwartej przestrzeni przed Domem Technika nasz tłumek
składający się z ostatnich pasażerów kolejki, dostał się pod krzy-
żowy ogień petard i rakiet wystrzeliwanych z opancerzonych poja-
zdów, które na swych twardych gumowych kołach pędziły po jezdni
i chodnikach z szybkością pogotowia ratunkowego. Biegające obok
kobiety wyrzekały na czym świat stoi, nie mogąc nadziwić się dla-
czego nie chcą nas dopuścić do kościoła. Prawdę mówiąc, ja też się
dziwiłem, sądząc, że blokada obejmuje jedynie neuralgiczne miej-
sca: pomniki i krzyże gdzie mieszkańcy Trójmiasta upatrzyli swo-
je sacrum.

Ale kościół św. Brygidy cały spowity był w dymach. Raz po raz
błyskały petardy rozwalając powietrze niby bomby głębinowe mor-
skie otąmy. Z sylwestrowym wdziękiem kreśliły smugi czerwony ra-
kiety, coraz częściej lecące nie w górę lecz wprost w ludzi.
I wszechobecny gaz łzawiący.

Pozostawiając św. Brygidzie na łasce stalowoszarzych, pope-
dziłem z malejącym tłumkiem w stronę Bazyliki. Sądząc po hałasie
i chmurze szarych dymów bijących w niebo, dopiero tam musiało się
rozgrywać najgorsze. Dobięliśmy do rogu ulicy, przed sobą mając
otwartą przestrzeń Podwala Staromiejskiego. Tłum się zatrzymał.
Po tamtej stronie jezdni, na trawnikach i chodniku, stała grupa
młodych umundurowanych ludzi, w błyszczących przyłbicach opuszczo-
nych do połowy twarzy. Obok - żakik z jakąś wyrzutnią. Obie strony
przyglądały się sobie bacznie. I wówczas jeden z opancerzonych
chłopców ujął w ręce białą szmatę i rozwinął ją na oczach tłumu.

Chciałem ruszyć do przodu: "biel oznaczała pokój". "Tędy możecie
prześć do kościoła!". I, nieomal w tej samej chwili ujrzałem,
jak kolega opancerzonego wali prosto w nas z rakietnicy, i ujrzałem
też na pokojowym białym strzępie, krwawe plamy. "Krwawa plama
z was zostanie!" - tak musiał wołać zomowiec lecz trzask petard
wszystko zagłuszył.

Uciekaliśmy czując na plecach, na potylicy i pośladkach palą-
cy żar rakiet, którymi strzelano w nas, jak na złej, pomylonej
fiecście w jakimś oszalałym Rio, czy Monevideo. Nie było wyjścia
z tego kotła. Schroniłem się u znajomych i z wysokości dachu
czteropiętrowej kamienicy, oglądałem ciąg dalszy tej dziwnej pol-
skiej wojny.

Bazylikę Mariacką zasnuwała ściana dymu. Jedynie ociężwały
czterokątny łeb świątyni nie pódawał się gryzącej wściekłości i
wytaniał się z dymów jak szczyt walczącego krążownika. Huka, strze-
lanina i detonacje potęgowały się i ucichały. I wydawało się, że
wre tam walka i zaraz padną ostatnie szanły. Ale nie, atak odpar-
to, oddech i znów przystąpiono do szturm...

Wokół św. Brygidy, w której już odbywała się Msza, strzelano,
ale z mniejszą furją.

Ulice wokół hotelu "Heweliusz", aż po "Delikatesy" opanowali
chłopcy i młodzi mężczyźni. Z zaciekłością poczuli zrywać pierwsze-
majowe, czerwone flagi i palić je na oczach wszystkich. Rzuciły
się do szarży opancerzone pojazdy, waląc ze szpar strzelniczych
i z armatki ognistymi kulami: rakiety odbijały się od murów i
ścian, i zakreślając szeroki łuk, toczyły się po ziemi, aby powoli
wygasnąć.

Opancerzeni czuli respekt przed zdesperowanymi podpalaczami flag /gdzieś tam, na wysokości Biskupiej Górki, właśnie uderzył w niebo słup czarnego dymu z płonącego pojazdu/, w szybkości widzieli więc bezpieczeństwo. Coraz to wyskakiwał opancerzony Skot, goniąc szaleńczo po ulicach, ścinając bezpardonowo zakręty. Chłopczy kryli się po bramach, za parkującymi samochodami, albo walili się na ziemię, gdzie mieli martwe pole ostrzału.

Było w tym coś z zabawy w wojnę, coś z cyrku lub amerykańskiego rodeo, gdyby nie daleki, to znów bliski jęk syren pogotowia ratunkowego.

Po odżywającej kanonadzie można było poznać, że Msza św. u Brygidy skończyła się. Skoty znów ruszyła do akcji. Z dachu kamienicy widziało się jak na dłoni - biegnące kobiety, mężczyźni, dzieci i starszaki - ostrzeliwanych jak stado kaczek, wywracających się, powstających i znów padających.

Bocznymi uliczkami napływali wierni z Bazyliki Mariackiej, zatrzymując się po bramach, to znów uciekając do klatek schodowych. Jakims sposobem dotarła wieść, że "na dworcu strasznie biją". Ludzie mitali się jak ryby w saku.

Zszedłem do mieszkania. Kobiety były splakane: od żrącego gazu i od naturalnej boleści serca. Pani Maria, która przeszła aresztowanie i wywózkę na Kazachstan, bez przerwy powtarzała: "O Boże, i nic im za to nie będzie!?", "Jak oni mogli!?". Jej do rośia, pracująca córka, strofowała matkę: "Jeszcze się mama dziwi? Mało mama widziała?". "Ale żeby tak robili Polacy?" - broniła się niegdysiejsza mieszkanka Azji.

Zablokowany telefon milczał. Trzeba się było na coś zdecydować. Poczekając z godzinkę i gdy w stronę dworca przeszło parę grup podnieconej młodzieży, ruszyłem na zwiady. "Biją?". Jedni mówili, że tak, inni, że już nie, a inni, podobnie jak ja - nic nie wiedzieli.

W rozterce dotarłem pod filary "Menopolu". Neogotycki gmach Dworca Głównego dalej oklejały plastry rozszerzonych szerszeni. Z drugiej strony budynku szedł raketowy ostrzał okolicznych wzgórz. Przejście do tunelu i dalej do pociągu, było wolne. Ruszyłem z dwiema kobietami, które zdecydowane były na wszystko, gdyż w domu czekały dzieci. W tunelu w nasze oczy i gardła uderzył stężony gaz. Z chusteczkami przy ustach wyskoczyliśmy na peron.

Na hetonowych płytach widać było ślady niedawnej batalii. Od strony dworcowego budynku wionęto stężoną grozą. Tłum umundurowanych mężczyzn, odzianych w grube zimowe kurtki, stał na szeroko rozstawionych nogach i walał się po oholewkach pałami, przyglądał się nam w ponurej zadumie. W czymś przypominali oni drapieżne zwierzęta, walące się ogonem po napiętych, gotowych do eko-ku bokach. "Jak najszybciej do wagonu, tam nie ruszą" - pomyślałem, nie wiedząc jeszcze o tym, że poprzedni pociąg został obrzucony świecami gazowymi i duszących się, szukających na zewnątrz ratunku ludzi, przykładnie wypalkowano.

Przezornie zająłem miejsce w samym środku składu, przy oknie. Ludzie wchodzili pojedynczo, po dwie lub trzy osoby i w milczeniu usadawiali się po kątach. Trwaliśmy w napiętym oczekiwaniu, kiedy skład wreszcie ruszy. I nagle, omijając jakimś cudem patrole i budy stojące wokół dworca, do naszego wagonu i sąsiednich wpadła grupa podekscytowanej młodzieży. Byli weseli na wściekłość i pełni nieukrywanej dumy. "Oto wybiła nasza godzina! Dla nas zmobilizowano te armie i uruchomiono te środki!".

My, oswojeni mieszkańcy wagonowego wnętrza, skupiliśmy się w sobie. Po peronie zatupały twarde gumowe kroki. Każdy kto tylko mógł zatrzaskiwał okna i dociągał do oporu drzwi. Środkiem

peronu przebiegła kohorta w trzydzieści chłopów. Za chwilę wracali z powrotem i mieli swą zdobycz. Był nią szczupły, przestraszony chłopiec w zielonej kurtce. Umundurowani wiedli go w triumfie, jakby na urąganie swej sile i tęgości. I wówczas w wagonach zawrzało: wrzaski, tupania, gwizdy, jak zawsze, gdy strzelono gola nie w tę bramkę.

Znów zatupoła gumowym podbiciem. Tym razem ruszyła zdwojona siła. Czuli się to po biegnących krokach. Zapadło milczenie: wszyscy czekaliśmy na ten moment. Umundurowani chłopcy, podobno na cyku, głodni i rozjątrzeni, biegli już na wysokości naszego wagonu. Przewodził im rozrośnięty w plecach sierżant. Jego chłopska, rozogniona i pucułowana twarz, okolona hełmem i podpięta pod brodą, upadabniała go do motocyklisty, który wraca z wiejskiej zabawy. Zatrzymał się, za nim jego chłopcy, i rozglądając się bacznie, zbliżył się do naszego wagonu /wówczas to zapadła ta paraliżująca cisza, bo jednak młodzież coś tam z cicha dogadywała/. Niedwuznacznym ruchem sięgnął za pazuchę, gdzie tkwiła papierowa tuba z gazem, i z nosem przy oknach ruszył wzdłuż składu. Doszedł do mego okna. Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy i między nami nie było żadnej przegrody.

Czy się przeląknę? Był to moment i wiem, że starałem się być w miarę obojętny, patrząc na niego jak na rybę na smaku. Któż z nas był w akwarium? Jego oczy?... Rozszerzone źrenice, intensywne w swej niebieskości tęczy i wyraz szaleństwa...

Czym było to szaleństwo? Wtedy właśnie znalazłem potwierdzenie tej wiedzy, że jest to siła, która tkwi w każdym z nas. Jest to siła rozjątrzonego ducha, który stracił cel i oparcie, i który w swym obłąkaniu gotów jest na wszystko.

Boże, miej nas w swej opiece.

M a s ł o

Pewnego dnia wokół mego domu zaczęli krążyć starzy ludzie: nieporadni, niezgrabni, ubrani w rzeczy wczorajsze i przedwczorajsze, żeby tylko było ciepło i wygodnie.

Ten nalot starości wydawał się być świadomym zamachem na spokój ludzkiego ducha, był zorganizowanym przez jakiegoś dowcipnisa hepeningiem brzydoty, turpistycznym cyrkiem, którego jedynym celem było ukazanie, jak słabe jest nasze miłosierdzie i jak zawodna nasza litość.

Gdy wyszedłem z domu napotykałem ich na rogach ulic; na przystankach tramwajowych, na małych placzkach i na szerokich alejach. Byli zagubieni, pokorni, proszący i jakby się umówiwszy wszyscy pytali o sąsiednią ulicę. Miałem wrażenie, że kiedy wrócę do domu - podwórze, schody i mieszkanie będą zapchane tłumem starych mężczyzn i kobiet, tupiących i chuchających w zziębnięte dłonie, a nozdrza moje porazi zapach zjełczanego tłuszczu, starzyny i delikatny, ledwo rozpoznawalny słodkawy odór rozkładu. I wszyscy będą wpatrywali się mi w oczy, oczekując ratunku.

Ogarnął mnie gniew. I pojąłem, że ci staruszkowie demonstrują, nie bez pewnego wyrachowania i starczej chytryści, swe opuszczenie i bezradność, są widomym znakiem poniżenia i wyniszczenia mojej Ojczyzny. Cyniczni namleśtnicy tak mocno przyparli ją do muru, rzucili na kolanach i oddarli ze wszystkiego, że nie jest oto w stanie otoczyć opieką swe stare, zniedołężniałe dzieci.

I pomyślałem też, że dzisiejsi starcy w ów czas należeli do oprawców i ofiar, do pascyzytujących i zjadanych, do oszukujących i oszukanych, do pułkowników i szeregowców, a przede wszystkim do tych, którzy za wszelką cenę chcieli i jak o

t a k o p r z e ś y ć. I teraz zbuntowały się ich dzieci i wnukowie, i nie pomni na własną rychłą starość, wygnali ich na wymrozoną przedświąteczną ulicę, aby unaczcnić ile kpiny, gryzącej ironii kryło się w tej pieśni, jaką śpiewali w swój wiek męski, jak wiadomo, wiek klęski: "Maładym wieździe u nas daroga, starikam wieździe u nas paczot!"

... A to tylko wydawano masło. Dawano po kilogramie solonego masła na głowę każdego emeryta, już niczego od nich nie wymagając tylko ważnej legitymacji Związku Rencistów i Emerytów oraz 20 złotych na koszt administracji.

Gdy więc wróciłem do domu, znalazłem mieszkanie bezpieczne, a wcześniej ujrzałem na ulicy pokorny tłum niegdyśniejszych władców i podwładnych, jak w zdyscyplinowanej, wzorowo ustawionej kolejce, w zgodnym rytmie wytupują z siebie zimno.

Nie. Ojczyzna Ludowa nie zapomniała o swych starych dzieciach i oto na święta obdarowano ich masłem! Ich sklerotyczne ciałota, ich zaczopowany cholesterol układ krążenia, ich zamulone serca - posmarowano masłem!

Kolejka teżała i potworniała przez cały dzień, i stawała się podobna do węzła, który wciąż nie może nasycić swego głodu. Przed szóstą wieczorem węzł został nasycony: przy drzwiach do sklepu trwał krótki psi ogonek.

Właśnie przechodziłem obok, gdy drzwi się otwały i oświadczone, że dziś już masła nie będzie się wydawać. Zaczęła się klasyczna przepychanka i szamotanie. Wysoki, dostojny starzec w karakułowej czapce, nagle zachwiał się i poleciał plecami na chodnik. Stuknęło głucho ludzką czaszką, czapka potoczyła się w błoto. Stary człowiek zaskomlał jak uderzony pies, któraś ze starszek wpadła w histerię: "Ludzie, co robicie! Ludzie, tak nie można!"

Pierwszym, który podnosił starca okazał się być krepny, szerokolicy sprzedawca, człowiek w średnim wieku. Twarz miał bladą, oczy rozszerzone przerażeniem.

- Przyjmę pana bez kolejki. On wejdzie bez kolejki! - ratował swoje człowieczeństwo.

Starzec, nie wiadomo czy oszołomiony upadkiem, czy też niespodziewaną wielkodusznością sprzedawcy, rozglądał się po ludzkich twarzach, jakby tracąc pamięć kim jest. Ktoś mu nacisnął karakuł na głowę.

- Idź pan... No, idź pan!

Dzwi się zamknęły. Czekali. Psi ogonek trwał w nadziei, że kierownik do końca okaże się człowiekiem.

H u m o r t y c h d n i

Humor tych czasów funduje samo życie. Nie trzeba zmyślać, ani żadnych aranżacji. Oto parę zdarzeń życzliwości, absurdu i czystej wody komizmu.

Pewna pani hodowała sukę podupadającej rasy i chciała koniecznie mieć tę zastępcę przed potomnością, że ożywi psią arystokrację. Droga mozolnej korespondencji odnalazła w Polsce partnerów dla swej suki. Obaj byli z tego samego miotu zaczynającego się na literę "H". Jeden zamieszkiwał na południu kraju, drugi w stolicy. Zbliżał się okres rui i z południa zamówiono małżonka dla podstawy, rzależ już nieco arystokratki.

Aż tu wyskoczył stan wojenny: zablokowane wyjazdy i telefony, godzina policyjna. Same nieszczęścia.

Któregoś dnia przychodzi do owej pani listonosz i przywodzi telegram tej treści: "Herzt nie żyje". Oznaczało to, że kwater z południa oddał ducha. Listonosz nie odchodzi, tupcze się, przy

drzwiach, jakby oczekując na jakieś wyjaśnienie. Więc pani objaśniła w czym rzecz.

Jakimiś tylko sobie wiadomymi drogami, właścicielka sukki alarmuje Warszawę, ażeby nie patrząc ni na stan wojenny, ani na kopsza przyjeżdżali z drugim kawalerem na "H".

Mija parę dni i ten sam listonosz, mocno zakłopotany, przynosi telegram o brzmieniu: "Hetman niedomaga. Nie przyjeździemy". Pani znów wyjaśnia w czym rzecz. Listonosz zdaje się wszystko rozumieć, ale za parę dni wiadome służby wzywają, dlaczegoś nie panią lecz pana domu, i przypierają go do muru: "W jakiej to organizacji działa pana żona? I co ma oznaczać szyfr: Herszt nie żyje, Hetman niedomaga?".

Po gestych tłumaczeniach pana wypuszczono. A ponieważ należał on do Koła Łowieckiego, broń myśliwską /złożoną lojalnie na milicji/ zwrócono mu jako ostatniemu i to po kilkakrotnym upomnieniu się.

A cóż z suką? Dalej jest starą panną.

X X X

Inny znów obywatel, którego, jak to jest obecnie w zwyczaju, wspierała rodzinna wieś, otrzymał telegram obwieszczający co następuje: "Śliwki dojrzały. Czekamy".

Zamiast pojechać do rodziny na śliwkobranie, przesiedział się on w wiadomym miejscu, aż do wyjaśnienia sprawy.

X X X

Działo się to w Szczecinie. Pewna podstarzała aktorka, która słynęła z niewyparzonego języka, obudziła się wczesnym rankiem i w swej sypialni, nad łóżkiem ujrzała luźną czołgę.

Patrzy i widzi, że czołg nie wyrobił zakrętu i luźną wpakował się w jej domowe pęcelesze. W otwartej klapie ciężkiego pojazdu bojowego dostrzeżga zafrasowaną twarz młodego kierowcy.

- Ty sukinsynie, wyciągnij swego h... z mego pokoju, bo ci oczy wydrapię!

- Kiedy nie mogę, proszę pani, domy porozwalam.

- A gdzie byłeś, kutasie, kiedy ludziom rozum rozdawano?

- Na szkoleniu politycznym, proszę pani.

I już w zgodzie dotrwali tak do wieczora.

X X X

Opowiada młody człowiek, który uszedł przed strasznym pogromem, jaki urządzili znarkotyzowani zomowcy po Mszy św. Brygidy na 3 maja 1984 roku. Gdy go tak gonili przez plac obok Domu NOT-u, a wiedział, że jak go dogonią, to zmasaktują jak wieprza, poczuł przypływ niesamowitej energii i jakimś rozpaczliwym sprintem dopadł do oszklonych drzwi prowadzących do wieżowca PROMOR-u. Staruszek portier widząc, co się święci, ezybko uchylił drzwi i wpuszczył ściganego.

Ten gdzieś tam się ukrył w holu, szykując się do ewentualnej ucieczki po piętrach. I zobaczył następującą scenę:

Zomowcy walią do drzwi, staruszek portier nie wpuszcza, więc ci długo się nie namyślając rozwalają pałkami ezkło. Staruszek chroni się do oszklonej dyżurki. Chłopcy są już w holu i dobijają się do dyżurki. Staruszek chwyta za telefon i zaczyna gdzieś dzwonić.

- Dzwoniłem na pogotowie milicyjne, a te cholery nie przyjechały
- tłumaczył później zdumionym ludziom odważny staruszek.

X X X

Inna znów pani, mieszkanka Wrocławia, chciała upilnować swego niepełnoletniego syna, który wraz z klasą i całą szkołą, został wcielony do pierwszomajowego pochodu. Jako że w końcu było to święto, pani ubrała się w miarę elegancko: wiosenny kostiumik, torebka, pantofelki na wysokich obcasach, i towarzyszyła synowi, podążając za chodnikami.

Kiedy młodzież znalazła się przed trybuną, tam już się kotłowało. Zaczęła się głośna na cały kraj manifestacja i zomowcom pozwolono pofolgować co nieco. Pani uciekając straciła z oczu syna, później pantofelki, a na koniec torebkę. Biegając w poszarpanych podczochach, poddobiła stopy i byłaby niechybnie wpadła w ręce rozsierdzonych pretorian, ale na plecach wyniósł ją własny syn.

Mówiła potem, że najbardziej zdumiał ją widok pustej trybuny pierwszomajowej, na której ostał się jedynie rosyjski generał, przedstawiciel północnej grupy wojsk radzieckich. Na twarz generała odbijał się nader skomplikowany proces myślowy. Owa pani do dziś nie wie, czy generał został na trybunie, bo tak mu nakazywał honor munduru, czy bał się, że w tłumie oberwie pałą, czy też, po prostu, umysł jego nie przyjął do wiadomości, że coś takiego może się w ogóle dziać.

Janusz Wilczak

Auto-Łazarz /fragmenty powieści/

Zapis w Książce Raportów Lekarskich Kliniki Chirurgii Urazowej AM w Gdańsku, dnia ..., godz. 14.00.

Pacjent Andrzej Łazarz, lat 30, seria numeru osobistego SJ zamieszkały w Gdańsku-Biskupia Górka, ulica Salwator, przywieziony do Kliniki przez pogotowie ratunkowe karetką reanimacyjną, jako nieprzytomny, w stanie bardzo ciężkim, najprawdopodobniej po pobiciu. W trakcie transportu przytomności nie odzyskał, bez kontaktu, wskazuje na użycie alkoholu. Po przywiezieniu do Kliniki nastąpił epizod śmierci klinicznej. Zastosowano intensywną reanimację, akcja serca powróciła, tętno nierytmiczne 120/min. Kontaktu rzeczowego nie było i nadal nie ma.

Widoczne obrażenia: wybroczyny krwawe w okolicy lewej skroni i prawej strony okolicy czołowej. Krwiak okularowy i pęknięcie lewego łuku brwiowego. Zreniówce wąskie reagujące na światło, trudno badalne, szpara powiekowa znacznie zwężona. W badaniu neurologicznym objawów patologicznych nie stwierdzono. Ciśnienie RR 130/80. Akcja serca miarowa, aktualnie 60. Nie reaguje na żadne bodźce. Moczy się pod siebie, założono cewnik. Okresowe spyczenie, zwolnienie oddechu do 10/min. Chorego w Izbie zaintubowano. Przekazano na Oddział intensywnej opieki medycznej. Oddech wspomagany respiratorem Bennet MA-I. Włączono leczenie przeciwobrzękowe, Rtg czaszki i kręgosłupa - bz. Arteriografia mózgowia wykazuje cechy obrzęku mózgu. Odżywienie organizmu sztuczne - kroplówki. Manitol.

I.

Brakuje jeszcze, żeby po korytarzach gdańskiego Srebrzyska spacerował paw, jak u Bunuela i od czasu do czasu skręcał do kibelka by się wysrać. Babcia Odojecka, zwana Hrabina, podeszła do Andrzeja Łazarza od tyłu, gdy załatwiał papierki na oddziale dwadzieścia jeden. Ani się spostrzegł, gdy wyrosła przed jego oczami jej twarz piracka, jak z obrazka na opakowaniu gumy do żucia i poczuł na szyi palce grube i drewniane, powleczone skórą oddzielającą się od mięsa, jak plastikowy flak parówki. Chciała go udusić, ale nie dał się złapać na ten stary numer i parsknął śmiechem, pełnym ciepła i życzliwości.

- A co by pan zrobił, gdybym siadła panu na kolanach?

- Wolę młodsze...

Z głębi korytarza biegli w ich stronę Wacek i Markowski, rezydenci i "smakosze".

- Niech pan trzyma Hrabinę, znów załała nam łóżka!

Hrabina pisnęła i uciekła w kierunku zabiegowego. Wchodząc do sali numer trzynastcie, tej która wychodzi na cmentarz i gdzie w Zaduszki zasłania się okna kocami, żeby nie przygnębiać chorych, bo łuna świeczek zaduszkowych dochodząca aż tutaj doprowadza do zaostrzeń, trafił na moment, gdy pielęgniarki ściągają z niej koszulę. Twarz Hrabiny była martwa, jakby wytupane jej oczy. Pacjentki obojętnie przyglądały się tej scenie, chomikowały w cudzych szafkach albo tępo wpatrywały się w sufit. Hrabina szczała w łóżka, gdy ktoś okazywał jej zainteresowanie. To było dla niej zbyt silne uczucie - puszczały jej zamki.

Łazarz się zstrzymał. To co go uderzyło, to piękność jej fizycznej budowy. Jej piersi były okrągłe, już z lekka pomarszczone, talia dobrze spasowana w trójkącik łonowy był prowokująco gęsty, jak czupryna znanego artysty. Musiała się nieźle puszczać, ale nie całkiem była taka jego intencja. Był wzruszony. Ciało Hrabiny wydawało mu się piękniejsze od ciała Marylki i tego się zawstydził.

Piasek białeł, jak kości. Dzieciaki z jego grupy bawily się w piaskownicy. Niewiele poświęcał im uwagi. Nie było wśród nich żadnego z ostrą psychozą. Wyglądały, jak normalne dzieci opuszczone na chwilę przez rodziców, choć ruchy Jadzi bijącej monotonię wiaderkiem o drewniane obramowanie piaskownicy zdradzały gotującą się w niej chorobę. Upał teżał i z niepokojem pomyślał o tej godzinie, która dzieli go od obiadu.

Wczoraj w Warszawie obudziło go delikatne poszturchiwanie faceta siedzącego obok w przedziale porannego ekspresu. Wyraźnie wstydził się swojej propozycji, ale mógł udawać!

- Czy nie ma pan zbędnego biletu?

Delegacyjny. Ale te jego późniejsze pytania były zbyt szczegółowe... Po co chciał tak natarczywie wiedzieć, gdzie będzie sypiać i co właściwie chce robić w Warszawie. Dał mu ten bilet bez wahania, on nie musiał się przed nikim rozliczać. Przysłuchiwał się jego słowom. Dlaczego tak duże mówi?! Czyżby chciał ukryć właściwy cel rozmowy? Na wszelki wypadek nie dawał się wciągnąć w ten przypadkowy dyskurs. Pociąg wjeżdżał do tunelu pod Śródmieściem i poczuł strach. Trzymał torbę z papierami obiema dłońmi. Odprężył się ujrzawszy światła Dworca Centralnego.

Maciuś, którego nieobliczalne zmiany nastrojów napawały go lękiem, szarpał za fartuch.

- Co dzisiaj będzie na kolację?! Na obiad... Dzisiaj placuszki z dżemem? Placuszki z pomidorem, z marchewką, ale ze śmietaną nie...? Placuszki z dżemem, z musztardą, ale marchewki nie?! Placuszki z dżemem, z musztardą, pan! mnie boli brzuch!

Czyżby znów się zaostrzył? Ale nie sprawiał takiego wrażenia. Spódenki pizamy utyłkał i na jego twarzyczce wychudzonej i zapia-szczonej nie znać było jakiegos specjalnej determinacji. Raczej smutek. Przed oczami mignął mu poranny obraz - "Me Think I see, where - in my minds eyes" - kurestwo! Aupa, którą zrobiła Jadzia w łózko. Ekskrementy, jakie pozostawiają niekiedy robotnicy w ką-tach budowanych przez siebie mieszkań. Świeża posćiel z napisem "Srebrzysko". Gdy wszedł do jej pokoiku zareagowała histerycznie. Przesadziła barierkę i skryła się, jak zwierzątko, pod sąsiednim łózkiem. Te mocne dźwięki, które potrafią dotrzeć pod samą ścianę i od których nie ma uciszczi! Jej drobne ciałko, które wydało z siebie taką ogromną nieczystość. Z Jadzią nie było kontaktu i by-ła skazana na zamknięte drzwi piwnicy, zapach węgla i butwiejącego drewna.

Zza zielonych buł lasu około cmentarza komunalnego, zza bia-łych baraków warsztatów huknęły w upalną ciszę dźwięki marsza po-grzabowego. Słychać było głównie blachę: talerze, trąbki, tuby. Skomlenie trąbek ciągle wyprzedzało kondukt, który stonimi ude-rzeniami bębnow powoli sunął w prawo i zdawał się walić w ziemię, spokojnie i nieodwołalnie. Zadał sobie pytanie - gdzie może być życie? Wszystko było tak dobrze wyreżyserowane, że ogarnęło go zwątpienie.

Rola Łazarza w ruchu była poślednia. Służył za łącznika. Po-nieważ praktyka porozumiewania się poszczególnych regionów była ściśle zakomspirowana, Andrzej chodził wiecznie w skafandrze, ni-gdy nie opuszczał batyskafu. Wobec nakazów swoich zwierzchników, wszystkie problemy następczące się w robocie musiał pozostawiać w sobie i mógł mówić o nich jedynie z ludźmi bezpośrednio zaangażowanymi. Na docieklive pytania Marylki odpowiadał omówieniami mającymi się jak najdalej od rzeczywistości. Ciągle żył w Otchła-ni, którą sam tworzył. ?O! nigdy, nigdy nie wychodzić poza Licz-by i Istoty". Istoty i Liczby musiał pozostawiać wyłącznie sobie. Porozumiewał się ze swoimi najbliższymi za pomocą Mgławicy. Wygła-szał dziwaczne toasty w rodzaju: "no, to w mgławicę Kraba", al-bo "panowie, za tyłek Magellana". Zaczął sobie nuocić starą przy-śpiewkę:

"pierdzi koza pierdzi
z dupy jej się kuzy
niech nam jublatka
zyje jak najdłuzej".

Z budynku oddziału wyszła siostra Bożena. To dobra kobieta, można jej podrzucić dzieci. Nawet do niej nie podchodził, pokazał gestem ręki stadko swoich gołębi grzebiących w piasku i również gestem pokazał gdzie zamierza pójść na drobną chwilę. Zgodziła się poważnie i ze smutkiem. Układ między nimi był taki, że Andrzej przynosił jej gazetki podziemne a ona chroni go przed knowaniami kierownictwa, gdy spóźni się na odprawę, albo czuń od niego al-kohol, bądź, jak w tej chwili, chce na moment się urwać. Lubił ją nie dlatego, że go kryje, ale że tchnęło od niej klasztorem.

W szkółce przycupniętej do zbrocza za pawilonami Szpitala by-ło chłodniej. Dobrze trafił - dziewczyny z "młodzieżówki" gotowa-ły kawę.

- Znajdzie się kropelka dla Łazarza?

- Wódki?

- Nie, jestem w pracy, kawy.

Jagoda spojrzęła w torebkę, nie była zbyt zadowolona, ale machnęła głową.

- Przynieś szklanę.

Spojrzał w zadumie przez okratowane okienko drugiego pokoju nauczycielskiego. Między pomnikami było pusto i nieprzyjemnie. Ale chwalił sobie tę pracę, bo posadę nauczycielską niełatwo było znaleźć a tutaj płacili stosunkowo nieźle - całe osiem tysięcy plus nadgodziny. W wakacje, jako nowy pracownik musiał pełnić dyżury na oddziale dziecięcym. Cmentarz nagle zapełnił się żałobnikami. To go wyгнаło i wrócił do dziewcząt. Postawił szklankę na stole i usiadł w kącie. Jagoda opowiadała o swoim śnie.

- Przychodzę na oddział a Oddziałowa patrzy na mnie, jakby od razu się zorientowała. Mówi - "pani Jagodo, czy nie czuje się pani dzisiaj źle"? Ja na nią z pyskiem, co to ją obchodzi, niech lepiej zajmie się inienkcjami. I, że widziałam, jak kradła sinequan, na pewno dla swoich królików. - Dziewczyny chichotały. - A ona tak dziwnie się patrzy. "No, no" mówi do siebie i jakos tak idzie do drzwi jakby chciała je zatarasować. Wstałam z wagi, bo siedziałam na wadze i pędem do wyjścia a ona krzyczy - "Panie Piotrkule panie Piotrkule! niech pan tu zaraz przyjdzie i przyniesie pasy!" Ja cała przerażona, o co tutaj chodzi? Przecież ja nie mam świra... Zbiega się cały personel i nie da rady... Pakują mnie na oddział dziecięcy, wiążą w pasy i kładą do łóżka razem z matą Jadzią...

- Którą?

- No, tą maleńką, z Grudziądza, jagódką. Ordynatorka staje przede mną i przekonuje: "Jak nie przestaniez krzyczeć to będziesz całe życie bawić się w piaskownicy, albo zwiększymy dawki leków!" Dziewczęta się śmieją a Andrzej zrywa się z krzesła, bo przypomniał sobie, że miał zatelefonować do Henryczka i potwierdzić czy będzie na imprezie u niego czy nie. Trochę bał się o Marylkę - musiała ostatnio brać inne leki nasercowe - ale chęć wypicia tego dnia była silniejsza. Biegł, bo musiał zdążyć przed posiłkiem, potem nie mógłby się dostać do pokoju Ordynator a tam właśnie było jedyne wyjście na miasto.

Na schodach spotkał lekarza, ukłonił mu się grzecznie. Wkładając klucz w zamek zrobił jeden, niepotrzebny ruch w prawo, tak jak włącza się radio. Przez oszklone drzwi zaatakował go wrzask. Poznał Maciusza. Twierdził, że w zakładzie psychiatrycznym nie przerażają go krzyki, a raczej cisza... Cisza kroków pacjentów snujących się po korytarzach jak zgłodniałe pantery. Albo uśmiech - głęboki, gwałtowny i zimny. Uśmiech, którego powodów nikt nigdy nie docieczy, a który zmienia twarz młodej schizofreniczki zamkniętej za maską tępej uczennicy w słodki, drapieżny dziób pterodaktyla.

Nie miał trudności z przewidzeniem przyszłego toku wydarzeń. Maciuś krzyczał. Jego krzyk rozpędził się ukazując w powietrzu swoje tryby, meandry straszliwego jodłowania i nabierał mocy. Nic nie mogło już go zatrzymać. Ani zastrzyki, ani tabletki, ani pulchne dłonie pielęgniarek. Ten pochodził z wnętrza ziemi i miał energię mórz. Był w nim ten rodzaj uporczywości, jaki cechuje alpinistów i nie było w nim boleści, raczej kosmiczna konieczność opowiedzenia całemu światu, że stała mu się krzywda. Lecz nie jemu - maleńkiemu družbie, ale całemu dostępnemu światu. Gdyby wszystkie dzieci na Srebrzysku zaczęły naraz krzyczeć, to nie tylko padłyby mury Srebrzyska, nie tylko mury Gdańska, ale przebijając się przez zwoje linijek tekstu Biblii padłyby powtórnie mury Jerycha. Drzwi otworzyły się gwałtownie i wypały pielęgniarki.

- Panie doktorze, co z nim zrobić??! znów krzyczy - lekarz zatrzymał się na chwilę, choć wyraźnie miał ochotę uciec.

- Zostawcie go samego. W łóżku. Po jakimś czasie przestanie, zabraknie mu sił. Wracajcie do pacjentów.

II.

Gdyby wiedziała, że Stachu zemści się na niej tak okrutnie, to w ogóle by nie przychodziła. Ale on nie mógł sobie podarować uczestniczenia w jej śmierci i dlatego powiedział z drwiącym uśmiechem: - Pewnie go przyskrzynili...

Zamilkł, gdy spojrzął na Marylkę - jej wargi żępotwały, jakby chciała za ich pomocą ulecieć. Umiała całymi godzinami szabować swoim płaczem. Chowała się wtedy w kuchni i wpatrywała się w okno, za którym koło pierwszej mrok nabierał odpowiedniej intensywności i była przekonana, że nie zdoła powrócić, bo była zbyt słaba, a szafy w korytarzu są silniejsze od niej i to one nie wpuszczą jej do salonu. Kładła się na wieku wielkiej dębowej skrzyni i coś w niej krzyczało, jak zawsze - powściągliwie, "to Książę jest naszym więzieniem, widzicie?!". Bywały chwile, w których godziła się na jego bezceremonialność, smutek w oczach kraterów i drewniany uciak wieka przywracał ją temu domowi - pustemu, bo znów nie było Andrzeja, pełnemu jak sale muzeum martwymi, starożytnymi meblami.

- Jak długo już go nie ma?

To pytanie Eli zabolalo ją jeszcze mocniej.

- Już drugi dzień. Miał wczoraj wrócić po imprezie u Henryczka
- Kto to jest?
- Henryczek? Dziennikarz, z tych co bardziej spolegliwych. Przeszedł przez weryfikację.
- I Andrzej się z nim przyjaźni?
- Nie, myślę, że po prostu z nim pije, jak z każdym.
- Jesteś niesprawiedliwa.
- Ale bliska prawdy, niestety...

Miała ten sam uśmiech co Stachu, uśmieszek. Zawsze była echem. Gdy udało się Marylce porozmawiać z nią szczerzej, oglądała się na boki i była zła na siebie. W jakiś sposób były bliskie sobie, chociaż to duchowskie pokrewieństwo wypływało z zupełnie różnych powodów. Stachu, mąż Eli, był tak doskonały w sprawowaniu swoich domowych obowiązków, że niedosiężny, równie daleki jak Andrzej, na którego "nigdy nie można było liczyć". Czuli się samotne i Ignę do siebie, choć nigdy nie doszło między nimi do otwartych wyznań. Marylka była zbyt dumna a Ela strachliwa.

- Nie chcesz się u nas przespać?

Ich pokój zagrażony do granic wytrzymałości, z maleńką wnęką dla trójki ich dzieci /jedno z nich właśnie wychodziło na czworakach spod starej kanapy, którą ktoś bardzo dawno pozbawił oparcia/ odstręczał od tej propozycji, ale nie to było powodem, że Marylka powiedziała "nie, nie, nie..." szybko, może zbyt szybko. W ich towarzystwie traciła wiarę, że uda się jej kiedykolwiek stworzyć dom bez względu na to czy Andrzej Bazarz zostanie jej mężem czy nie. Po ostatnich pronienianach płodność Eli odczuwała jak drwinę. Ela wyczuła ją i przypomniała sobie o zapalniczkach.

- Znalazłam dzisiaj zapalniczkę. Dałam ją ojcu.
- Jak ona wyglądała? - Stachu był zainteresowany.
- Taka przezroczysta. Miała w środku jeszcze płyn.
- Trzeba mi było powiedzieć - był zły.
- Po co ci dwie zapalniczki?! Jaki ty jesteś małostkowy...

Stachu roześmiał się śmieszkami, który nie pozostawiał już żadnych wątpliwości. Ela zaczęła czegoś szukać na regaliu.

- Uff, bałam się, że zginie mi obrączka.

Stachu poczuł się pewnie i oceniał, w którym miejscu udało by mu się podważyć dumną osobowość Marylki. Nie robił tego ze złej woli. Nie lubił gdy sytuacja wymykała mu się spod kontroli.

Zaczął niewinnie.

- Słyszałaś o tym facecie, którego milicjanci zatłukli pod kościołem św. Brygidy?

- Tak...

- Wie wiesz czegoś bliższego?

- Wie, skąd, z Andrzejem na ten temat nie rozmawiam.

- Wie męcz Marylki - Ela poczuła solidarność kobiecą, ale nic nie mogło powstrzymać śledczego zapału Stacha.

- Andrzej ostatnio wyjeżdżał do Warszawy?

- Tak, miał się z kims spotkać, ale on mi nic nie mówi na ten temat. Zresztą, lepiej nie wiedzieć...

- No jasne, to jasne, nie gniewaj się na mnie. Jeszcze to samobójstwo Samsonowicza. Wiecie jak to było? - Marylka spojrzała na niego przerażona - powiesił się na płocie koło swojego zakładu pracy. Ja myślę, że pojawi się - jutro albo pojutrze, ale mógł być zostawić jakąś wiadomość.

/.../

Mimo bólu, ostrego i krzywdzącego, wyciąganie cewnika miało dla Andrzeja posmak seksualny. Zielone i czerwone punkty drgające na korpusach aparatury medycznej ożywiały pokój, w którym leżał już trzeci tydzień i nieświadomie rejestrował chrapliwe dźwięki, jakie dochodziły z sąsiedniego łóżka zajmowanego przez Pankowskiego, aparaturowego z Rafinerii, który zachłysnął się ropą wpadłszy do zbiornika w czasie czarnej, letniej ulew. Pankowskiego już nie było. Odwiedziono go na wózku o bocianych nogach przykrytego prześcieradłem do Zakładu Medycyny Sądowej na sekcję. Miał już trochę ciszej.

Jakiś kiszkiwiec puszczał długie salwy ze swoich chorych trzewi, skarżąc się przed nieprzytomnym lekarzem na grozę i niski status swojego cierpienia. Pragnął je zagłuszyć mlaskaniem, chrapaniem, syczeniem i westchnieniami. Ale pierdzenie, bolesne i płynące prosto z serca niweczyło te zabiegi. Tego wszystkiego lekarz nie wiedział. Jakiś ostrzejszy impuls bólu płynący z cewnika w trakcie oddawania skąpego moczu przedarł gwałtownie gęstą kurtynę oddzielającą go od świata i zwrócił rzeczywistości w sposób niespodziewany i niechętny.

Począł się rozglądać po sali, w której leżał. Po lewej stronie stało puste łóżko Pankowskiego. Naprzeciw, pod ścianą sali intensywnej terapii medycznej leżał kiszkiwiec, który rozpoczął z nim rozmowę za pomocą długiej frazy wydalającej się w ciszę śródnocną jakimś niezrozumiałym napomnieniem, swarliwym i gburowatym. "Ale cham!? pomyślał lekarz i zdał sobie sprawę z tego, że nie umiałby tego powiedzieć. Jego myśli nie używały słów, operowały atomami sensu. Gdy chciał sobie powtórzyć zdania w znanym kiedyś języku okazało się, że jest to niemożliwe. Rozumiał rzeczywistość, ale nie umiałby o niej niczego powiedzieć. Sens słowa "cham" nie był spełniony w żadnym językowym kodzie - zrodził się z kilku obrazów. Widział Fornalczuka spluwającego na stół ślusarski, na którym leżały książki i śniadanie w rozwinętym papierze, widział swoją nauczycielkę wrzucającą serwetkę ze śladami pomadki do wiklinowego kosa /pachnącego trupim zapachem jabłek/, widział swojego ojca w brudnych gaciach chodzącego po ich mieszkaniu i te błyskawicznie przesuwające się przed jego oczami obrazy potoczyły się w jeden termin "cham!". Termin obcy i pusty, bo pozbawiony związku przynależności do własnego znaku.

W ciemną, szpitalną noc wystrzelała biała noga samobójcy przywiezionego wczoraj, w chwili, gdy Marylka utraciłszy ciepłi-

wości potrzasała głową Andrzeja, krzyżąc "no, zjedźże coś, bo już dłużej nie wytrzymam" a na jego rękach, jak odwrócone stonogi, drżały igły kroplówek dostarczających chemiczne odżywki i przytrzymujące go przy życiu stało, jak źle przyszyty wieszak. Ten korytarz oddzielający łóżka wydawał jej się kanałem wypełnionym brudną wodą, przez który przepływają często białe barki odwołujące pacjentów do kostnicy, najczęściej do kostnicy. Samobójstwo Mirka Smiechowskiego stało się sensacją dnia na Oddziale Chirurgii Urazowej AMG. Sposób w jaki targnął się na swoje życie, był widowiskowy i szukano w tym określonych intencji politycznych. Stało się to przed bramą Nr 2 Stoczni Gdańskiej. Robotnicy śpieszący tego dnia do pracy ujrzeni ciała wiszące na jednym z krzyży Pomnika Ofiar Grudnia. Wiszący podrygiwał tak, jakby swojego czynu dokonał właśnie w tej chwili - z nogawki jego dżinsów skapywał mocz i szyja wyprężyła się w obronnym geście przed sznurem, zaś na piersiach wisiała kartka z bloku rysunkowego z szyderczym napisem:

MAM TO WSZYSTKO W DUPIE

Podczas ściągania go z krzyża, jeszcze żyjąc, Mirek uległ następnemu wypadkowi. Gruchnął na betonowy piedestał pomnika. Na plecach wisiało dokończenie tego zdania przyćwieczone dla milicji bądź dla tych, którzy go odnajdą:

WAS TEŻ CHUJE!

W tej chwili wyglądał jak sarkofag kryjący w środku mumię i nie słychać było jego oddechu a lewa noga szczególnie poszkodowana celowała prosto w wywietrznik nad łóżkiem Łazarza i ten gest zagipsowanej kończyny miał stateczność pomnika.

Pod kłodrą Andrzeja trwała żywiołowa praca. Szarpał się ze swoim cewnikiem Oddanie każdej kropli moczu było tak bolesne, że dłużej nie mógł tego znieść. Bywają chwile w więzieniach czy szpitalach, że drobna dolegliwość urasta do tak ogromnych rozmiarów, że wszystko inne przestaje być ważne a pragnie się wówczas jedyną silnie w napletku. Poznawał teraz wszystkie bodźce seksualne w jednym ogłuszającym bólu i zrozumiał dlaczego w miłości jest tak wiele szarpania, kłóśnięcia, przyciskania ciała do ciała, zaciśnięcia szyi, zapragnął nagle innych uczuć, innego mitowania. Gdy wyzwolił się wreszcie z tej poniżającej aparatury poczuł lepka ciecz na udach - poznał ją, to była jego krew i zapragnął rozgrzeszenia.

Ładeusz Oracki

13

Bujny erotyzm Cezara triumfował nie tylko w kontaktach z kobietami. Kułon Starszy nazywa go w swej mowie „mężem wszystkich kobiet i żoną wszystkich mężczyzn”.

Lata dziecięce spędził między Gajusz w otoczeniu kobiet, tj. matką i dwójką sióstr. Wychowany w kulcie hellenickim, był otworony dla wszystkiego co nowe i nieznanego.

DWUGŁOWI

Konrad Surgeński

Dwugłowy "orzeł rewolucji"

"Przed południem znalazłam w łazience na oknie duże pawie oko. Było tam chyba już od kilku dni i zamęczyło się na śmierć trzepotaniem o twardą szybę; dawało tylko słabe oznaki życia skrzydełkami. Gdy to zauważyłam, ubrałam się drząc z niecierpliwości, wdrapałam się na okna i ostrożnie wzięłam motylko do ręki - nie bronił się już i myślałam, że zapewne jest już martwy. Położyłam go u mnie na gzymsie pod oknem, by przyszedł do siebie, i wtedy słabo zadrgała jeszcze iskierka życia, ale się nie ruszał; potem położyłam mu przed czułkami kilka otwartych kwiatów, by miał co jeść; przed oknem drozd żartowniś śpiewał właśnie dźwięcznie i zuchwale, aż huczało; bezwiednie powiedziałam na głos: Posłuchaj, jak ptaszek wesoło śpiewa, wtedy przecież musi ci także powrócić odrobina życia! Sama musiałam się śmiać z tego przemówienia do półżywego pawiego oka i pomyślałam sobie: szkoda słów! Ale nie - po pół godzinie zwierzątko ochłonęło, najpierw pochodziło trochę tam i z powrotem i wreszcie powoli odrużnęło! Jakże się ucieszyłam z tego ocalenia. To było przeżycie".

Z tak ohszernych, pełnych zachwytów nad swoimi odruchami, przetykanych gdzie trzeba i gdzie nie trzeba cytatami najbardziej trywialnych i infantylnych strof "Wiosny", "Fijołka". "Pozdrowienia kwiatami" Goethego, naszpikowanych egzaltowanymi opisami owadów, ptaków i roślin, złożonych z autoterapeutycznych ócznań fragmentów składają się "Listy z więzienia" Róży Luksemburg, wydane ostatnio przez PIW w przekładzie Marii Biłewiczowej i z przedmową Feliksa Tycha. Te 22 listy i karty, pisane z berlińskiego więzienia przy Barnimstrasse, z twierdzy Wronki i z więzienia wrocławskiego do Zofii/Soni/ Liebknecht, drugiej żony Karola Liebknechta, między sierpniem 1916 a październikiem 1918 roku, wyszły spod ręki autorki "Wstępu do ekonomii politycznej", "Akumulacji kapitału" i "Kwestii narodowościowej i autonomii", w pełni ukształtowanej działaczki socjaldemokratycznej i teoretyka rewolucji klasowej. Należą do ostatnich pisemnych świadectw życia Luksemburg, zamordowanej w niespełna jedenaście tygodni po uwolnieniu z wrocławskiego więzienia, i na pierwszy rzut oka mogą sprawiać wrażenie odejścia Luksemburg od dotychczasowych, zimnych poglądów na los człowieka w kierunku świata przyrody, tak jednak pomyślanego, że znającego człowieka nie jako uczestnika przyrodniczych kalendarzy i przestrzeżeni, lecz jako intruza i przestępcę. Takie rozumienie człowieka przekazuje Luksemburg zresztą niejednokrotnie wprost, jak w ostatniej, przedwieziennej jeszcze karcie pocztowej do Soni Liebknecht, zawierającej opis przygotowań do lektury "Posiadacza" Johna Galsworthiego: "Zanim zasiadłam do czytania, sprawdziłam oczywiście drzewa i krzewy w parku - wszystko znajome postacie, co stwierdziłam z zadowoleniem. Natomiast kontakt z ludźmi sprawia mi coraz mniej zadowolenia. Sądzę, że wkrótce usunę się do samotni jak św. Antoni, ale - już sans tentations".

W trzy dni później Luksemburg aresztowano i marzenie o samotni szybko się ziściło. W pisanych z niej listów rzeczywiście wyziera przede wszystkim obiektywny, pozaetyczny świat przyrody; defilady mrówek w szparach chodnika spacerowego twierdzy Wronki, zapachy wiosny w okółwiepiennych drzew, ptasie ranne i nocne śpiewy, prze-

marsze samotnych i gromadnych chmur, kolorów czy zapschów. Ale pod grubą, szeroko rozlaną warstwą tych egzaltowanych wynurzeń, tych jawnych bądź lekko utajonych zachwyków nad własnym franciszkanizmem, nadal przepływa podziemna żyła stosunku "Krwawej Róży" do człowieka i świata międzyludzkiej rzeczywistości, nie wylutowana pomimo starań enerdownskiej cenzury, przyciętującej materiały do polskiego wydania "Listów z więzienia". Z biegiem lektury listów do Soni Liebknecht narasta w czytelniku dojmujące poczucie dziwnego rozdwojenia poglądów autorki, czułości i otwarcia na owady i rośliny - i ideologicznego zimna, zamknięcia na świat ludzkich wartości. Ten "orzeczenie rewolucji", jak nazwał Luksemburg Lenin, był orłem dwugłowym. Pomimo deklaracji "usunęcia się do samotni jak św. Antoni, ale - już sans tentations", już "bez pokus" - pokusy były silniejsze od deklaracji.

Jedną głowę ten orzeł recytuje wiersze o kwiatach Goethego i zachwycia się przelotem ptaków do ciepłych krajów, gdzie podczas podróży ustają zwyczajowe podziały na katów i ofiary a silniejsze ptasie gatunki przewożą na swych grzbietach małe i słabe ptaństwo, na które zresztą na miejscu zaraz polują. Jednocześnie w drugiej głowie tego orła rodzą się myśli mrozące krew w żyłach.

Zresztą i powstający w tej drugiej głowie stosunek do przyrody /a jakże!/, do "skończoności piękności", jest zastanawiający. "Proszę sobie wyobrazić - ozytamy na przykład - szeroki, heroiczny krajobraz z ostrymi konturami gór i dolin, na górze tylko krępe wierzchołki skał w szlachetnym szarym kolorze, na dole bujne drzewa oliwne, śliwy wawrzynowe i prastare kasztanowce. A nad tym wszystkim przedwielkowa cisza - ani głosu ludzkiego, ani śpiewu ptaka". Co się stało z ptakami? I co się stało z ludźmi?

W tej drugiej głowie nie ma miejsca na odruchy serca i głos sumienia. Tutaj "serce zaraz dostało klapsa i musiało być grzeczne; przywykło już służyć jak dobrze wytresowany pies". Ale ta głowa jest zarazem "za luksusem w każdej postaci", za kobietami na przykład, które jeśli nawet głupie i słabe, mogą jeszcze "nadawać się do zdobienia ziemi jak kolibry i orchidee". Tej pierwszej - zdarzają się i takie, szczerze wyznania: "Mam czasem wrażenie, że nie jestem prawdziwym człowiekiem, lecz także jakimś ptakiem czy innym zwierzęciem w chybionej ludzkiej postaci, w duszy czuję się na takim skrawku ogrodu jak tutaj albo na polu wśród trzmieli i trwam o wiele bardziej swojsko niż - na zjeździe partii. Pani mogę przecież to wszystko spokojnie powiedzieć: nie będzie Pani od razu wietrzyła w tym zdrady socjalizmu. Wie Pani, że mimo to umrę prawdopodobnie na posterunku: w bitwie ulicznej albo w więzieniu! Ale moje najgłębsze ja należy bardziej do moich sikorek niż towarzyszy". Ale ta druga głowa pozostaje rzecz jasna głucha na potrzeby i wyznania tej pierwszej; ona "stwarza wewnętrzną równowagę,

pozwała wnieść się ponad wszystko, o przykre i małe". Ją właśnie "interesuje tylko całość, a nie jakiś oderwany szczegół", gdyż całością właśnie potrafi manipulować, w imię całości godzić się na morderca na "małym", na ofiarę pojedynczego i konkretnego ludzkiego istnienia, na dumne wyduęcie warg nad "oderwanym szczegółem", "przykrym i małym". To widzenie z lotu ptaka /z lotu orła/, z wysokości przyszłego cokołu, opiera się na typowym dla Luksemburg pojmowaniu zła jako konieczności dobra. "Takie są - powiada - obiektywnie jedynie możliwe drogi historii i trzeba za nią podążać, nie tracąc z oczu głównego kierunku". Więcej nawet: zło w ujęciu "Krwawej Róży" nie jest także oszajalne etycznie, nie poddaje się ocenom: "Wie Pani, Soniusiu, im dłużej to trwa, im bardziej te nikoziemne

i niesamowite rzeczy, które dzieją się każdego dnia, przekraczają wszelkie granice i wszelką miarę, tym bardziej uspokajam się i wzmacniam wewnętrznie. Wszak wobec żywiołu - wichury, powodzi, zamienienia słońca - nie można stosować kryteriów moralnych, lecz trzeba je uważać za coś danego z góry, za przedmiot badań i poznania".

Zastanawiające: tp, co ta druga głowa uważa za anonimowe i konieczne, za mało istotne w ogólnym rachunku, za przykry i oderwany szczegół - ta pierwsza, bardziej człowiecza głowa potrafi oceniać, przeżywać. "Pamiętam jeszcze - powiada ta pierwsza - jak będąc studentką w Zurychu czytałam kiedyś z gorącymi łzami Oczerki pierwobytnoj ekonomiczeskoj rugowanie i eksterminacja czerwonoskórych w Ameryce przez Europejczyków, i naciskałam pięści z rozpaczy nie tylko dlatego, że taka rzecz była możliwa, lecz że to wszystko nie zostało pomszozone, ukarane, odplacone. Drżałam z bólu, że owi Hiszpanie, owi Angloamerykanie dawno zmarli i zbutwieli i nie można ich na nowo obudzić, aby poddać ich wszystkim okrucieństwom, jakich dopuścili się na Indianach?". Ta druga tymczasem odpowiada za "Kwestię narodowościową i autonomię", odrutną utopię, demonstrującą drogę do ogólnoswiatowej klasowej komuną, władającą poprzez wynarodowienie całych społeczeństw. Jeśli jednak pierwsza głowa "orła rewolucji" wylewa gorące łzy nad wynaradawianiem Indian i dyszy żądzą "zemsty, kary i zapłaty" - to dlaczego ta druga, odpowiedzialna za "Kwestię narodowościową i autonomię", nie zna choćby tylko uczucia lęku przed zemstą, karą i zapłatą wynarodowionych ludów?

Trudno uwierzyć, że obie głowy mają wspólną szyję. Oto dwie reakcje Róży Luksemburg na rok 1917 w Rosji. Mówi pierwsza głowa: "Dokładnie sobie uświadomiłam /nie wyrównane, nie pomszozone rachunki dziejowe/, kiedy dziś przeczytałam o depeszy, którą wiedząscy socjaldemokraci wysłali do petersburskiego rządu Lenina. Entuzjastyczna aprobata i życzenia! Taki Adler, Pernerstorfer, Renner, Austerlitz - i Rosjanie, którzy przelewają krew serdeczną! Ale tak właśnie będzie, później nikt wcale nie będzie chciał pamiętać, że kiedykolwiek było inaczej". W miesiąc później Luksemburg z zimnym wyrachowaniem odwróci własnego kota ogonem. Mówi druga głowa: "Na ogół, jak się zdaje, sprawa ma tam przebieg całkiem bezkrwawy, w każdym razie wszystkie pogłoski o bitwach nie zostały potwierdzone. Jest to po prostu zaciekła walka partyjna, która przecież w naświetleniu burżuazyjnych korespondentów prasowych zawsze wygląda jak rozpętane szaleństwo i piekło. Co się zaś tyczy pogromów żydowskich, to wszystkie takie pogłoski są po prostu zmyślone. W Rosji czasy pogromów skończyły się raz na zawsze. Na to siła robotników i socjalizmu jest tam za wielka".

"Listy z więzienia" przynoszą więc obraz niestęchanie zafat-szowanego autora. Tkwiący pośród nieludzkiego, anonimowego i groźnego pejzażu myśli, który można porównać do pejzażu "ostrych konturów gór i dolin" objętych martwą ciszą, dwugłowy orzeł nie przestał zagrażać. Jest groźny nawet wówczas, gdy dwie jego głowy rzucają się wreszcie na siebie, zadziobią, pożrą, i gdy zostanie tylko "orzeł rewolucji" bez głowy.

Sartre i Aron czyli figle ducha czasu

Sartre był papieżem elity intelektualnej Francji - Aron samotnikiem pozostającym w cieniu. Gdy pierwszy, zawsze w centrum uwagi i sporów, ferował opinie przyjmowane jak prawdy wiary - drugi, przypisany do prawicy, uważany był za postać anachroniczną, odcylogicznie kwalifikującą się do muzeum raczej, niż mogącą kształtować opinię lewicującej i bogoburczej młodzieży powojennej Francji.

A przecież Aron - studiując w Ecole Normale Supérieure wraz ze swymi ówczesnymi przyjaciółmi: Sartrem i Wizanem - odebrał wykształcenie filozoficzne i polityczne, które powinno było go zawieść w stronę zaangażowania podobnego temu, jakiego dał wyraz jego kolega. Należeli wszak do tej samej wspólnoty pokoleniowej, dopisywali się do tej samej tradycji intelektualnej: do fenomenologii i marksizmu. I Aron, i Sartre przygotowując swoje doktoraty przebywali jako stypendyści w Niemczech, które właśnie wtedy były areną wznastającego w siłę totalitaryzmu hitlerowskiego. Obaj sktaniiali się ku lewicy: lecz gdy Sartre następnego dnia po frakistowskim puczu wyjechał z Simone de Beauvoir do Włoch, przekonany że republika szybko zatriumfuje nad puczystami, Aron przewiduje klęskę Frontu Ludowego. Zrywa też z socjalizmem po opublikowaniu programu gospodarczego przez Leona Bluma. Od tam zajmie się poważnie myślą ekonomiczną i komunistom zarzucać będzie w tej dziedzinie ignorancję.

Wkrótce po opublikowaniu przez Sartre a "Młodości" Aron wydał "Wstęp do filozofii historii", powitany przez tego pierwszego jako wyraz egzystencjalistycznej koncepcji filozofii dziejów, Czy kwalifikując tak "Wstęp" miał rację? Wprawdzie główną tezę książki Arona było przekonanie, iż historia nie jest zdeterminowana, ani zorientowana ku swojemu finałowi; pozostaje otwarta i ostatecznie określają ją - w swojej wolności i arbitralności - ludzie. Co więcej, ostatecznie zdanie tej pracy brzmi: "Egzystencja ludzka jest dialektyczna, to znaczy dramatyczna, gdyż ma miejsce w świecie pozbawionym ładu, angażuje się bez względu na swój czas trwania, poszukuje prawdy, która przed nią ucieka, nie mając żadnej innej pewności prócz fragmentarycznej wiedzy i formalnego myślenia". Trzeba przyznać, że jest to wiatr w żagle Sartre a. Ale też we "Wstępie" łączy Aron relatywistyczną koncepcję historii z systemem wartości odnalezionych w liberalizmie. Filozofia liberalizmu z jej respektem dla wielkości idei i z empirycznie zorientowaną analizą jest wedle Arona systemem może i nie najdoskonalszym, ale najlepszym z istniejących, najbardziej godnym przyjęcia. Poza tym koncepcja ta odniesiona jest do przejętej od Kanta idei Rozumu.

I w tych właśnie momentach bierze początek rozdziew, który skłóci tych myślicieli na prawie półwiecze, który z czasem stawać się będzie coraz głębszy, który doprowadzi do zerwania przyjacielni i do wzajemnych gwałtownych ataków. A jednak cały czas jakaś przedziwna symetria wyznaczać będzie ich losy.

Po wojnie, w gaullistowskiej Francji Aron zostaje podsekretarzem stanu w ministerstwie kultury kierowanym wówczas przez Malraux. Sartre, który w tym czasie dzięki ożywionej działalności

publicystycznej wyrasta na postać numer jeden francuskiej elity, rządu de Gaulle a nie nazywa inaczej jak "londyńczycy" i nie kryje wobec niego swojej wrogości. Ale stał się już wówczas osobistością publiczną obdarzoną takim autorytetem, że nawet de Gaulle uczcił go w oryginalny sposób, odpowiadając na sugestię aresztowania bezczelnego filozofa: "Nie waadza się do więzienia Woltera".

Lecz jak doszło do tego, że Sartre zajął pozycję współczesnego Woltera, że stał się największym autorytetem intelektualnym nie tylko rozintelektualizowanego Paryża, ale całej Europy?

Jako myśliciel i filozof - śladem Sokratesa - ściągnął filozofię z nieba na ziemię i wprowadził ją do domostw ludzkich. Wydana tuż po wojnie praca "Egzystencjalizm jest humanizmem" stawiła w centrum uwagi problemy wolności i odpowiedzialności. A kwestie te w powojennej Europie były sprawami zasadniczymi nie tylko dla filozofów: w świetle doświadczeń wojennych i powojennego rozdzielenia Europy stały się horyzontem każdego myślenia usiłującego odnaleźć sens dookolnej rzeczywistości. Jednak nie tyle może sama tematyka, co klimat myśli Sartre a zjednał mu zwolenników. W chwili, gdy osunęły się fundamenty, na których Europa budowała swoją tożsamość, gdy przekonania o stałości i pewności urządzeń społecznych pękły jak mydlane bańki, gdy mocno rozchwiały się kryteria moralne a zasady, według których wiedli dotychczas życie ludzie uczciwi i poczciwi uległy zakwestionowaniu jako nie dające gwarancji ocalenia godności /choćby w sytuacjach niesionych przez czas wojny/ - koloryt artrowskiego egzystencjalizmu: a więc nastrojów depresji, rezygnacji, beznadziejności życia jednostki szamoczącej się z przemożnymi a irracjonalnymi siłami, wyrażał powszechne odczucie, trafiał do przekonania, był nastrojem ogółu. I nawet jeżeli sądy wyrażone w tym klimacie przez czolowego francuskiego egzystencjalistę nie zawsze były wzajem niesprzeczne - przyjmowane były z większą wiarą, aniżeli opinie Arona, pesymisty wiernego ideom "starej Europy": idei Rozumu i wartości z arsenału liberalizmu. W tej rozgrywce Rozum zdecydowanie przegrywał z Absurdem. Kiedy piśmiennictwo wyraża stany psychiczne przechodnia, jego grymas i bierność, książki pisarza "zaangażowanego" wchodzą jak nóż w masło. A kierunek "zaangażowania" Arona - w przeciwnieństwie do Sartre a - był niepopularny i, wydawać by się mogło, anachroniczny. Kiedy Sartre obnosił się ze swymi prokomunistycznymi sympatiami i był sztandarową postacią większości organizowanych przez państwa bloku wschodniego kongresów pokoju, zjazdów intelektualistów itp. - Aron głosił światu, że ustroj, który ma być "rajem ludzkości", jest orężynarnym totalitaryzmem. Nie, taki pogląd - nawet w klimacie nieśmiałości i z niedowierzaniem ujawnianych przez ruch komunistyczny faktów terrorku okresu stalinowskiego, a więc "błędów i wypaczeń minionego okresu" - nie mógł liczyć na zrozumienie - tym bardziej na akceptację, w mniej lub bardziej lewicujących środowiskach francuskiej inteligencji. Wszak w tym właśnie czasie Sarte stwierdza: "uważam marksizm za nieprzekraczalną filozofię naszych czasów"; zaś filozofię egzystencjalną z jej "rozumiejącą" metodą uznaje za enklawę w samym marksizmie. W 1957 w "Twórczości" ukazuje się jego esej "Marksizm i egzystencjalizm". Trzy lata później wydaje książkę będącą rozbudowaniem wątków sygnalizowanych w tymże esej: jest to "Critique de la raison dialectique". Jest to okres największego zbliżenia Sartre a do marksizmu. Próbuje w tym czasie zbudować pomost między egzystencjalizmem a marksizmem. Komostem tym ma być zagadnienie jednostki. I właśnie analiza miejsca jednostki w społeczeństwie ma być ową "enklawą w samym marksizmie". Ale płynąca ze strony egzystencja-

lizmu oferta wspomżenia marksizmu została przyjęta sceptycznie. Znamienne są zarzuty stawiane przez Sartre a marksizmowi i vice versa. Otóż Sartre w "Krytyce rozumu dialektycznego" pisze: "Dla większości dzisiejszych marksistów myśleć - to pod pretekstem totalizacji zastępować to, co szczególne, tym, co ogólne, to pretendując do konkretności ukazywać pod tym mianem określenia może i podstawowe, lecz abstrakcyjne. /.../ Marksista uważałyby, że niepotrzebnie trwoni czas, starając się zrozumieć poszczególną myśl burżuazyjną w jej swoistości. Przyzna oczywiście, że książka z roku 1950 niepodobna jest do książek z roku 1930 - ale przyczynę tego widzi jedynie w tym, że świat się tymczasem zmienił. I oczywiście ideologia odbijająca ten świat z punktu widzenia danej klasy. Burżuazja wchodzi w okres wycofywania się i idealizmu odziedziedla to jej stanowisko, tę taktykę. Ale dla intelektualisty marksistowskiego ten ruch dialektyczny nie wychodzi ani na chwilę poza sferę uniwersalności. Trzeba określić go jedynie w jego ogólności i wykazać, że przejawia się tak samo w omawianej książce, jak we wszystkich innych wydanych w tym samym czasie. Z konieczności więc uważać musi istotną zawartość dzieła czy postawy za pozorną tylko ich treść i gdy rozpacia triumfalnie szczegółowość w ogólności, wydaje mu się tym samym, że sprowadził pozór do prawdy. W rzeczywistości określił tylko samego siebie, określając swą s u b i e k t y w n ą koncepcję rzeczywistości". /Sartre, Problemy metody/.

A marksiści ripostują: "Gdy egzystencjalizm podejmuje problematykę o d p o w i e d z i a l n o ś c i jednostki, robi to w sposób deklaracyjny i abstrakcyjny. Nie może zresztą robić nic innego, gdy wrywając zarówno problem jednostki, jak i problem jej decyzji, a co zatem idzie - jej odpowiedzialności z kontekstu społecznego i historycznego, widzi J e d n o s t k ę i o d p o w i e d z i a l n o ś ć jako abstrakcję. Sartre rozumie wprawdzie konfliktowy charakter sytuacji życiowych wymagających wyboru zasad postępowania /dał temu teoretyczny wyraz w pracy

L Existentialisme est un Humanisme oraz w swej twórczości literackiej/; ale uważa, że ten wybór jest dowolnym czynem jednostki. /.../ Nie ma więc mowy o tym, aby przejmować od egzystencjalistów ich sposób stawiania problemu; przeciwnie - należy go radykalnie przezwyciężyć". /A.Schraff, "Marksizm a egzystencjalizm"/

Obie strony stawiają sobie zarzut podstawiania abstrakcji za konkret. Z tym, że to, co Sartre uważa za konkret - marksiści biorą za abstrakcję i odwrotnie: to, co jest konkretem dla marksistów - Sartre uważa za abstrakcję. Dialogu tu nie ma. Języki, którymi mówią, nie dają się do siebie sprowadzić.

Tak oto podjęta przez Sartre a próba romansu z marksizmem - jak to często z romansami bywa - kończy się zawodem. A jednak, z tego nie zrealizowanego romansu - o cudzie natury! - rodzi się nieślubne dziecko: tzw. "rewizjonizm" w łonie marksizmu. /Nawiasem mówiąc i Schaff, który "dał kosza" Sartre owi, w końcu uznany został za rewizjonistę./ Myśl Sartre a, która zafrapowała "rewizjonistów", przedstawia się - zgrubnie biorąc - następująco: jednostka nie jest bezwzględnie wolna w nadawaniu sensu swoim poczynaniom, ale nie jest też zniewolona warunkami. Żadne "obiektywne prawa" nie mogą dać gwarancji projektom mającym stworzyć społeczeństwo-komunistyczne. Życie społeczne składa się z indywidualnych aktów, ale też jest osadem historii, który ogranicza wolność wyboru; jest także walką z ograniczeniami stawianymi przez naturę, a to pociąga za sobą fakt, że stosunki ludzkie zdeterminowane są przez niedostatek. Sartre wierzy, że komunizm niedostatek ten zniesie /ale żadnych dowodów, czy choćby racji przemawiających za tym nie przedstawia:. Opis grup, które tworzą się we wspólnej ak-

cji i nie uszczuplają indywidualnej wolności uczestników jest w "Krytyce" wizja organizacji rewolucyjnej, która ma zastąpić hierarchiczną partię komunistyczną, łączyć wolność i swobodę jednostki ze skutecznością polityczną. Ta wizja rewolucji, czy dalej idąc, komunizmu bez partii i jej hierarchii silnie oddziaływała na wyobraźnię uczestników majowej rewolty studenckiej.

Zagadnienie postawione przez Sartre'a a /rola jednostki i jej miejsce w społeczeństwie, walka o to, co szczególne przeciw temu, co ogólne, wizja polityki bez instytucjonalizacji, która z konieczności prowadzi do alienacji/ jak i wiele innych etawianych uprzednio, znowu znalazło się w centrum uwagi. Ale tym razem w spór Sartre'a z marksizmem lub raczej w próbę zmodyfikowania go - wdarł się głos nowy. Zaczyna wschodzić gwiazda C. Levi - Straussa i rozpoczyna się triumfalny marsz strukturalizmu. W 1961 r. Levi-Strauss publikuje "La pensée sauvage", której rozdział IX - "Historia i dialektyka" - jest polemiką z Sartrem. "Kto zaczyna od zagrożenia się w rzekomej oczywistości ja, ten nigdy się już stamtąd nie wydobywa./.../ Sartre stał się faktycznie więzieniem swojego cogito. U Kartezjusza pozwalało ono na dojście do tego, co uniwersalne, lecz pod warunkiem, że pozostanie się na płaszczyźnie psychologicznej i indywidualnej. Socjologizując cogito, Sartre zamienia tylko jedno więzienie na drugie. Odtąd grupa i epoka każdego podmiotu zastępują świadomość bieżącą. Ponadto spojrzemnie Sartre'a na świat i człowieka zdradza ciasnotę, po której tradycyjnie rozpoznaje się społeczności zamknięte./.../ Sartre, chcąc stworzyć antropologię, odcina swoje społeczeństwo od innych, Oszańcowane w indywidualizmie i empiryzmie cogito - które ma być proste i naiwne - gubi się w ślepych zaułkach psychologii społecznej. Uderzające jest bowiem, że sytuacje, które Sartre przyjmuje za punkt wyjścia dla wydzielenia formalnych warunków rzeczywistości społecznej: strajk, mecz bokserski, mecz piłki nożnej, kolejka na przystanku autobusowym - są drugorzędnymi incydentami życia społecznego, nie nadają się więc do odstańniania jego podstaw".

Tym razem z pola pokonany schodzi Sartre. Jego walka o jednostkę kończy się klęską zadaną nie tyle przez marksizm, co przez strukturalizm. Światopogląd inteligencji francuskiej zaczyna kształtować Althusser, strukturalizujący marksista, który o swej koncepcji mówił, że jest odczytaniem marksizmu ujmowanego jako teoretyczny antyhumanizm czy też wizja procesów dziejowych "bez podmiotu". Jedną z przyczyn powodzenia metody strukturalistycznej było to, że powstała ona na gruncie lingwistyki, która jako jedyna dyscyplina humanistyczna zyskała reputację nauki zdolnej do ustanawiania ścisłych praw; stąd płynęła nadzieja, że w oparciu o nią będzie można nadać "naukowy" status innym dziedzinom humanistyki. Obiektem ataku Althussera były "humanizm", "historyzm" i "empiryzm". Badaniu powinno podlegać "struktura" a nie jej ludzkie, podmiotowe elementy.

Dużo powodzenia jakim cieszyły się /zwłaszcza w połowie lat sześćdziesiątych/ propozycje Althussera, tłumaczyło się nie tyle ich polityczną treścią - gdyż nic konkretnego pod względem politycznym z interpretacji tej nie wynika - ile ich ostrzem politycznym wymierzonym w tych, którzy w imieniu marksizmu oferowali przyjaźń egzystencjalistom, fenomenologom czy chrześcijanom i w ten sposób "rozmiękcza" doktrynę. W batalii tej "struktura" zdecydowanie bierze górę nad sartrowskimi jednostkami z ich wolnością i ciągłymi wyborami.

A Aron w tym czasie publikuje komentarze w prawniczym "Le Figaro", w których zarzuca Sartre'owi, stojącemu wówczas "bez zru-

dzeń" po stronie ZSRR, uleganie niebezpiecznym iluzjom, wierze w mesjanizm klasy robotniczej. Jest "atlantycki" i antykomunistyczny. A jednak odrzuca neutralizm wielu swych intelektualnych kolegów, i gdy trzeba było wybierać między wojną a pokojem, między zachowaniem francuskiej suwerenności a prawem Algierczyków do niepodległości - uznaje nieuchronność niepodległości Algierii. Gromi też tych, którzy w imię atlantyzmu akceptują dyktaturę pułkowników w Grecji.

Wydaje "18 wykładów o społeczeństwie przemysłowym", których kontynuacją jest "Walka klas"; polemikę z Althusserem "Od jednej świętej rodziny do drugiej" i wreszcie "Demokrację i totalitaryzm". Tezę tej ostatniej można zamknąć w zdaniu, które wypowiedział w rozmowie z D. Woltonem i J.L. Missika, której zapis wydany został jako książka "Widz i uczestnik": "Przed wszystkim sądzę, że największym niebezpieczeństwem nowoczesnych społeczeństw jest system jednopartyjny, totalitaryzm. /.../ Jeżeli definiuję samego siebie przez odrzucenie systemu jednopartyjnego, dochodzę w sposób naturalny do pojęcia pluralizmu. /.../ Poszukuję warunków ekonomicznych i socjalnych, które umożliwiłyby przetrwanie pluralizmu, to jest liberalizmu politycznego i intelektualnego".

Lecz cały czas uważany jest za myśliciela anachronicznego, którego idee nie są zgodne z prądem epoki i żadnego znaczenia dla niej mieć nie mogą. Nawet kiedy w 1967 r. podnosi konieczność reformy szkolnictwa wyższego we Francji - jego głos nie jest słyszalny. A na uniwersytetach temperatura gwałtownie się podnosi. Rosną zainteresowania polityczne młodzieży. Spowodowane jest to zdenerwowaniem aspiracji życiowych i kulturowych młodych ludzi ze sztywnym aparatem administracji państwowej i narastającym kryzysem systemu kształcenia. Wybuchają demonstracje. Pierwsze odbywają się pod sztandarami solidarności z narodami walczącymi o wolność a ich główne ostrze wymierzone jest przeciwko wojnie w Wietnamie. Patronem tych demonstracji zostaje Sartre. Wiosną 1968 wydarzenia nabierają gwałtownej dynamiki. Demonstracje ogarniają całą Francję. Do studentów dołączają związki zawodowe. Rozpoczyna się dwa miesiące bez mała trwająca rewolta młodzieżowa. Jej program wyraża manifest Ruchu 22 Marca, sformułowany po pierwszych konfrontacjach z władzą:

"Jaki jest w tej sytuacji zakres naszej odpowiedzialności i najbliższe zadania? Przekroczyć ramy środowiska studenckiego, a tym samym najbliższego otoczenia /Nanterre, Paryża/. Przejść od rewizji szczegółowych, wpisanych w ramy reżimu, do radykalnej kontestacji systemu jako całości. Odnajdywać formy i struktury ruchu, określając się w działaniu. Zarówno przedtem, jak i teraz w stosunku do organizacji i sposobów rozwiązywania spraw wewnętrznych Ruchu 22 Marca i działalności mającej na celu wywołanie zmiany w funkcjonowaniu całego społeczeństwa, kierujemy się pewnymi zasadami:

1. Przed wszystkim samostanowienie. Znieść podział na kierujących i wykonawców.
2. Walka przeciw hierarchizacji.
3. Możliwość odwoływania osób odpowiedzialnych z powierzonych im stanowisk i rzeczywista władza społeczności.
4. Permanentne krążenie idei. Walka przeciw zagarnianiu i monopolizacji informacji i wiedzy naukowej.
5. Praktyczne obalenie społecznego podziału pracy /zasypanie przepaści między pracą fizyczną a intelektualną/.
6. Zaakceptowanie wielości i różnorodności tendencji politycznych w walce rewolucyjnej." /J.L. Brau, "Cours camarade, le vieux monde est derriere toi!"/

Większości tych postulatów patronują idee wypowiedziane w "Critique de la raison dialectique", nic więc dziwnego, że Sartre okrzyknięty zostaje ojcem chrzestnym rewolty. Zbliża się teraz do francuskich ugrupowań ultralewicowych. Dla opinii publicznej staje się symbolem zaangażowania rewolucyjnego. Zostaje współzałożycielem radykalnego dziennika "Liberation". Wreszcie, w czasie, gdy po młodzieżowym buncie i szerokiej fali kontestacji pozostają jedynie - jako spadkobiercy - lewackie grupy terrorystyczne, jest tym, który odwiedza w więzieniu w Stannheim Andreasa Baadera.

A Aron? Choć nie brak takich, którzy twierdzą, iż właśnie z jego myśli wywodzi się ruch majowy, przez młodych tamtej wiosny obrzucany był obelgami lub w najlepszym wypadku ignorowany. Pisze w 1968 szkło "Rewolucja nieistniejąca" i - o dziwo - w kilka lat później uczestnicy studenckiej rewolty skłonni są zgodzić się z tezami tej książki. W okresie, kiedy z murów hasła: "cała władza w ręce wyobraźni"; "moje pragnienie to rzeczywistość"; "nasza lewica jest prehistoryczna"; "bądźcie realistami, żądajcie tego, co niemożliwe", następuje powrót do normalnych studiów, pracy nie poddawanej już nieustannej analizie i spokojnej działalności, w ramach której nie poddaje się w wątpliwość wszelkich instytucji społecznych; gdy po natoku lewicowych, rewolucyjnych koncepcji milnie większość myślicieli, których idee ożywiały zbuntowane pokolenie /Sartre, Marcuse/ - pojawia się nowa orientacja myślowa: "Nowi Filozofowie". Czołowe postaci tej formacji - w większości związane uprzednio z lewackimi ugrupowaniami młodzieżowymi końca lat sześćdziesiątych - to B.H.Levy, J.M.Benoist, A.Glucksmann, Ch.Jambet i G.Lardreau.

Filozofowie ci ogłaszają swoją neutralność polityczną: nie występują ani przeciwko lewicy, ani prawicy. Sądzą, że głównym zadaniem intelektualisty jest raczej tropienie zagrożeń, jakie niosą dla jednostki konkretne projekty i programy polityczne, niż angażowanie się w nie. Bernard-Henry Levy, autor "Barbarzyństwa z ludzką twarzą", określa siebie jako "naturalne dziecko diabolicznej pary, a mianowicie faszyzmu i stalinizmu". W książce swojej o barbarzyństwo oskarża przede wszystkim intelektualistów, którzy, zdaniem autora, nie potrafią odróżnić rzeczywistości od własnych urojeń. Pogląd ten, bliski myśli Arona, celnie godzi w Sartre'a. Dla Levy'ego urojeniem też jest wiara w istnienie socjalizmu. We wstępie do "Barbarzyństwa" pisze: "Gdybym był encyklopedystą, chciałbym napisać w słowniku, który ukaże się w roku 2000: "Socjalizm, rzeczownik rodzaju męskiego, urodzony w Paryżu w roku 1848, zmarł w Paryżu w roku 1968". Zdanie to dobrze oddaje rozczarowanie większości przywódców i uczestników rewolty - a szerzej - ogółu intelektualistów do Lewicy. Dla większości "Nowych Filozofów" rok 1968 stanowi cenzurę czasową wyznaczającą początek nowej epoki, epoki dla której wyróżnikiem jest ukształtowanie się nowej świadomości: sceptycznej i pozbawionej wszelkich złudzeń. Wartości, którymi świadomości ta żyje, to wartości kulturowe Europy. I tak Jean-Marie Benoist w "Nowych pierwotnikach" walczy z trzema typami współczesnego barbarzyństwa:

1. z technokratyzmem, dla którego sens działania sprowadza się do stworzenia jak najskuteczniejszej organizacji "Zaspokajania potrzeb",
2. z progresizmem, którego zwolennicy - "ideologowie postępu" - narzucają lewicowe dogmaty, niszcząc delikatną tkankę tradycji,
3. z "pedagogami anamnezji", którzy nie przekazują bogactwa europejskiej tradycji, lecz przekształcają młodzież w funkcjonalne trybiki technokratycznego ładu.

Ten wątek obrony zagrożonych wartości tradycji europejskiej też zbieżny jest z programem uparcie forsowanym przez półwiecze przez Arona.

"Nowi Filozofowie" nie wierzą w jakiegokolwiek rozwiązanie na skalę ogólnospołeczną, dążące do ulepszeń socjalnych. Są przeciwnikami jakiegokolwiek centralizmu, "Walka z nowymi pierwotnikami - pisze Benoit - wymaga nadziei i odwagi politycznej i teoretycznej: odwagi, która pozwala zmobilizować siły symboliczne i różnorodne, siły odszczepienstwa i inności, językinogię i wielobiegunosć, tożsamość wieloraką, wędrowną i radosną na wielu polach, na wielu płaszczyznach.../ Naszą bronią będzie nietzscheański śmiech, kostyczny i szalony, sokratejska ironia i jej moc wprawiania w zdumienie, nieograniczona etyka praw człowieka i litery, traktatów, litery przestrzeganej wzorem Antygony".

I ta myśl bliższa jest stanowisku Arona niż Sartre a. Jasne się staje, że kontestatorzy 68 pomylili się w wyborze patrona. Spostrzegli to po latach i akceptują teraz surową, dalekowzroczną ironię starego liberata. Aron przyjmuje z rezerwą spóźnione dowody uczucia i dość surowo traktuje "Nowych Filozofów".

W 1982 r. miliony Francuzów oglądało spektakl, który można by nazwać powrotem synów marnotrawnych: spotkanie przed kamerami telewizyjnymi, spotkanie starego mistrza osadzonego w tradycji liberalnego pesymizmu Tocqueville a i Constanta z dwoma przedstawicielami pokolenia 68 zafascynowanego niegdys markszizmem w althusserowskiej wersji i Sartrem. Zapis tej rozmowy utrwalony został w książce "Le Spectateur engage". Rozmówcy Arona chylił niekiedy z szacunkiem głowy przed mędrcom, który popełnił ten błąd, że przedwcześnie miał rację. Ale też korzystają z okazji, by czynić mu zarzuty z jego chłodnej dalekowzroczności przypominając niejednokrotnie, że są szlachetne błędy, które - bywa - wpływają na bieg historii.

Rozmowa ta przywodzi na myśl inne, mniej udane spotkanie Jean-Paul Sartre a z Alexandrem Astruc i Michelelem Contat; nieudane gdyż Sartre choć ludzki i przystępny, opowiadają o ideologicznej drodze swego życia zagadał się na śmierć, a jego rozmówcy nie mieli odwagi przerwać jego monologu. W rozmowie tej Sartre wybronił się jako literat - poza tym był mętny i nudny.

Pod koniec swych dni pojednał się - przynajmniej w oczach opinii publicznej - z Aronem. W 1979 ich długoletni antagonizm zakończył się uściskiem dłoni, kiedy to obaj wstawiali się u Gliscarda o pomoc na rzecz uciekinierów z Azji wschodniej - tzw. boat people. I był to przedostatni publiczny gest Sartre a. Ostatnim było żądanie bojkotu olimpiady moskiewskiej po wkroczeniu wojsk radzieckich do Afganistanu. Jego ostatnie dni opisała Simone de Beauvoir w "Le ceremonie des adieux". Część tej książki to rozmowa Simone z dożywającym już swych dni Sartrem. Na jej pytanie: "Po czym spodziewasz się nieśmiertelności, o ile się jej spodziewasz po swojej działalności literackiej czy filozoficznej? Jak widzisz swój stosunek do literatury i do filozofii? Czy wolałbyś, aby ludzie cenili twoją filozofię, czy twoją literaturę, czy też chciałbyś, aby cenili obie?" - odpowiada: "Aby cenili obie. Jest jednak pewna hierarchia, a w tej hierarchii filozofia zajmuje drugie miejsce, literatura - pierwsze.

Chciałbym osiągnąć nieśmiertelność dzięki literaturze, a filozofia jest tylko środkiem do tego celu. Ale w moich oczach nie ma ona wartości absolutnej, bo okoliczności zmieniają się i to wywołuje zmiany w filozofii. Filozofia nie liczy się z chwilą, nie jest czymś, co pisze się dla współczesnych: nastawia się na rzeczywi-

stość ponadczasową; mówi o wieczności, a więc z natury rzeczy będzie musiała ustąpić innym filozofom: mówi bowiem o sprawach, które wykraczają poza nasz jednostkowy dzisiejszy punkt widzenia. Literatura natomiast zapisuje świat-teraźniejszy, świat, który odkrywamy poprzez lektury, rozmowy, namietności, podróże. Filozofia idzie dalej:/.../ W filozofii wcale nie chciałem być twórcą, uważałem, że to strata czasu. Lubiłem studiować filozofię, ale tworzenie filozofii uważałem za coś absurdalnego".

A jednak ją tworzył! Czyżby robił to tak, jak wymyśla się poglądy wkładane w usta postaci pisanej właśnie książki, a więc nie do samego końca z poglądami tymi się utożsamiając, zawieszając ich ważność? I czy zatem do samego Sartre a nie można odnieść blyskotliwego zdania, którym podsumował twórczość Geneta: "zwyyczajstwo moje jest czysto słowne a zawdzięczać je bogactwu wyrażenia"? Co z jego dzieła może ocalać, mieć wagę dziś i za lat kilka? Z literaturą sprawa jest w miarę klarowna: prócz odstonięcia jeszcze jednego jej obszaru, który wyznacza doświadczenie absurdu, jego oryginalnym wkładem do literatury jest przede wszystkim elokwencja i przenikliwość psychologiczna zastosowana do zjadliwej introspekcji. Lecz cóż począć z jego myślą? Podstawowe wszak pomysły do tworzenia zrębów swej doktryny czerpie z Marksa, Husserla, Heideggera /wściekłość tego ostatniego, że go Sartre okradł/. Lecz w takim razie czymże były jego zaangażowania? Czyżby tylko gestami obliczonymi na zdobycie sławy? Wszak w wywiadzie dla "Nouvelles Litteraires" /kwiecień 1979/ powiedział: "jeżeli chodzi o Krytykę miastem - mam jeszcze jakichś trzyseta stron dalszego ciągu, których nigdy nie dopracowałem/.../ W tym wypadku wchodziła w grę polityka /mój stosunek do komunistów, wystąpienie de Gaulle a.../, wskutek sytuacji politycznej przeszła mi ochota pisania drugiego tomu, bo nie były to czasy, kiedy mogłem zyskać przewagę nad faktami; musiałbym pisać w b r e w p r á d o w i".

Czy zatem chodziło mu o budowanie siebie jako geniusza a całą literaturę i filozofia byłyby tylko elementami w grze, środkiem prowadzącymi do tego celu? I czy pisze to Sartre, który tworząc pierwsze zręby swojej filozofii wolności powiedział studiującemu wówczas dzieła Kanta Aronowi: "Czy naprawdę tak bardzo boisz się popełnić głupstwo?". Czyżby głupstwa, których sam się nie bał, były tylko głupstwami zgodnymi z prądem? A Aron: gdyby nie napisał tego, co musiał pisać wbrew prądowi, nie napisałby prawie nic!

Lecz zaangażowania Sartre a tworzą zbyt klarowną, wpływającą z jednego źródła linię. I nie gra o sławę kwestionuje ważność - ważność dla nas - jego poglądów. To kwestia postawy: ilekroć świat stawał przed nim jakiś problem zmuszając do podjęcia wyboru, opowiadał się za tym, co pożądaną, co niejednokrotnie jedynie zarysowane w niedoprecyzowanym projekcie, może i mgliste, ale porywające i budzące entuzjazm. I nawet gdyby drobiazgowo analiza wykazywała błędność jego projektu, wiedział, że będzie ona zbyt nudna, że nie będzie miała takiej siły atrakcji, by przekreślić tę rzeczywistość, którą projektował. Bo nie w rzeczywistości faktów widział siłę idei, a w jej atrakcyjności społecznej. Jego myśl gościła tylko w dookolnej rzeczywistości, wybiegając wciąż naprzód, w sferę tego, co byc p o w i n n o. I tu leży źródło jego sukcesów i klęski. Bo w planie emocji moralista zawsze wygrywa z realistą. Ale wówczas, gdy emocje wygasają, górę bierze rzetelny realizm, choć jego wizje nigdy nie są tak olśniewające jak te, które mogą być formułowane nie w oparciu o to co jest, lecz co być powinno. Zrozumieli to "Nowi Filozofowie" i stąd ich zwrot w stronę Arona. A ten roztacza wizji "wspaniałych światów". W "Widzu i uczestniku"

czytamy: "Jedyną nadzieją przetrwania ludzkości jest Rozum i nauka. Wszystko inne pozostaje także niezbędne do życia, lecz koniecznym warunkiem tej niezwykłej przygody, jaką jest historia ludzkości - pomyślmy, jaka jednak droga została przebyta - warunkiem także, aby ta przygoda nie straciła ani swego znaczenia, ani wartości, pozostaje zaufanie do myśli, która otwiera się na prawdę. Nie wolno nam zatrzeć różnicy między złudzeniami, namiętnościami czy nadziejami i prawdą, której można dowieść. W polityce prawdy dowieść nie można, można jednak podejmować racjonalne decyzje, wyrastające z naszej wiedzy". Szczególnie mocno podkreśla Aron, że polityk to nie walka dobra ze złem, lecz wybór pomiędzy tym, co lepsze, i tym, co godne pogardy. Nie oznacza to, że wszystko, co moralne, musi być usunięte poza obręb polityki. Ale stosowanie do polityki kryteriów moralnych prowadzi do czarno-białej wizji świata, do zafałszowanego obrazu rzeczywistości. A Aron nie ufa ideologii jako systemowi objaśniania świata i podręcznikowi działań politycznych. Nie ufa, bo prawda jest wartością, którą ceni najwyżej. Prawda i racjonalność były jego największymi zaangażowaniami. Zapłacił za to wysoką cenę: osamotnieniem. Zaszczycy, jakimi go obsypywała prawica, nigdy nie wynagrodziły mu obelg i obojętności lewicy, z którą czuł bliższy związek. A lewica nie mogła mu wybaczyć trzeźwego racjonalizmu, który, skierowany na wieśczone przez nią wizje, skutecznie nadkruszył ich podstawy.

Czy jednak pozostał jedynie sceptycznym destrukтором? Czy sam nie służył jakiejś wizji? Napisał wszak "W obronie dekadentkiej Europy", gdzie analizuje autodestrukcyjną demokrację liberalnych, i gdzie, jakby z żalem stwierdza, że Europejczykom brakuje wiary we własne siły. Na pytanie Jean-Louis Missiki i Dominique Woltona: "Czy myślisz pan, że wartości zachodnich demokracji pozostają atrakcyjne pod koniec XX w. odpowiada, że "Zachodnie demokracje, w których żyjemy, przedstawiają sobą niewielką mniejszość ludzkości. Pomimo jednak, że Europejczycy czy w ogóle ludzie Zachodu dokonywali podbojów i byli przy tym tak samo okrutni jak wszyscy zdobywcy, pozostawiają jednak ludom, które niegdyś zwyciężyli coś, co chcą one zatrzymać. Chcą zachować środki produkcji, pozostawione im w spadku, chciałby powiększyć swoje zdolności produkcyjne. Poza tym myślę, że niezależnie od systemów politycznych, które powstały, wiele społeczeństw, które kiedyś zostały podbite i nie były dobrze traktowane przez Zachód, zachowało tęsknotę do systemów liberalnych. Najlepszy dowód, że sporo krajów, które nie chcą czy nie mogą utrzymać demokratycznych instytucji, posługuje się naszą terminologią. Być może odziedziczyły także po nas nasze wady. Przez to jednak, że używają naszego języka, naszych pojęć, sygnalizują może, iż jednak Zachód różni się odrobiny od większości innych zdobywców. Pomimo wszystko zaszczepiliśmy tym krajom coś, co nie traci wartości i co jednak usprawiedliwia moją wiarę w przyszłość Europy, choćby fundamentem tej wiary miały być raczej uczucia niż niezbite fakty".

Czego zatem możemy nauczyć się od Arona?

Czy jedynie pesymizmu zaprawionego liberalnym sosem, sceptycznej ironii i przenikliwej racjonalności? Czy może przede wszystkim tego, że jesteśmy mieszkańcami i spadkobiercami Europy i jej los jest naszym losem. Że albo walcząc o Europę, o jej tradycję - zachowamy siebie, albo skażemy się na nietyt.

Trudna to nauka. I nic dziwnego, że niezbyt optymistyczna, jeżeli istnienie Europy od naszej walki o nią uzależnia. Ale czy jest jakieś inne wyjście?

Sartre - Garaudy. Bezpośrednie spotkanie.

Wraz ze śmiercią Sartre a skończyła się pewna epoka duchowa - epoka, w której ramy refleksji nad kulturą w mniejszym lub większym stopniu wyznaczane były przez odniesienie do marksizmu. Pisał Sartre w "Les temps modernes" w 1965 roku charakteryzując stosunek swojego pokolenia do marksizmu: "Dla nas marksizm jest nie tylko filozofią: jest to klimat naszych idei, ośrodek, z którego czerpią one swą pożywkę, jest to prawdziwy ruch tego, co Hegel nazywał Duchem obiektywnym".

Dziś takie wyznaczenie z ust kogoś, kto nie identyfikuje się z marksizmem byłoby szokujące. Marksizm stracił cały dynamizm i atrakcyjność intelektualną. Poza gronem wyznawców żywo dyskutowany jest jedynie w ośrodkach markso- i sowietologicznych.

A jednak decydujemy się na przedstawienie listu Jean-Paula Sartre a do Rogera Garaudy, którego tematem jest stosunek Sartre do marksizmu. Zwłaszcza, że list ten - zamieszczony w książce Garaudy ego "Perspektywy człowieka" /wyd. francuskie 1961, wyd. polskie 1968/ - jest bezpośrednią reakcją Sartre a na krytykę, jaką przedstawił jeden z najbardziej w swoim czasie wpływowych ideologów i filozofów Francuskiej Partii Komunistycznej. Garaudy dał w swej książce przegląd głównych prądów współczesnej filozofii francuskiej. Jego ambicją było zerwanie z dogmatyzmem, niedopuszczenie do tego, by egzystencjalizm rościł sobie prawo do monopolu w dziedzinie badań subiektywności, a chrześcijaństwo w badaniach nad transcendencją. Prowadzić do tego miało opracowanie marksistowskiej teorii subiektywności i wcielenie do marksizmu namysłu nad transcendentnym wymiarem człowieka.

List Sartre a zamieszczony w książce Garaudy ego /i dlatego dla wielu "ukryty" czy "nieobecny"/ jest odpowiedzią na te rozważania. I choć pochodzi z okresu, w którym zbliżenie Sartre a do marksizmu znalazło swój najpełniejszy wymiar - zawiera wiele trafnych i trzeźwych uwag dotyczących tej doktryny.

B.W.

Marksizm a filozofia egzystencji

Z żywym zainteresowaniem przeczytałem strony poświęcone przez Pana filozofii egzystencji i chętnie zgadzam się, by wrazić moją opinię na temat tej części Pana pracy.

Pomiędzy doktrynami filozofii egzystencjalnej nastaje zgoda co do jednego ohyba punktu: byt nie da się sprowadzić do myśli. Najciekawsze, że pod tym względem doktryny te są również w zgodzie z Marksem. Sądzę, że konsekwencje tej zgody mają poważne znaczenie.

Przepowiada Pan wszystkim filozofom egzystencji, że muszą w końcu zatonać w chrześcijańskim obskurantyzmie albo wyrzec się siebie samych, aby znaleźć swe właściwe miejsce w myśli marksistowskiej i w końcu włączyć się do niej.

Wydaje mi się niezbędne przypomnieć, że egzystencjalizm /jeżeli to nader niejasne słowo ma jakiś sens/ - to wyraz wysiłku myśli chrześcijańskiej, aby przeciwstawić się Wiedzy Heglowskiej, wszelkiej systematyzacji filozoficznej i wreszcie - samemu

Rozumowi, przynajmniej w niektórych dziedzinach. Kierkegaard podejmuje wysiłki, aby bronić siebie samego i wiary religijnej przeciwko zasadzkom i klasyfikacjom Wiedzy; nie godzi się on z tym, by miał jako człowiek i jako chrześcijanin być podporządkowany ruchowi dialektycznemu. Mówiąc jasno, całkowicie błędne jest wyzwanie myśli "egzystencjalnej", by dokonała wyboru między irracjonalną wiarą a dialektycznym Rozumem marksistowskim, jak gdyby ta myśl, nieokreślona pod tym względem od samego początku, stała obecnie przed koniecznością wyboru. Filozofie egzystencji mają wspólny rodowód, którym jest reakcja intelektualistów chrześcijańskich na Heglowską systematyzację wiedzy, która była dla nich nie do przyjęcia. A reakcja ta, aczkolwiek spirytualistyczna i religijna, zbiega się tu z pierwszymi zastrzeżeniami Marksa: dla Kierkegaarda Wiedza nie przewyższa nieszczęścia indywidualnej świadomości; dla Marksa świadomość alienacji /choćby nawet jej przyczyn/ nie usuwa alienacji jako takiej /choćby świadomość ta odgrywa naturalnie swą rolę w praktyce rewolucyjnej/. To, co należało zaznaczyć, mój drogi Garaudy, to, że wybór, który Pan proponuje, jest już poza nami. Już ponad sto lat temu myśl egzystencjalna uznała się w pierwszym rzędzie za obrońcę wiary chrześcijańskiej; i, gdyby to nie zabrało za wiele czasu, pokazałbym Panu, jak ta sama myśl - przynajmniej u niektórych - ukonstytuowała się w ciągu ostatniego stulecia jako dialektyczny i realistyczny racjonalizm. Rozumie się samo przez się, że jedna gałąź tej filozoficznej rodziny pozostaje bliską początkowemu mistycyzmowi i że na przykład myśl Jaspersa jest teologią, która nie ma odwagi do tego się przyznać. Niemniej pozostaje faktem, że proponowany przez Pana przyszły wybór jest tylko nader abstrakcyjnym odbiciem szeregu naszych wyborów już dokonanych. Jeśli chodzi o mnie - ponieważ raczył Pan o mnie mówić - zarzuca mi Pan od dawna irracjonalizm, gdy tymczasem u mnie, w przeciwieństwie do Kierkegaarda, Rozum ma za podstawę rozróżnienie Wiedzy i Bytu. Będzie Panu potem łatwo wykazać, jak marksizm zdobywa mnie krok za krokiem dla ścisłego i dialektycznego myślenia, podczas gdy przed dwadzieścia laty byłem jeszcze zabłąkany w obskurantyzmie nie-wiedzy. W rzeczywistości natomiast uważałem zawsze metody fenomenologii i ujęcie projektów egzystencjalnych za znakomite narzędzia dla zbliżenia się do podstawowego zagadnienia praktyki.

I cóż tu mówić o tym powolnym i nieodpartym wpływie, jaki, według Pana, marksizm wywiera na nasz sposób myślenia? Chyba już to wyjaśniłem: jeżeli myśl egzystencjalistyczna /a w każdym razie moja/ zbliża się do marksizmu i chce się doń włączyć, to działają tu jej wewnętrzna sprężyna, a nie doskonałość filozofii marksistowskiej. Zrozumiemy się dobrze: marksizm, jako formalna rama wszelkiej współczesnej myśli filozoficznej, jest niedościgniony. Przez marksizm rozumiem materializm historyczny, który wychodzi z założenia wewnętrznej dialektyki historii, a nie materializm dialektyczny, jeżeli przez niego rozumie się owo metafizyczne rojenie o odkryciu dialektyki przyrody. Ta dialektyka przyrody może w istocie istnieć, ale trzeba przyznać, że nie mamy na to ani cienia dowodu. W ten sposób materializm dialektyczny sprowadza się do pustego gadania, pełnego pompatyczności, na temat nauk fizykochemicznych i biologicznych, kryje się za nim, przynajmniej we Francji, najbardziej rutynowy mechanizm analityczny. Natomiast materializm historyczny - o tyle, o ile chwytą on bezpośrednio źródło wszelkiej dialektyki: praktyki.

t y k ę ludzi kierowanych ich materialnością - jest doświadczeniem, do którego każdy może dojść /i rzeczywistość dochodzi/ na gruncie swej praktyki i swej alienacji - i jednocześnie rekonstrukcją i konstrukcją, która pozwala uchwycić historię ludzkości jako rozwijającą się całość. W ten sposób myśl egzystencjalna szybko orientuje się, że wplątana jest w proces historyczny i może go zrozumieć tylko w tej mierze, w jakiej poznanie dialektyczne okazuje się poznaniem dialektyki.

Nie mogę akceptować tych kilku słów na końcu pierwszej części, w których zdaje się Pan przedstawiać marksizm jako konkretną i całkowicie rozwiniętą filozofię, która - pod warunkiem zastosowania kilku całkowicie drugorzędnych "ulepszeń" - powinna wchłonąć i roztopić w sobie wszystkie "egzystencjalizmy". Na to rzeczywiście Panu odpowiem: egzystencjalizm ateistyczny utrzymuje się, ponieważ k o n k r e t n y marksizm nie istnieje, więc, powieaż ta wielka doktryna, która powinna być K u l t u r ą, jest tylko woluntarystycznym idealizmem, to znaczy kilkoma utrzymanymi na siłę twierdzeniami odnośnie do k o n c e p c j i materii i k o n c e p c j i dialektyki. Proszę mnie zrozumieć: marksizm nie ma co rewidować. A kampanie przeciw absurdalnemu rewizjonizmowi - to tylko ukrywanie - świadome lub nieświadome - prawdziwego problemu. Marksizm trzeba d o p i e r o s t w o r z y ć. Marks i Engels p o s t a w i l i przed wszystkimi intelektualistami zarówno swoich, jak i naszych czasów gigantyczne zadanie. Ciężkie walki, jakie musieli prowadzić robotnicy, spowodowały, że zadania te nie wyszły poza ramy zwykłych wytycznych. Marksizm powinien by być zdobywczy: nie jest nim; okopał się na pozycjach obronnych. Powinien by pobudzić olbrzymi ruch ekonomiczny, socjologiczny i filozoficzny, tysiące konkretnych studiów historycznych, powinien by ujawnić i twórczo przewyciężyć - poprzez indywidualnych badaczy - swe własne sprzeczności, to znaczy ujawnić swoje prawdziwe dialektyczne siły napędowe. Powinien by sam przez się być Rozumem historii i kulturą naszych czasów: nie jest tym. Powinien by analityczny determinizm pozytywizmu zastąpić racjonalnością dialektyczną: dał się zgangrenizować przez pozytywizm. Wreszcie powinien by ustalić i uzasadnić swe prawa i swe znaczenie, to znaczy pokazać, czym powinna być dialektyczna P r a d a i praktyka. Nic takiego nie zrobiono ani nawet nie usiłowano zrobić. Pomiedzy bezwiedzą podstaw, jaką jest myśl burżuazyjna, a podstawą wiedzy, jaką pozostał materializm historyczny, nasze stulecie pozostaje - nie biorąc pod uwagę nauk ścisłych - wiekiem niewiedzy. Wydaje mi się przeto, że myśl egzystencjalna - o tyle, o ile uznaje się za marksistowską, to znaczy, o ile zdaje sobie należycie sprawę z tego, że tkwi swymi korzeniami w materializmie historycznym - pozostaje, jakkolwiek skromne by były prawdy cząstkowe, które jest ona w stanie wydobyć na światło dzienne - jedyną marksistowską pracą badawczą jednocześnie uzasadnioną i konkretną. Wydawałoby mi się nieco zarozumiałe, mój drogi Garaudy, aby w tym no man s land kulturalnym, jakim dziś jest marksizm, Pan oczekiwał nas z rękoma pełnymi kwiatów i głową pełną wiedzy, tak jakbyśmy byli pańskimi synami marnotrawnymi. Prawdziwy stan rzeczy przedstawia się w ten sposób, że Pan wybrał jeden odcinek badań, my zaś drugi, że nasze formalne porozumienie jest całkowite /a zatem nie pobijemy się, gdy przypadkowo się spotkamy/ i że nie pozostaje nam nic innego - i jednym, i drugim - jak użyźnić tę jałową glebę. Co do mnie, jestem przeświadczony, że jedynie konkretne badania pozwolą tej filozofii, której wytworem są wszystkie nasze myśli, wzbogacić się i ukazać dialektyczną.

swe prawdziwe problemy. Ponadto wydaje mi się, że w tej dziedzinie wyprzedziliśmy was: my zajmujemy się ludźmi, obawiam się natomiast, że wyście o nich trochę zapomnieli.

August Bar

Chrześcijaństwo zlaicyzowane - utopia Rogera

Garaudy

Zanim usunięto go z Francuskiej Partii Komunistycznej, był czołowym ideologiem marksistowskim na Zachodzie. Pasja polityczna wypełniała całe jego życie. Był deputowanym do Zgromadzenia Konstytucyjnego, potem wiceprzewodniczącym Zgromadzenia Narodowego. Przez trzydzieści sześć lat należał do FPK, przez niemal dwadzieścia zajmował w niej kierownicze stanowiska. Był członkiem KC partii i dyrektorem jej organu teoretycznego - "Cahiers du Communisme". Zyskał sobie opinię czołowego marksisty i jednocześnie rzecznika dialogu z innymi światopoglądami: chrześcijańskim, egzystencjalistycznym itp. Obszar jego zainteresowań wyznacza krąg problemowy zarysowany tytułami napisanych przez niego książek: "Źródła francuskiego socjalizmu naukowego"/1948, wyd.pol.1950/, "Marksizm a osobowość"/1949, wyd.pol.1951/, "Gramatyka wolności"/1950, wyd.pol.1951/, "La theorie materialiste de la connaissance"/1953/, "Humanisme marxiste..."/1957/ "Perspektywy człowieka"/1961, wyd.pol.1968/, "Dieu est mort..."/1962/, "Realizm bez granic"/1963, wyd.pol.1967/.

Pozostał marksistą nawet wówczas, gdy podczas XIX Kongresu /1970/ kierownictwo partii położyło kres jego politycznej kariery, wykluczając go ze swych szeregów. Lecz jego marksizm z biegiem czasu był coraz mniej ortodoksyjny. Otwarty na dialog z myślą chrześcijańską, egzystencjalizmem czy fenomenologią zbliżał się coraz bardziej do stanowiska określanego mianem "rewizjonizmu". Kłopoty Garaudy'ego z FPK wystąpiły z całą ostrością po rewolucji studenckiej w maju 1968, a swój wyraz znalazły w książce "Wielki przełom socjalizmu"/1969/. Od tej pory Garaudy coraz bardziej zbliżał się do chrześcijaństwa, aby w 1975 r. w "Parole d'homme" wyznać publicznie: "Jestem chrześcijaninem".

Był człowiekiem, dla którego samotność byłaby śmiercią. On, którego powołaniem było zbawienie ludzkości, i który walczy o to zbawienie poświęcił życie - musiał mieć wokół siebie zgromadzone rzesze tych, których mógłby zbawić.

Czy to było powodem jego zbliżenia do chrześcijaństwa?

X X X

Los Rogera Garaudy jest jakby prawozorem tego, co przydarzyło się sporej części inteligencji polskiej w ostatnich latach. Nam na myśl zwrot w stronę Kościoła, w stronę wartości chrześcijańskich elity umysłowej związanej do roku 1980 z szeroko rozumianym ethosem socjalistycznym.

Oczywiście, motywacje, które skłoniły Garaudy'ego do publicznego oświadczenia: "Jestem chrześcijaninem" nie muszą być, i najczęściej nie są identyczne z racjami skłaniającymi do po-

dobnego wyboru polskich pisarzy, dziennikarzy, filmowców, aktorów, socjologów czy historyków.

Ale... Parelele między tymi wyborami dają do myślenia. Czy jest to tylko przypadkowa zbieżność, czy też może w niewielkim w końcu repertuarze postaw ideowych taka zmiana jest najprawdopodobniejsza ze wszystkich możliwych? I czy przesłedzenie formacji ideowej Garaudy'ego i przyjrzenie się jego stosunkowi do chrześcijaństwa pozwoli w pełniejszym świetle ujrzeć polską sytuację duchową?

Życie Garaudy'ego nabiera dynamizmu i ujawnia swą dramatyczność od chwili wykluczenia go z partii. To zdarzenie przyjmuje jako ciężki cios: "Pierwszy raz w życiu mam pokusę samobójstwa i do rozpaczy doprowadza mnie, że muszę patrzeć, co ta partia, której oddałem najlepszą część mego życia, zrobiła z dwoma tysiącami ludzi, których odwagę i uczciwość poznałem w innych okolicznościach, a którzy pozwolili sobie manipulować do tego stopnia, że nie ośmielili się - ani jeden - powiedzieć słowa. Odtąd wiem, że partia, jakkolwiek by była, jest maszyną do konfiskowania inicjatyw idących z dołu" /"Parole d'homme", s.22/.

Czego by nie mówić o dramatycznej szczerości tej wypowiedzi - doświadczenie, na którym została ufundowana, nam, mieszkańcom Europy Wschodniej wydaje się dosyć banalne, trącające truizmem i jakby płytkie, naiwne. Ale w końcu nie to jest ważne; ważniejsze jest to, jakie myślenie owo doświadczenie, owo "przejrzenie na własne oczy" oddanego sprawie komunisty zrodziło, jakie ożywiło idee.

Otóż Garaudy podejmuje samotną walkę o "socjalizm z ludzkim obliczem". FPK i Związkowi Radzieckiemu zarzuca autorytarne metody postępowania i pozbawioną dynamizmu biurokrację tudzież "brak dialogu z bazą".

Zarzuca FPK ślepe postępowanie Związkowi Radzieckiemu, a temu ostatniemu militarne narzucanie swojej wersji socjalizmu, eliminujące bez wahania "nieprawomyślnych": w Jugosławii/1948/, NRD /1949/, w Polsce i na Węgrzech/1956/, w Chinach/1958/ i Czechosłowacji/1968/.

Krytykuje "dyktaturę proletariatu", która jest według niego karykaturą socjalizmu. Lecz również nie oszczędza kapitalizmu z jego "ekspansją dla ekspansji". Analiza "modelu amerykańskiego" doprowadza go do wniosku, że prywatna własność środków produkcji musi prowadzić do alienacji, gdyż jedyną celowością modelu opartego na tej zasadzie jest nie człowiek, lecz wzrost gospodarczy. Gospodarka podporządkowuje sobie ludzi. Ale i państwo radzieckie stając się jedynym właścicielem środków produkcji ani nie nadało swej gospodarce celowości ludzkiej, ani nie dało masom udziału w decyzjach o zamierzeniach gospodarczych czy politycznych.

Gospodarka ZSRR jest według Garaudy'ego repliką gospodarki USA, podporządkowując ludzi celem gospodarczym. Powołuje się na zdanie Lenina z 1920 roku: "Z racji biurokratycznych deformacji naszego reżimu, gdzie nie rządzą masy ludowe, ale pewna «elita», pretendująca do przemawiania w ich imieniu, nasz socjalizm nie jest budowany p r z e z l u d, tylko w najlepszym wypadku d l a l u d u". Hasło Garaudy'ego brzmi: "Socjalizm dla ludu, ale także przez lud". Trzeba więc wynaleźć nowy model socjalizmu, łączącego się z tradycjami kulturalnymi, warunkami historycznymi i przeszłością kraju, w którym ma zapanować. Przykładem jest dla

Garaudy'ego Jugosławia, której rzeczywistość tak widzi:
"Pracownicy sami decydują o swojej polityce produkcyjnej. Tym sposobem faktycznie dziedziczą prawa prawdziwych właścicieli środków produkcji. Jedyną «regulą gry» jest ta, że nie mogą niszczyć środków produkcji, chyba że w celu zastąpienia ich doskonalszymi, i że jako grupa nie mogą wyzyskiwać innych pracowników: ktokolwiek przystępuje do pracy nabiera wszystkich praw pracownika przedsiębiorstwa"/"Le grand tournant du socialisme", s.192/ A więc samorząd! Samorząd jako najkorzystniejsze rozwiązanie ustrojowo-gospodarcze. To hasło pobrzmiwa nam znajomym tonem. Tylko u nas nikt się nie łudził, że samorząd zlikwiduje wszelkie nierówności i nastanie era biogostawionego, sprawiedliwego dobrobytu.

Choć z drugiej strony... Ta wiara, że to może właśnie my odkrywamy "trzecią drogę"... I ta nadzieja, że może, że mimo wszystko może się uda... No cóż, nie dane nam było realizować idealnego wedle Garaudy'ego modelu społeczno-gospodarczego, może lekko otarliśmy się jedynie o ten model.

Lecz powróćmy do wizji społecznych francuskiego marksisty. Socjalizm jego zdaniem jest projektem ludzkim, który dąży do postawienia władzy "w służbie nie tylko niektórych, ale całej wspólnoty". Warunkiem takiego modelu jest oparcie stosunków międzyludzkich na współnocie i miłości. Sposobem zorganizowania społeczeństwa jest oczywiście samorząd. "Samorząd to inna nazwa socjalizmu, który nie może być robiony dla ludu, ale przeciwnie, jest socjalizmem tylko wtedy, kiedy jest robiony przez lud. Nie z zewnątrz i z góry, ale od wewnątrz i z dołu"/"Alternatives socialistes"1, s.85/. Taki projekt zakłada, że socjalizm musi być triumfem miłości. I tu zaczyna się eschatologia Garaudy'ego i jego fascynacja ideami chrześcijaństwa. "Bez miłości człowiek i społeczeństwo mogą funkcjonować, ale nie mogą istnieć. Rewolucja socjalistyczna będzie triumfem nie nauki, lecz miłości"/"Parole d'homme", s.37/.

Od pozytywizmu, który jest nie tylko "światem bez Boga, ale i światem bez człowieka" - woli walczącą i twórczą wiarę, a taką odnajduje w chrześcijaństwie. Już znacznie wcześniej był rzeczni-kiem dialogu marksizmu z chrześcijaństwem, ale do dialogu tego przystępował z pozycji ateistycznych. Teraz zmienia orientację: na jednej z ostatnich stronik redagowanego przez siebie pisma "Alternatives socialistes", którego zdołał wydać dwa numery, pisze: "To straszny przewrót w życiu człowieka, kiedy po wieloletnim wyznawaniu ateizmu - odkrywa, że nosi w sobie chrześcijanina. i że może nigdy nie przestał go w sobie nosić. I kiedy ma przyjąć odpowiedzialność za tę nadzieję".

Dobitniej jeszcze przełomowi temu daje wyraz w ostatnim akapicie "Parole d'homme":

"Moim zadaniem komunisty jest zwrócić mu /socjalizmowi/ to oblicze. Oblicze pełni ludzkiej, we wszystkich jej wymiarach. Żyć według podstawowego prawa bytu: miłości.

Wyrzeczeń z miłości nauczył mnie Krzyż.

A Zmartwychwstanie nauczyło przekraczać.

Jestem chrześcijaninem".

Wyznanie to nie sygnalizuje odwrócenia się od dotychczasowej pasji - zaangażowania politycznego: "To zbliżenie się do wiary nie jest jakimś sposobem oddalenia się od polityki - pisze w "La Croix" z kwietnia 1976 r. - Przeciwnie, jest to sposób nadania polityce jej prawdziwego wymiaru./.../ Nie potrzebujemy wiary do wyjaśniania świata, potrzebujemy jej do przemieniania świata./.../

To, co wydaje mi się istotne, to żyć w taki sposób, żebym nie żył sam przez siebie i dla siebie. A tego nauczył nas właśnie Jezus".

Czytając tę wypowiedź można by sądzić, że mamy do czynienia z gorąco wierzącym prozelitą. Ale czy to nie pozór? Czy w tym fragmencie kluczem nie jest zdanie: "To, co wydaje mi się istotne, to żyć w taki sposób, żebym nie żył już sam przez siebie i dla siebie"? Wszak dla kogoś, kto zbawiać chce świat, samotność to śmierć. Cóż więc dziwnego w tym, że Garaudy szukając wspólnoty trafia na chrześcijaństwo? Bo choć wiara jego jest raczej zwykłą ludzką wiarą niż wiarą religijną, to przecież w chrześcijaństwie odnajduje tropy nurtującej go problematyki. A że spotkane tu rozwiązania nie są identyczne z jego własnymi? No cóż, nie zawsze można wszystko odnaleźć, czasem trzeba coś stworzyć.

Dla Garaudy'ego liczy się tylko Bóg, który przybiera "Oblicze człowieka": "Bogiem nazywam to niedostępne i bliskie źródło, tę obecność osobową i kochającą, która myśli we mnie, kiedy myślę, to znaczy kiedy pojmuję nowe możliwości, nowe projekty itd." - pisze w "Parole d'homme": "Nie ma innego Boga, jak transcendujący aspekt istnienia człowieka, a więc dążenia do przekroczenia tego, co zastane, do chcenia tego, czego nie ma; a więc specyficznie ludzkiego pędu twórczego". "Bóg cały - pisze w tymże "Parole" - przeszedł w człowieka; dalej się objawia, dalej prowadzi swoje dzieło stworzenia w człowieku i przez człowieka".

Wiara Garaudy'ego rezygnuje z wymiaru pozaziemskiego religii. Jego chrześcijaństwo jest chrześcijaństwem bez Boga; jego wiara - ubóstwieniem człowieka. Zbawienie ma się dokonać tu, na ziemi, poprzez rewolucję. Wiara nie otwiera się na żaden inny wymiar poza historią; jest jedynie "fermentem ziemi i historii": "Wszystko rozgrywa się w tej historii i w tym życiu. Tworzymy w niej jedynego człowieka, który nie umiera razem z nami. Moim ciałem jest cała przyroda. Mojego ducha stanowi całościowy projekt ludzkości, projekt nieustannie się rodzący, nigdy nie ukończony, nawet w swej koncepcji. Jestem potępiony, jeżeli odrzucam tę odpowiedzialność, jestem zbawiony, jeżeli przyczyniam się do realizacji tego projektu". /"Parole d'homme"/.

Tak więc chrześcijaństwo zredukował Garaudy do rewolucyjnej utopii, która ma być wykorzystana do zbudowania "królestwa człowieka" na modłę innej utopii: socjalistycznej. Wartości chrześcijańskie zmieniają swą treść: zakorzenione w dookolnej rzeczywistości, odcięte od swego transcendentalnego i absolutnego pnia stają się współtowarzyszkami wartości "humanizmu socjalistycznego" i razem chcą wieść bój o "sprawiedliwość społeczną". O "człowieka niewyalienowanego".

Piękne to. Ale czemu nazywać się ma chrześcijaństwem?

X X X

Czy podobnie ma się sprawa z inteligencją polską, która przyszła do Kościoła w ciągu ostatnich czterech lat z pozycji bliższych tym, z których występował Garaudy?

Jest się nad czym zastanowić, bowiem nie ma chyba drugiego kraju, w którym tak wielka i znacząca część elity umysłowej zwróciłaby się w stronę chrześcijaństwa. I jeżeli zwrot ten ma głębsze ugruntowanie w wartościach duchowych chrześcijaństwa - można się spodziewać, że wyda owoce w postaci na nowo przemyślanej, nowymi doświadczeniami podbudowanej kultury chrześcijańskiej. Wykorzystanie tej szansy miałyby znaczenie uniwersalne, znacznie swą wagą wykraczające poza obręb kultury narodowej.

Ale przecież powody zbliżenia inteligencji do Kościoła były najczęściej pozareligijnej natury. Czy w tej sytuacji można liczyć na oryginalną twórczość wyznaczającą linie przewartościowań w kulturze? I jakie są warunki powstania takiej twórczości?

Czy intelektualści polscy przyszedli do kościołów szukając jedynie fizycznego bezpieczeństwa, poczucia solidarności narodowej lub też mecenasa wygodniejszego choćby z racji moralnych po wprowadzeniu stanu wojennego - czy motywacje tego zwrotu są głębsze i szukają myśli wyprowadzonej z trwałego fundamentu aksjologicznego, dążącej do wewnętrznej spójności? Czy zatem czeka nas "garaudyzacja" chrześcijaństwa, wybiórcze traktowanie jego wartości prowadzące do zaprzeczenia jego sensu, czy może na naszych oczach odnowi się kultura chrześcijańska, która przez tyle wieków gwarantowała tożsamość Europy?

Dotychczasowe osiągnięcia twórcze świeżo związanych z Kościołem elit umysłowych nie upoważniają do odpowiedzi na większość z postawionych tu pytań. Ograniczmy się więc do jednego: jakie są podstawowe warunki powstania oryginalnej twórczości umiejscowionej w nurcie kultury chrześcijańskiej?

Wielu intelektualistów, którzy związali się po grudniu 1981 z Kościołem, zadaje sobie pytanie, czy aby na pewno znaleźli się w miejscu dobrym dla ludzi, których głównym zajęciem jest twórcza praca myśli; czy ten wybór czasem nie ogranicza zbyt możliwości twórczych, czy myśli twórczej nie ubezwłasnowolnia. Religia onieśmiela. Wobec otwieranego przez nią wymiaru nadprzyrodzonego wiele motywów podejmowania działalności publicznej staje się miałkami. Cecha taka jak ambicja twórcza wręcz kłóci się z pokorą chrześcijańską. Nowości i oryginalność nie są zbyt cenionymi wartościami. Wielu ze świeżo związanych z Kościołem intelektualistów spostrzega, że hierarchia wartości kultury chrześcijańskiej nie pokrywa się z hierarchią wartości kultury, z którą atakujemy się na co dzień. W kulturze chrześcijańskiej postęp jest zaprzeczeniem nowości - postęp to szerokość czy głębokość rozumienia, doskonalenie miłości do bliźnich i Boga, bezwarunkowa afirmacja godności drugiego. Jak zatem w kulturę rozumianą jako doskonalenie bezinteresownej miłości wpisać twórczość, która nie byłaby wobec wartości nadrzędnych ilustracją, lecz żyłaby swą własną wartością? I czy twórczość taka może pojawić się jako zapowiedź nowego, odmłodzonego życia kultury chrześcijańskiej, czy pojawić się może dopiero wówczas, gdy wartości tej kultury przepoją życie codzienne? I czy wartości te, w świadomości społecznej wysychające i na wpół tylko, powierzchownie jedynie obecne, są w stanie ożyć nowym duchem, czy też czeka nas to, czego dokonał Garaudy: szczepienia ostatnich żywych symboli tożsamości i ciężłości naszej kultury na martwym pniu niezbyt klarownej utopi?

**W nowym
wydaniu**

Henryka Dobosz, Maria Mrozińska

Czym jest odwaga

/wspomnienie o Lechu Bądkowskim/

Po długiej, ciężkiej chorobie zmarł w Gdańsku w wieku 64 lat Lech Bądkowski. W jego pogrzebie na cmentarzu centralnym Srebrzyzko wzięły udział tysiące ludzi; pięć, sześć tysięcy, może więcej.

Kim był, że żegnały go takie tłumy, dziś, gdy emocje społeczne budzą głównie śmierci gwałtowne, w niewyjaśnionych okolicznościach? Jakiej postawy społecznej i osobistej stał się przykładem teraz, gdy stało się jasne, że idee trzeba będzie ocalić i przenieść w indywidualnej świadomości i prywatnych postawach?

Jego nazwisko stało się powszechnie znane w sierpniu 1980 roku, jako negocjatora i sygnatariusza Porozumień Gdańskich, pierwszego mandatarjusza polskiej inteligencji, który w imieniu środowiska piarskiego przybył do Stoczni i pozostał wśród strajkujących robotników. Była to konsekwencja całej jego drogi życiowej.

Pisarz, publicysta, działacz społeczny, wytrwały realista o stylu myślenia wyrosłym z tradycji wielkopolsko-pomorskiej, bezkompromisowy i krytyczny także w stosunku do spraw, którym służył. Należał do grona tych ludzi, których prawdziwa wartość odstała się w chwilach próby. Był przygotowany wewnętrznie na każdą sytuację. Po ogłoszeniu stanu wojennego jego przyjaciele, bliźsi i dalsi znajomi, a także ludzie znający go tylko ze słyszenia, z ław gazet, kierowali swoje kroki do jego mieszkania. Nie spotkali ich zawód, zastali go spokojnym, pracował. Trawiony już wówczas nieuleczalną chorobą, o czym mało kto wiedział, z laszczką, z krzepiacym innym usmiechem kroczył zamasyście do pracowni na Targu Rybnym, i pisał. Uważał, że kapitał społecznej energii tak, czy owak nie zmarnuje się. Zadziwiał nas i zawstydział swoją determinacją, twarzą optymizmem. Wychodziłszy umocnieni.

W gdańskim środowisku intelektualnym uważany od lat za przywódcę duchowego, swój autorytet czerpał stąd, że idąc, którym służył wwiarygodniał własnym życiem. Taki też po sobie zostawił testament, bardzo klarowny moralnie.

Urodził się 24 stycznia 1920 roku w Toruniu w pomorskiej rodzinie inteligentkiej o starej tradycji ziemiańskiej, o czym napomykał czasem żartobliwie, lecz bez nacisku, ponieważ z natury był demokratą bez snobizmów. W dziejach własnej rodziny interesowały go raczej głębokie korzenie owej "pomorskości", która przyswojona w domu rodzinnym wpłynęła na jego postawę w życiu publicznym. Lubił opowiadać na przykład o pewnym zdarzeniu natury politycznej. Znał je od swego ojca, pracownika toruńskiego magistratu, w czasie zaborów więc urzędnika administracji niemieckiej, przy tym żarliwego patrioty, czynnego w walce z germanizacją w granicach powszechnej na tym terenie taktyki działań legalnych. Wiązało się to z obchodami 3 Maja, na co należało uzyskać zezwolenie od władz niemieckich. Niemcy zgodzili się na przemarsz ludności, z zastrzeżeniem, że żadne flagi ani transparenty o treści narodowej nie będą n i e s i o n e. Wobec tego, ściśle stosując się do zarządzenia, flagi i transparenty w i e z i o n o na bryczkach, przestrzegając litery prawa. Ogólnie biorąc przestrzegali jej na swoim terenie również niemiecki zaborca, co umożliwiała stosowanie taktyki walki całkowicie nieskutecznej w innych za-

borach. Lech Bądkowski zdawał sobie dobrze sprawę z ograniczeń tej metody, miał jednak niejako we krwi tę pomorską filozofię. Z nawyku był legalistą, w swoich własnych działaniach, dopóki to było możliwe, obstawał także przy formach jawnych. Dla wyrażenia swojej opinii szukał naprzód łanów gazet, a kiedy mu ich odmawiano, wysyłał listy otwarte, powielone w setkach egzemplarzy, w pierwszej kolejności do władz i zainteresowanych instytucji. Tracił posady, ale stylu nie zmieniał. Miał przy tym wpojoną prawdopodobnie także przez dom, ową pomorską gospodarską rzetelność, przekonanie, że aby wyrosło, trzeba zasiał, a zanim się zasieje, zaościć i że musi się to robić konsekwentnie, po kolei, z głową, nie dla łatwego efektu, nie na pokaz. I orał - jak powiedzieli trafnie ks. Eugeniusz Dutkiewicz podczas mszy żałobnej w kościele Pallotynów - całym ciałem kładąc się na pługi, równo prowadził skibę pod zasiew. Gospodarz uczciwy, rzetelny patriota.

Taka postawa osobista miała siłę przyciągającą. Była w niej zwartość i logika, zarys programu. Gruntownie zorientowany w dziejach Pomorza, zainteresowany od lat najmłodszych problematyką historyczną i społeczno-polityczną, był Bądkowski szczególnie predysponowany do odegrania czołowej roli w autentycznym życiu politycznym. Politykiem oficjalnym nie został, w istniejących strukturach się nie mieścił. Lecz przez wszystkie piaszczyzny jego działalności przewijała się myśl polityczna, przenikliwe wybiegająca w przyszłość. Jej najbardziej realnym wyrazem stał się program Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Zamyśl tego programu narodził się w głowie Lecha Bądkowskiego, wówczas 25-letniego żołnierza polskich sił zbrojnych na Zachodzie, jeszcze w czasie wojny, w Londynie. Pisywał tam w "Biuletynie Pomorskim", którego był współtwórcą, artykuły i apele, zachęcające żołnierzy rodem z Pomorza do powrotu do kraju i wzięcia w swoje ręce sprawy odbudowy "małej ojczyzny" i jej integracji z Polską. W Londynie wydał pierwszą samodzielną pracę pt. "Pomorska myśl polityczna". Wykładał w niej koncepcję regionalizmu-krajowości, służącą ukonkreśnieniu ludzi i autentyczności życia społecznego. W ogólnych zarysach pozostała ona aktualna do dziś.

Zaraz po zakończeniu działań wojennych powrócił do Polski i znalazł się w Gdańsku. Lata, które nadeszły, nie sprzyjały realizacji jego wizji. Podkreślanie odrębności kulturowych, wielości polskich tradycji, swojskości obyczaju pozostawało w zbyt jaskrawej sprzeczności z ogólnie obowiązującą wówczas tendencją wyrównywania gór i dołków do jednej wysokości, importowanej ze wschodu. Dla ludności kaszubskiej były to lata nowych krzywd, pomówień, nieporozumień. Wynikały one często z niedostatecznej znajomości odrębnych historycznych doświadczeń i specyfiki kulturalno-obyczajowej tego regionu. Były to lata agresywnej ateizacji, gdy tymczasem tradycyjna religijność tutejszej ludności najściślej wiązała ją z Polską.

Rok 1956 wraz z odwilżą w polityce przynosił kurs bardziej sprzyjający poszukiwaniu tożsamości, ponysilniejszy dla koncepcji Lecha Bądkowskiego. Na Pomorzu Gdańskim odżywają tradycje ruchu kaszubskiego, wybuchają dyskusje i kontrowersje, inspirowane spuścizną ideową Floriana Ceynowy, Aleksandra Majkowskiego, Jana Karnowskiego, poezją Hieronima Derdowskiego. Gospodarze tej ziemi zaczynają się upominać głośniejsz o swoje prawo do decydowania o własnych sprawach w sposób samorządny. W oparciu o niewygastłą siłę tej społeczności, która przechowała język, kulturę, i odręb-

ność sposobu życia, Lech Bądkowski z grupą starszych i młodszych działaczy kaszubskich wskrzesza i rozwija swój "program pomorski". Z pewnością nie został on w pełni zrealizowany. Przeszkód było wiele, kolejne wahnięcia koniunktur politycznych niosły ze sobą różne zagrożenia. Rozpadały się lub obumierały powoli różne stowarzyszenia miłośników, przyjaciół i entuzjastów. Regionalny ruch społeczno-kulturalny, tak żywy po roku 1956, przeżywał ciągłe kryzysy i odpływy energii. Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie przechodziło przez nie stosunkowo suchą nogą, by dziś, po blisko trzydziestu latach nieprzerwanej działalności, co już samo w sobie jest fenomenem, stać się realną siłą społeczną, środowiskiem opinio-twórczym o dużym autorytecie. Z jednej strony jest to zastęga autentycznego zaplecza, z drugiej trafnej formuły. Od początku niemal była to organizacja kadrowa, o autonomicznym obliczu, nie związana bezpośrednio z ośrodkami władzy przez tak częste gdzie indziej unie personalne, samorządna i demokratyczna, miejsce bezinteresownej działalności publicznej. Z tej szkoly wyszły setki niekonwencjonalnych działaczy, już w kilku pokoleniach. Wielu z nich przybyło wraz z całymi rodzinami pożegnać Lecha Bądkowskiego.

Dzięki działalności Zrzeszenia powstały istotne książki, całe dziedziny badawcze, podtrzymane zostało żywe istnienie języka, wywołane problemy, których pozornie nie było. Odblokowało to wiele energii społecznej, leczyło kompleksy. Tyle w sferze dokonań konkretnych, zauważalnych gołym okiem. To, co najważniejsze, nie jest jednak widoczne od razu, jest to coś w rodzaju pozytywnego wirusa, autoszczepionki w organizmie społecznym przeciw toczącej nas chorobie nieautentyczności.

Lech Bądkowski był "długodystansowcem". Umiał rozkładać siły, nie tracąc z oczu celu.

W 1980 roku znalazł się w Stoczni reprezentując, wedle otrzymanego mandatu, dużą grupę gdańskich pisarzy. Na tle ogólnego rozgorączkowania wyglądał być może anachronicznie. Jako rzecznik prasowy strajku przestrzegał rygorystycznie porządku dnia, ograniczał wypowiedzi w dyskusji. Inteligent w starym stylu, z notesikiem, elegancki w sposobie bycia. Nie wszystkim się podobał. Był spokojny, dobrze przygotowany.

Nikt poza najbliższymi nawet się nie domyślał, jak poważne dolegliwości sprawiała mu trwająca go już wtedy nieuleczalna choroba. On sam zdawał się o tym nie pamiętać. Wtedy czuł się wreszcie w swojej roli, w środku wydarzeń, działał w sytuacji o wymiarze historycznym. Zdawał sobie z tego w pełni sprawę, miał ogromne poczucie odpowiedzialności za ten ruch, w którego narodzinach uczestniczył. Był zwolennikiem dialogu i porozumienia, nawet za cenę kompromisu, byle to tylko nie był kompromis moralny. Nie podawał się łatwym entuzjazmom ani pesymizmowi, odporny na zbiorowe emocje umiał zachować trzeźwy dystans tkwiąc w samym środku spraw. Dobrze wiedział, że nie wszystko od nas zależało, że raczej zależało mniej niż więcej. Widział opór materii, presję niesprzyjających okoliczności, rozumiał mechanizm negatywnych zjawisk samoczynnie wyzwalających się w tych warunkach. Ale wysokość stawki wymagała tym większej czujności. Surowo oceniał ludzką małość, nieodpowiedzialność.

Podczas spotkania przyjaciół Lecha Bądkowskiego w dniu jego pogrzebu Bronisław Geremek powiedział: "nie zawsze się zgadzałem z nim i nawet dzisiaj w tym bilansie myślę, że w wielu sprawach

rozmiąły się nasze oceny. Ale w sprawach zasadniczych, podstawowych odczuwałem nie tylko nić wspólnego poglądu, ale coś jeszcze, co jest trudne do opisania/.../, wspominam Lecha Bądkowskiego jako pewien model życia inteligenta, który nie tylko potrafił służyć odważnie i krytycznie swemu krajowi, ale który także potrafił zrozumieć, co to znaczy pojęcie służby dla kraju. On to rozumiał przede wszystkim jako służbę myśłą. Uważał, /.../ że funkcją naszą i rolą jest to właśnie, przebudować myślenie, myślenie krytyczne. I w jednym nie miał wątpliwości, że to służy przyszłości. I że ta przyszłość się zrealizuje".

Wierzył także, że przyszłość realizuje się już dziś, w okresie próby, samooczyszczania się w części refleksji. Zostawił nam przykład odwagi szukania prawdy.

Odwaga była zagadnieniem moralnym, które szczególnie zajmowało Lecha Bądkowskiego. Jest to jeden z leitmotivów jego twórczości pisarskiej. Kryteria odwagi nie wydawały mu się tak jednoznaczne, jakby można sądzić. On sam przecież przekraczał różne jej bariery, z jednego odbicia, lekko, nie dotykając poprzeczki. Bariery odwagi, fizycznej i moralnej. Był kawalerem Orderu Virtuti Militari. Przedwojenny podchorąży, potem żołnierz Września, uczestnik bitwy nad Bzurą. Po klęsce przedarł się na Węgry. Szedł przez Huculszczyznę, przez góry, teren zajęty przez Armię Czerwoną. Jako oficer Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie brał udział w bitwie o Narwik, pływał na okrętach wojennych, był cichociemnym, latał z desantem do Polski przygotowany do zrzutów. W 1946 roku wrócił do kraju. To także wymagało wówczas odwagi. Podjął pracę w "Dzienniku Bałtyckim", w 1953 odszedł z redakcji. Przez krótki okres pracował w tygodniku "Rybak Morski", z którego już w 1954 został zwolniony ze względów politycznych i równocześnie pozbawiony prawa wykonywania zawodu dziennikarza. Pracował w teatrze lalek jako kierownik literacki, pisywał książki dla dzieci. Natalia Gołębka, ówczesny kierownik artystyczny Teatru "Miniatura" zapytana kiedyś, czy znała w swoim życiu człowieka odważnego, odpowiedziała zwięźle: tak, jednego. Lech Bądkowski. Takim go zapamiętała z tamtego okresu. Już wtedy zdobył uznanie gdańskiego środowiska literackiego, które po przetknięciu październikowym wybrało go prezesem Gdańskiego Oddziału ZLP. W 1956 r. wrócił do pracy dziennikarskiej jako redaktor oddziału tygodnika "Ziemia i Morze". Już w 1957 został jednak zwolniony. Żył z twórczości pisarskiej. W 1968 r. jako stały współpracownik "Głosu Wybrzeża" napisał wraz z Różą Ostrowską i Franciszkiem Penikowskim list otwarty do redaktora "Głosu Wybrzeża", występując przeciwko fali antysemityzmu, w ochronie inteligencji i młodzieży studenckiej.

Historię tę przypomniatł ostatnio Jerzy Dziewicki, ówczesny redaktor naczelny "Głosu Wybrzeża", prywatnie przyjaciel zmarłego pisarza. Nie widząc żadnych szans opublikowania dokumentu, z życzliwością dla jego autorów podarł go na drobne kawałeczki i wrzucił do kosza. Nie przewidział jednego, że Lech Bądkowski odbił go w blisko stu egzemplarzach i rozesał po Polsce. Sprawa zakończyła się zakazem publikowania jego tekstów publicystycznych i literackich. Przyjął to, jak i inne tego typu przygody, bez specjalnego rozgoryczenia. Nie przeżywał z tych powodów rozczarowań ani rozdarć, nie był zastraszony. Był człowiekiem wolnym wewnątrz, swoją osobowość ukształtował tak, że tę wolność trudno było mu odebrać.

W 1980 r. znalazł się w "Solidarności". Nie zabiegał o popularność, nie grał o własną sprawę, narażał się. To co mówił, często było trudne do przyjęcia. Zdarzało się, że jego rozwagę brano za brak odwagi. Znajomość jego biografii rzuca właściwe światło na jego postawę. Oczywiście ta biografia nie była szerzej znana. To nie był czas, kiedy się głębiej wnika w życiorysy. A Bądkowski nie zwierzał się na zawołanie, był powściągliwy. Gdy jeden z bardzo młodych działaczy nagadał mu impertynencji, machnął ręką: to się oczyści.

Na początku stanu wojennego napisał list do wicepremiera Rakowskiego. Z Rakowskim znał się osobiście, pisywał jakiś czas do "Polityki". W pierwszym numerze "Samorządności", pisma Zarządu Regionu Gdańskiego NSZZ "Solidarność" pod redakcją Lecha Bądkowskiego, wypowiedź Rakowskiego została zamieszczona obok tekstu programowego Wałęsy. List zawierał jedno zdanie: podaję Panu Premierowi pod rozwagę sprawę uwolnienia z internowania kolegów dziennikarzy z Gdańska, przebywających w obozach od dnia... Dalej nazwiska i podpis. Odpowiedzi nie otrzymał i chyba na nią nie liczył.

Był człowiekiem twardych zasad, o wysoko rozwiniętym poczuciu godności. Stawiał wysokie wymagania naprzód sobie, potem innym. W jego przenikliwej ocenie ludzi był jednak duży margines tolerancji. I to zwłaszcza w kwestii odwagi. Jakże doświadczenia osobiste są za tym kryto? Może była to groza wojny, kiedy setki razy ocierał się o śmierć? Może jakieś przeżycie późniejsze, z okresu, gdy łamano charaktery wielu dzielnych ludzi?

W tomie opowiadań "Bitwa trwa" głównym problemem moralnym jest właśnie problem odwagi. Świetna ostra proza, z ducha Conrada i Saint-Exupéry'ego, z którym wiąże pisarza również podobieństwo losów. Bohater każdego z tych opowiadań boryka się z problemem odwagi w różnym ujęciu. A oto bezpośrednio rozważania autora na ten temat w opowiadaniu "Dzielność":

"Mówi się, że odwaga, a zwłaszcza brawura i tak zwana pogarda śmierci to po prostu brak wyobraźni. Widziałem bohaterów, którzy - jak myślę - poświadczali tę opinię. Ale widziałem również takich, którzy szli na śmierć z rozpaczą lub z dumnej obawy przed wstydem. I takich, którzy robili to dla "fasonu", a była to szczerą głupota lub młodzieńczość. I widziałem odważnych, którzy dokonali czynów nieświadomi ryzyka, przestraszeni później własną nieustraszoną, jak gdyby wyobraźnia ich działała wstecz, i którzy po pewnym czasie w zmienionej sytuacji, lub nawet w podobnej, powtarzali to samo, nie mogąc zmusić spóźniającej się wyobraźni do wyprzedzania czasu. Widziałem też odważnych z przypadku, którzy ocierali się o śmierć, nie wiedząc o niej; ci stawali się przedmiotem żartów. Widziałem wreszcie sprytnych i ostrożnych rachmistrzów, którzy umieli element ryzyka wkalkulować w cenę handlową odwagi i sprzedawali ją według najlepszych zasad kupieckich, kupując możliwie tanio, sprzedając możliwie drogą. I widziałem mistyfikatorów, którzy, osasem dość zrecznie, pozorowali odwagę. I jeszcze wielu innych, na przykład takich, co nigdy na ochotnika nie nadstawiali karku, ale nakazane im zadanie wykonywali niezawodnie, z poczucia czystego obowiązku lub fatalizmu".

I pisze w innym miejscu: "można mówić o odwadze fizycznej i odwadze moralnej, którą określa się również jako cywilną./.../ Otóż nie są one tożsame. Znałem ludzi odważnych w boju, którzy bali się wypowiedzania swych poglądów wbrew poglądom ogółu lub zwierzchności; znałem także takich, którzy posiadali śmiałość niezależnego myślenia i działania z nim w zgodzie, lecz tchórzliwi

w obliczu niebezpieczeństwa grożącego ich ciału. Nie wydają sądu o jednych ni o drugich, ani też o trzecich, którzy w różnych sytuacjach zachowywali się różnie, poddawani falom odwagi lub strachu, w walce fizycznej i w walce moralnej, raz wykazując męstwo, a raz tchórzostwo".

Nie odpowiada jednoznacznie na pytanie, jaki był najodważniejszy człowiek, którego spotkał na wojnie. Zamiast odpowiedzi opiewuje znajomego podporucznika-komandosa. On tak bardzo bał się tej ciemnej dziury, w którą musiał skoczyć z samolotu, że za każdym razem żądał, żeby go wypychać. Jego instynkt samozachowawczy stawał dęba, lecz nie chciał zaprzestać skakać. Lech Bądkowski wyraża przekonanie, że ten polski podporucznik był jednym z najdzielniejszych ludzi, z jakimi zetknięto go życie.

Z twórczości wyłania się inne, mniej znane oblicze Lecha Bądkowskiego, twarz filozofa. Każdy z nas ma jakąś swoją co najmniej jedną ciemną dziurę, w którą boi się skakać. Dzielność jest możliwa, nawet gdy lęk na chwilę nas nie opuszcza. Są sytuacje, kiedy trzeba sobie o tym ciągle przypominać, żeby nie utracić godności. Mówi: "Pale kotłyszają nami i już mamy prawo uważać się za dość dzielnych w swoim losie, jeśli groźnie przechylając się na boki - jednak nie toniemy". Te słowa także są krzepiące.

W jaką ciemną dziurę on patrzył z lękiem, pozostanie jego tajemnicą. Czy był to problem Boga? Śmierci? Sensu cierpienia? Szanował żarliwość religijną innych, może nawet trochę jej im zazdrościł, ale sam uważał się za agnostyka. Może był to bunt przeciwko urzędzeniu święta takim, jakim on jest? Miał kilku przyjaciół wśród księży, którzy jakoś lgnęli do niego mimo jego niewiary. A może właśnie dlatego. Może uważali, że jest to drugi biegun żarliwości. Został ukształtowany w duchu etyki chrześcijańskiej i ona była główną dyrektywą jego sumienia. Ks. Eugeniusz Dutkiewicz mówiąc o nim posłużył się metaforą Starego Testamentu, przywołał obraz biblijnego Jakuba. Jakub walczył z Bogiem, pasował się z nim tak mocno, że Bóg przyszedł do niego, wziął go w ramiona i powiedział: Jakubie, zwyciężyłeś. I pobłogosławił go.

Lech Bądkowski umarł pojednany z Bogiem. Poprzedziły to lata ciężkiej choroby. Przez ostatnie dwa lata już właściwie nie opuszczał łóżka, na przemian w szpitalu, to w domu. Bardzo cierpiał. Nigdy jednak o tym nie mówił. Podczas jego długiej choroby narodziła się piękna idea społeczna. Z inicjatywy prof. Joanny Penskowej powstał w Gdańsku zespół hospicyjny, złożony z lekarzy, pielęgniarek, sióstr zakonnych, księży i studentów medycyny, opiekujący się ludźmi nieuleczalnie chorymi w ich domach.

Przez dom Lecha Bądkowskiego i jego sale szpitalne przewinęły się w tym czasie setki ludzi. Poza przyjaciółmi i znajomymi z Gdańska, wiele osób z całego kraju. Kto przyjeżdżał z odczytem, wpadał porozmawiać. Odwiedzał go i Lech Wałęsa. Jego umysł pozostał precyzyjny, zachował przenikliwość sądu. Był zachłannie ciekawy ludzi, sprawdzał, czy nie ogarnia nas zwątpienie. Zajmowała go nieustannie sprawa dalszego programu. Wciąż miał nowe pomysły. Latem 1983, po rozwiązaniu ZLP, podjął próbę utworzenia konfraterni literackiej przy Bazylice Mariackiej.

Indywidualności tak silnie rzadko miewają rysy anielskie. Lech Bądkowski z pewnością aniołem nie był. Wiele ludzi zycząc nie się go bało, zanim poznali go bliżej. Budził respekt. Bywał ostry, popędliwy, nawet nieprzyjemny. A przy tym tolerancyjny dla odmiennych przekonań. Dopuszczał poglądy inne niż własne na łamach pism, które redagował. Na tej zasadzie chciał kształtować swoje ukochane, bo ostatnie dziecko, tygodnik "Samorządność".

Marzenie Lecha Bądkowskiego o piśmie otwartym, na miarę jego wyobrażeń nie spełniło się, jak i wiele innych marzeń. Jako redaktor naczelny, z którym dane nam było pracować, był dla zespołu epoką, budził zaufanie przez swoją kompetencję i prostolinijność. Potrafił jednak wpadać w irytację, czasami ostatecznie nieadekwatną do sytuacji, gdy naruszało się jego pomorskie nawyki, zamiatowanie do pedanterii, kindersztuby we wzajemnych stosunkach. Nie był łatwy dla innych, bo nie był łatwy dla siebie.

Dopiero w ostatnich tygodniach prawie całkiem się wyłączył. Zajął się sobą, ostatnim zadaniem, przed którym miał stanąć.

Umarł 24 lutego 1984 roku. "Odszedł wspaniały człowiek, wzó odwagi wojskowej i, co rzadsze, cywilnej, pełen męstwa, prawości budzący wiarygodność i zaufanie, wiarę w ludzi, rzetelny pisarz, działacz, społecznik, niezastąpiony przykład Polaka, doradca i przyjaciel. Pozostanie piękną legendą" - napisał Andrzej Braun w telegramie do żony Lecha Bądkowskiego, Zofii.

W kaplicy cmentarnej przy trumnie Lecha Bądkowskiego stanęli po kolei współtowarzysze zmagania ze wszystkich jego frontów. Z lat wojennych, z cierplivej pracy organicznej Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, z potyczek ducha i nerwów w Zarządzie Głównym ZLP, ze stoczni. Wśród nich Zbigniew Herbert, Leszek Prorok, Wiktor Woroszyński, profesorowie: Geremek i Stembrowicz, Lech Wałęsa. Wielu wybitnych przedstawicieli gdańskiej kultury i nauki. Przed kaplicą czekał, by go pożegnać, wielotysięczny tłum. Wyniesiono trumnę. Przykrywały ją dwie flagi: stanica kaszubska z gryfem pomorskim i druga - biała, z czerwonym znakiem biegnących do przodu. Ci, którzy wzięli trumnę na ramiona, zatrzymali się przez chwilę. Tłum zamarł, nie wydał z siebie ani jednego głosu. Tylko ręce uniesione w górę w dzwoniącej w uszach ciszy. Las rąk.

Nad grobem przemawiali: ks. Stanisław Bogdanowicz, proboszcz Bazyliki Mariackiej, Leszek Prorok w imieniu pisarzy z kraju, Szczepan Lewna prezes Zrzeszenia, Lech Wałęsa, Bolesław Fac w imieniu gdańskiego środowiska literackiego, Andrzej Zbierski, sekretarz Gdańskiego Towarzystwa Naukowego. Chór kaszubski zaśpiewał pieśni. Potem wszyscy głośno "Boże coś Polskę" i hymn narodowy. Na jednej ze szarf napis: "Lechowi Bądkowskiemu z podziękowaniem za świadectwo prawdy młodzieży Liceum Ogólnokształcącego nr ...". Oni z pewnością znają ten wiersz Zbigniewa Herberta:

Cmentarze rosną maleje liczba obrońców
ale obrona trwa i będzie trwała do końca
i jeśli miasto padnie i ocaleje jeden
on będzie niósł Miasto w sobie po drogach wygnania
on będzie Miasto

Ludzie zaczęli się powoli rozchodzić do domów. Otrzymali to, po co przyszli. "Fale kołyszają nami i już mamy prawo uważać się za dość dzielnych w swoim losie, jeśli przechylając się na boki, jednak nie toniemy".

Sierżant czy generał?

Przed laty napisała na łamach "Tygodnika Powszechnego" Zofia Starowiejska-Morstinowa głośny artykuł o sierżantach literatury. Sens wywodów tej mądrej kobiety, świetnej eseistki i pisarki, był mniej więcej taki: polskiej literaturze nie brakuje generałów i szeregowców, brakuje jej sierżantów. Przepaść jaka istnieje między wielką literaturą i miłą, jest zbyt poważny, aby jej nie zauważać i lekceważyć. Trudno bowiem zyczyć tam, gdzie generałowie dowodzą armią bez sierżantów: elitarność kultury z jednej strony, z drugiej miłą i złe rzemiosło, a pośrodku pustka - oto obraz naszego piśmiennictwa.

Uwagi te dotyczyły w pierwszym rzędzie prozy, bo poezję o ile mnie panięć nie myli, pani Zofia widziała należycie obsadzoną, według etatów i stopni.

I oto ostatnio odkryłem Wielkiego Sierżanta polskiej prozy: jest nim Józef Mackiewicz, brat Cęta-Mackiewicza, prozaik i dziennikarz zmarły w styczniu 1985 roku w Monachium. Wystarczy przeczytać parę jego książek /a znam, niestety, tylko trzy jego powieści: "Kontrę", "Lewa wolna" i "Drogę donikąd"/, aby zachwycić się, przede wszystkim rzetelnym rzemiosłem rasowego prozaika. Pisarz ten nie mierzy, jak Gombrowicz, czy Andrzejewski, w generały, a przecież jego relacja o świecie, a szczególnie jego znajomość spraw polsko-rosyjskich, jest tak znakomita, że bez twórczości tego zapoznanego w kraju prozaika trudno sobie dziś wyobrazić prozę polską XXI wieku.

W powieści "Lewa wolna" jest opisana rzeczywistość wojny polsko-bolszewickiej 1918- 20 roku, zaś w "Drodze donikąd" okupacja Wileńszczyzny w latach 1939- 41 /do chwili wkroczenia nowych "wyzwolicielei" - Niemców/.

Można się domyślać na podstawie nowelek-felietonów Mackiewicza ze zbioru "Fakty, przyroda i ludzie", że jak każdy szanujący się prozaik, wykorzystał sporo materiału autobiograficznego, ale z jakimże wspaniałym rezultatem! Bez grzebania się we własnych bebeczach, bez tego konwicko-andrzejewsko-gombrowiczowskiego soblipyzmu. Chłodna beznamiętność, dar obserwacji, świetna znajomość ludzi, obyczajów i nade wszystko - wyzwolenie się z tabu. Jeśli sprawy polsko-rosyjskie, to wyważenie racji obu stron. Rosja jako odwieczny polski problem, jako źródło fascynacji i odrazy, jako ojczyzna wielkiej literatury i okropnego chaństwa. Jeśli miłość, to bez wstydlivosti /to znamy/, ale też bez sentymentalizmu i naturalistycznych obsesji. Jeśli wojna, to w całym okrucieństwie, znoju, upodleniu i wielkości. Chciałoby się rzec, że prozę tę napisał mężczyzna, który nie był ani impotentem, ani erotomanem, który poznał smak walki /był wszak młodziutkim ułanem w wojnie polsko-bolszewickiej/, poznał pracę pisarską i fizyczny trud, miłość i śmierć - wszystko jako rzecz d a n ą , l u d z i o m . On się życiem n i e g o r s z y , a n i n i e m a m u z a z ł e , o n j e o b s e r w u j e i p r z e d e w s z y s t k i m p r z e j y w a .

Sceny z wojny 1920 roku miejscami dorównują, jeśli nie przewyższają, Izaaka Babla, lata czterdzieste pod Wilnem godne prozy

Steinbecka. Może więc Józef Mackiewicz niespodziewanie awansował z Wielkiego Sierżanta - w generały? Jedno jest pewne, że swą buławę długo nosił w plecaku solidnego sierżanta.

ROE

"Wszystko co najważniejsze"

Wszystko co najważniejsze dla Oli Watowej wiąże się z osobą Jej męża Aleksandra Wata. Subiektywna, wręcz intymna perspektywa widzenia oświetla w szczególny sposób postać przedwojennego poety futurysty, redaktora naczelnego komunistycznego "Miesięcznika Literackiego", redaktora działu literackiego w wydawnictwie Gebethnera i Wolffa, a dla wielu współczesnych czytelników przede wszystkim twórcy powstałego na emigracji pamiętnika mówionego "Mój wiek". We wspomnieniach kochającej żony, zarazem przyjaciela i współpracownika jawi się on jako człowiek wybitnie inteligentny, wyrafinowany intelektualista, o wielkiej wrażliwości, głębokim zmysle moralnym, odwadze, bezkompromisowości. Dla czytelnika znającego pamiętnik Aleksandra książka Oli jest dopełnieniem obrazu autora "Mojego wieku" /i to chyba było jej intencją/ o szczególny rys tej biografii: rys tragizmu i bezmiernego ludzkiego cierpienia spowodowanego chorobą.

Wat, początkowo oczarowany komunizmem, i w jego imię masochistycznie niszczący samego siebie jako twórcę, później, już po wewnętrznym wyzwoleniu się z komunizmu, został zewnętrznie przezeń ugodzony i doświadczony aresztowaniem, więzieniem, łagrami sowieckimi, wyniszczeniem zdrowia a także wieloletnią, pełną bóleści chorobą, którą sam traktował jako ucieleśnienie sta, rodzaj metafizycznej kary. Straszliwe cierpienie i heroiczne próby przecięcia go przez twórczość i dyscyplinę intelektualną zaowocowały "Mojm wiekiem" jako formą terapii, ale też wycisnęły piętno na osobowości Aleksandra oraz ukształtowały jego stosunek do życia i wspomnień. Jak wyznaje Ola Watowa, bywał niesprawiedliwy wobec ludzi, ale też chciał być niesprawiedliwy, domagał się prawa bycia niesprawiedliwym jako jedynego luksusu w swoim męczeńskim życiu, zakończonym samobójczą śmiercią 29 lipca 1967 roku. Warto o tym pamiętać przy lekturze "Mojego wieku", zawierającego tak wiele świadectw tej niesprawiedliwości.

Książka Watowej zachowując cały czas optykę bardzo osobistych wspomnień zawiera także wiele informacji o ludziach i zdarzeniach okresu przedwojennego, zwłaszcza związanych z redagowaniem przez Wata "Miesięcznika Literackiego", o prowokacji lwowskiej w r.1940, w wyniku której aresztowano lewicowych pisarzy polskich i wywieziono do łagrow w głąb Rosji; opisuje losy zesłańców w Kazachstanie, następnie atmosferę pierwszych lat po wojnie w Polsce i zaciskanie się pętli stalinizmu, wreszcie epizody z życia emigracyjnego polskich intelektualistów będących w kontakcie z Watami.

Jako rozmówczyni Jacka Trznadla Ola Watowa ujawnia wielki talent literacki; jest mistrzynią monologu wypowiedzianego, płynącego potoczyscie, z dużą kulturą słowa, elegancją stylu, ale i łatwo wyczuwalną cenzurą wewnętrzną. Watowa, mówiąc o wielu znanych sobie ludziach, starannie omija ostrzejsze słowa, unika surowych ocen i wartościowania /co czynił Wat w "Moim wieku"/, wyraźnie nikogo nie chce dotknąć ani urazić. Kreślone przez nią portrety wydają się dobrotliwe i łagodne; nienniej zasadniczą miarą przykładaną przez nią do ludzi jest to, jak się odnosili do Watów. Wszelka niechęć, oschłość czy choćby obojętność oraz najdrobniejszy wyraz zyczliwości są we wspomnieniach Watowej skrzętnie notowane, a sympatie do ludzi dalekie od potocznych wyobrażeń. Np. wielkim sentymentem darzy ona Wandę Wasilewską za pomoc żonom aresztowanych we Lwowie pisarzy i przestanie jej kotdry do Kazachstanu.

Nawet straszne przeżycia, groza łagrów, więzień, głód i codziennosc śmierci zostają w tej opowieści złagodzone przez górującą nad nią tezę moralistyczną: można zejść na samo dno piekła i wyjść z niego czystym i nienaruszonym, można spożytkować ku dobremu straszliwe doświadczenia łagrów sowieckich i polskiego stalinizmu, żyć wśród zarażonych i nie zarazić się, żyć w komunizmie i pozostać nietkniętym jego piętnem. Oni oboje, Aleksander i Ola Watowie, są tego oczywistym dowodem.

To najbardziej kontrowersyjny moment wspomnień Oli Watowej. Trzeba pamiętać, że los Watów przed wojną, a potem w Kazachstanie oraz w Polsce powojennej należał mimo wszystko do uprzywilejowanych. Ponadto wspomnienia Watowej są pisane nie tylko z perspektywy długiego, jakże łagodzącego już czasu, ale z perspektywy "dobrego miejsca na ziemi", rzeczywistości dostatniego, normalnego życia emigracyjnego. Tu już można zapomnieć o wszystkich kompromisach moralnych, dzięki którym można było przeżyć w systemie. Dlatego szczególnie utkwił mi w pamięci epizod z Tadeuszem Borowskim, gdzieś z roku 1950, na krótko przed jego samobójstwem, kiedy to z gniewem wykrzyknął do płaczącego Stanisława Wygodzkiego /w jego mieszkaniu powiesił się przyjaciel, którego namówił do powrotu do Polski/: "Czego mi się tu mazgaisz, weź się w kupę, jeżeli jesteśmy tu teraz razem, to tylko dlatego, że tam w Oświęcimiu odbieraliśmy chleb umierającym, którzy już nie mieli sił podnieść kawałek chleba do ust. Nie nakrywaliśmy ich kocami. Zabieraliśmy im kocy, bo wiedzieliśmy, że już nie będą im potrzebne. To ich śmierć uratowała nas w dużym stopniu od naszej, to po ich trupach wyszliśmy z Oświęcimia. Zabił się twój przyjaciel, zabrakło mu siły i cierpliwości do walki i chęci do noszenia łaski ludzkiej, do przyjmowania dobroci, w którą już tak dawno przestał wierzyć. Nie miał siły wejść w dżunglę, w której myśmy się już usadowili, pozapuszczaliśmy korzenie".

C.C.

Ola Watowa, "Wszystko co najważniejsze..."
Rozmowy z Jackiem Trznadlem.
Puls Publications, London 1984.

Herbert zdiagnozowany

Stanisław Barańczak zaczyna swą książkę o poezji Zbigniewa Herberta od wskazania na nieporozumienia, jakie towarzyszą twórczości autora "Struny świata". Lekturze jego wierszy asystuje zadziwiająca obfitość uproszczeń, jakże często powielanych przez krytykę i popularyzatorów poezji. Niekwestionowany w tym kręgu pozostaje zarówno osławiony "klasycyzm" Herberta jak i "prostota" /nieskomplikowanie/ jego utworów. Barańczak z charakterystyczną dla siebie swadą i dociekliwością zaczyna od rozbijania owych schematów, odsłaniając pozorność lub przynajmniej jednosłoność tego typu określeń i klasyfikacji. Praktycznie cała książka zbudowana została na zasadzie jednej wielkiej polemiki z konwencjami odczytywania Herbertowej sztuki. Autor "Uciekiniera z utopii" nie tylko rozбивa utarte schematy, ale i uzasadnia, iż jest to twórczość o wiele bardziej skomplikowana, /nie tylko w sferze formalnej ale i etycznej/, niż się to zazwyczaj wydaje. Z tym bardzo precyzyjnej analizy, zastosowanej przez Barańczaka, niepotrzebnie tylko kontrastują "łatki", które na początku książki przyłącza on swoim autorytetom i adwersarzom, jak choćby te: "doskonały krytyk Jerzy Kwiatkowski", "trzeciorzędny krytyk Stefan Malkowski", "pośledni krytyk Jakub Zdzisław Lichański". Tego typu chwyty, skądinąd zrozumiałe w dzisiejszej sytuacji badacza, niepotrzebnie zamazają klarowność jego wywodów.

W zaprezentowanej interpretacji twórczość Herberta jest sztuką przede wszystkim głęboko wewnątrznie zdialogizowaną, pełną ukrytych napięć, paradoksalnie - czerpiącą swą siłę z rozpoznania własnej niepewności, sceptyczną - a jednak przekonaną o niezbywalności etycznych zasad, które nas sprawdzają. Barańczak udowadnia, iż u tego poety słowo "klesyk" czy "ironia" - tak chętnie używane również przez krytyków, analizujących jego twórczość - ma wiele znaczeń i trzeba je widzieć zarówno w antynomicznej strukturze każdego tekstu, jak i wpośród kontekstowych uzależnień. Autor "Uciekiniera z utopii" zauważa, iż "równie słusznie jak poeta Śródziemnomorza, przeszłości i kultury można byłoby go nazwać «barbarzyńcą», poetą współczesności i piewą empirycznego konkretności".

W świetle lektury Barańczaka Herbert jest raczej twórcą konfrontującym świadectwa niż uzasadniającym "odwieczne" racje, na które tak lubią powoływać się moralisci. Krytyk widzi jego sztukę nie tylko jako dziejącą się "między", nieufną, ironiczną, ale także jako dramatycznie upominającą się o przestrzeń wyborów, bez której człowiek karleje, dusi się "bezkształtem". "Wydziedziczenie to stan - pisze autor przedstawianej książki - w którym wartości ulegają swoistemu zatarciu, rozpłynięciu, zmąceniu". Tę sytuację uważa Herbert za największe zagrożenie dla dzisiejszego człowieka.

Inną sprawą, uważnie analizowaną, jest język poezji Herberta, "paradoksalny" - jak go określa Barańczak - czym znowu przeciwstawia się obiegowym mniemaniom o swoistej "przejrzystości" stylistycznej liryki autora "Pana Cogito". Przy okazji tego problemu rodzi się jednak drobna wątpliwość, czy aby nie został tu Herbert nazbyt "ulingwistyczniory" wedle reguł, którym hołduje w swej poezji oraz teorii badawczej analizujący go krytyk. Jednakowoż porozmawiamy w rozdziale dotyczącym charakteru języka, a zwłaszcza

metafory, uwagi, znakomicie przydają się Barańczakowi do opisu funkcji ironii, na którą tak często powołują się czytelnicy "Struny światła". Czy ironia ma swoje granice - pyta Barańczak. Czy jest coś stałego w sferze Herbertowych wartości, co ostaje się ostrzu ironii? Jest nią - powiada krytyk - "wierność", która obywać się musi "bez zewnętrznego autorytetu", i "nadzieja bez gwarancji". To właśnie tu Herbert zdaje się umieszczać zasadniczy ciężar nie tylko etycznego wyzwania wobec samego siebie i swojego świata.

J.P.

Stanisław Barańczak, Uciekinier z utopii. O poezji Zbigniewa Herberta. Wydawnictwo Polonia, Londyn 1984.

Zbigniew Nienacki

(Fragment powieści przygotowywanej dla Państwowego Instytutu Wydawniczego)

Obawia, że ktoś może też w lesie podpatrzeć, opór Malwiny i niezwykłość sytuacji w jakiej miał zobaczyć obnażoną żonę — podniecił się Stębor. Poczul, że pragnie ją mieć teraz, tutaj, na tej polanie. — Podnieś kcięk i ściągaj majtki — warknął przelitykając się, gdyż w ustach zrobiło mu się bardzo sucho.

Jul nie myślał w tej chwili o tym, że przyszedł tutaj, aby podzielić z lasem swoją miłość do Malwiny. Odrzucił od siebie głupie przesady leśników. Potwierdzały się w nim naukowe poglądy, które posiadał na studiach.

Nowa powieść Milana Kundery

Milan Kundera kojarzy się polskiemu czytelnikowi z wydaną w 1968 roku powieścią "Żart". W 1971 roku wyszedł jeszcze jego zbiór opowiadań pt. "Śmieszne miłości". Przez kilkanaście lat pisarz ten był nieobecny na polskim rynku wydawniczym i dopiero w ubiegłym roku krajowe wydawnictwa "drugiego obiegu" wydały dwie jego książki: "Pożegnalny walc" i "Księżę śmiechu i zapomnienia". Teraz w londyńskim "Aneksie" wyszła jego najnowsza powieść "Nieznosna lekkość bytu", która znalazła się na liście bestsellerów "Time'a" za rok 1984.

Kundera po zdławieniu przez wojska Układu Warszawskiego w 1968 roku "praskiej wiosny" i po niemożliwości prowadzenia normalnego życia pisarskiego i publicznego, jak wielu wybitnych ludzi kultury, opuścił Czechosłowację. Od 1975 roku mieszka w Paryżu - dużo pisze, wykłada, udziela wywiadów, podróżuje.

Po ogłoszeniu "Żartu" czekano na nowe książki Kundery; powieść ta stanowiła zapowiedź wielkiego pisarza obozu wschodniego. Niestety, potem przyszedł znane czeskie wydarzenie /przy współudziale naszego wojska!/, potem parę lat poniżenia we własnym kraju, emigracja, przystosowanie się do innych warunków, pisanie - i w tym pisaniu, gdzie motyw czeski był jednym z głównych, przygotowywanie się do powieści rozrachunkowej z tamtymi latami. Do "Nieznosnej lekkości bytu" właśnie. Ale trudno uznać tę powieść za wybitną, jest na pewno powieścią ważną, niestety daleką do powtórzenia fenomenu "Żartu". Tak już jest, że często przez długie lata nosi się piętno pierwszej wybitnej książki, kiedy przed sobą i przed czytelnikiem postawiło się wysoką poprzeczkę. Ale to jest odbiór polski, skryte marzenie o polskim Kunderze, myślą, że w Czechosłowacji /ale kiedy ona tam dotrze do czytelników?/ odniosła by ona swój zamierzony efekt, bo to bardzo czeska i dla Czechów powieść.

"Czescy przywódcy zostali porwani przez rosyjską armię jak zbrodniarze, nikt nie wiedział, gdzie się znajdują, wszyscy drżeli o ich życie i nienawisć do Rosjan odurzała ludzi jak alkohol. Było to pijane święto nienawiści. Czeskie miasta były ozdobione tysiącami malowanych ręcznie plakatów pełnych pogardliwych i ironicznych napisów, epigramów, wierszyków, karykatur Breżniewa i jego armii, z której wszyscy wysmiewali się jak z cyrku analfabetów. Ale żadne święto nie może trwać wiecznie. W międzyczasie Rosjanie zmusili zaarrestowanych przywódców czeskich, żeby podpisali w Moskwie coś w rodzaju kompromisu. Dübček powrócił z tym do Pragi i czytał przez radio swe przemówienie. Po sześciu dniowym więzieniu był tak zdruzgotany, że nie mógł mówić, jękał się, z trudem chwycił oddech, tak że między poszczególnymi zdaniem zapadały niekończące się, niemal półminutowe pauzy.

Kompromis uratował kraj od najgorszego: od egzekucji i masowych wywózek na Sybir, których wszyscy się bali. Ale jedna rzecz stała się jasna: Czechy będą musiały ukorzyć się przed zdobywcą: już zawsze będą się jękać i z trudem chwycić oddech jak Aleksander Dübček. Święto się skończyło. Nadszedł powszedni dzień poniżenia". Taka jest mniej więcej scenaria i atmosfera "Nieznosnej lekkości bytu" Kundery. Jest to powieść bardzo gorzka. W londyńskim "Time"

napisano, że "głównym tematem pisarstwa Kundery jest trudne dążenie do szczęścia w totalitarnym państwie".

Miejmy nadzieję, że nasi wydawcy "drugiego obiegu" umożliwią poznanie tej powieści szerszemu kręgowi czytelników.

(jota)

Milian Kundera. Nieznośna lekkość bytu. Z czeskiego przetłumaczyła Agnieszka Holland. Aneks, Londyn 1984.

Stanisław Załuski

(Fragment przygotowywanej do druku powieści
„Czas umierania”).

Wkrótce wyszło na jaw, że jest członkiem PZPR, lubi zaglądać do kieszonki. Związek zawodowy uczynił go przewodniczącym komitetu folwarcznego. Od tej pory, pewny siebie, przestał reagować na polecenia, przychodził do pracy kiedy chciał, w kuźni popijał wodę ze swoim pomocnikiem. Kiedy pewnego dnia Eustachy chciał go zrugać za nieprzygotowanie pluga do orki, chwycił za wielki kowalski młot.

— Spierdaj skurwysyni! — wrzasnął. — Bó się obudzisz na tamym świecie.

Gdańsk dn. 2 IX 1985r.

Przewodniczący Rady Państwa
prof. dr Henryk Jabłoński

My, niżej podpisani literaci ze środowiska Wybrzeża protestujemy przeciwko kilkumiesięcznemu przetrzymywaniu w areszcie śledczym naszego kolegi - pisarza Mariana Terleckiego. Ten młody człowiek jest cenionym poetą, publicystą oraz krytykiem literackim, reżyserem teatralnym i filmowym. Debiutował w połowie lat siedemdziesiątych. Wydał kilka książek /"Portret wspólny", "Poszukiwany" i inne/. Drukował swoje utwory w uznanych wśród literatów pismach, m.in. w "Odrze", "Studencie", "Więzi", "W drodze" oraz w almanachu "Nowy transport posągów".

Cała jego działalność artystyczna od początku związana była z chrześcijańskim systemem wartości. Przyznawał się doń jawnie, wszelkie swoje publikacje podpisując imieniem i nazwiskiem. Dobrze się stało, że dla swej twórczości filmowej znalazł kolega Terlecki poparcie i pomoc u księży pallotynów w Gdańsku, dzięki czemu mógł stworzyć wartościowe utwory.

Znając jego sylwetkę moralną i obywatelską apelujemy o natychmiastowe zwolnienie go z aresztu śledczego, tym bardziej, że w szczególnie trudnej sytuacji materialnej i psychicznej znajduje się jego rodzina /wkrótce po aresztowaniu urodziło mu się dziecko/. Trzymanie w więzieniu takich ludzi jak Marian Terlecki jest niemoralne i społecznie destrukcyjne.

Do wiadomości:

- Minister Spraw Wewnętrznych gen. Czesław Kiszczałk
- Sekretariat Episkopatu Polski
- Ks. Prowincjał Czesław Paprzyszek - Księża Pallotyni w Warszawie

Maria Boduszyńska-Borowikowa
Małgorzata Czerwińska
Stanisław Dąbrowski
Andrzej Dorniak
Stanisław Esden-Tempski
Teresa Ferenc
Anna Janko
Zbigniew Jankowski
Aleksander Jurewicz
Maciej Kraiński
Krystyna Lars
Lucyna Legut
Anna Czekanowicz

Zbigniew Majchrowski
Ewa Nawrocka
Kazimierz Nowosielski
Bożena Ptak
Stanisław Rbsiek
Tadeusz Skuśnik
Zbigniew Szymański
Zofia Watrak
Janina Wiczowska
Milena Wiczorek
Władysław Zawistowski
Zbigniew Żakiewicz
Bogusław Żytko

Stanisław Dąbrowski: Proces toruński, Mężczyństwo księdza Jerzego Popiełuszki	3
Rozmowa Imperatora Pawła I z Tadeuszem Kościuszką, polskim generałem, w więzieniu w Petersburgu, przez księcia Siergieja S.Gagari- na po francusku napisana, a po polsku przetłumaczona w r/ok/u 1796 /opr. Tomasz Kanneberg/	8
Igła magnetyczna - powtórnie. Magnetofonowy zapis rozmowy z Andrzejem Kijowskim, która od- była się dnia 23 lutego 1978 roku w Klu- bie Krytyki Literackiej w Gdańsku /opr. J.N./	11
W takich warunkach pracować więcej nie będąc... Wywiad redakcji "Strany i Mira" z Jurijem Pawłowiczem Lubimowem	20
WIERSZE	
Bronisław Maj: xxx/"Powstrzymałeś bieg rzeczy..."/, xxx/"Tylko nie robiąc nic..."/, xxx/"Nie będą odpoznane twarze..."/, xxx/"Pragnie- my tego samego..."/	31
William Golding: Na szczycie fali /tłum.M.B./	32
J.P.: Pod szczytem fali	38
ZAPISY ZDARZEN	
Zapis magnetofonowy rozmów prowadzonych przez grupę operacyjną milicji Obywatelskiej na uli- cach Gdyni ¹ dnia 17 grudnia 1970 roku /opr. Wiesława Kwiatkowska/	40
Olgierd Łokuciejewski: Polska dziwna wojna	60
Janusz Wilczak : Auto-Lazarz /fragmenty powieści/	69
DWUGŁOWI	
Konrad Surgański: Dwugłowy "orzeł rewolucji"	76
Jan Głuchowski: Sartre i Aron czyli figle ducha cza- su	79
B.W.: Sartre - Garaudy. Bezpośrednie spotkanie	88
August Bar: Chrześcijaństwo zlaicyzowane - utopia Rogera Garaudy	91

Z HISTORII PISARZY

Henryka Dobosz, Maria Krozińska: Czym jest odwaga /wspomnienie o Lechu Bądkowskim/	96
---	----

NOTY

Sierżant czy generał? ROŁ	103
"Wszystko co najważniejsze" CC	104
Herbert zdialogizowany J.P.	106
Nowa powieść Milana Kundery /jota/	108
Liat w sprawie Mariana Terleckiego	110

cena: 200zł

OFICyna
KSZTAŁT



Gdańsk 1986